SKANDALICZNIE WYSOKIE PENSJE LEKARZY

Tusk próbuje zamieść pod dywan aferę w Szpitalu Południowym



Dwugłos: za wyświęceniem i przeciw wyświęceniu biskupów w Bractwie Kapłańskim św. Piusa X

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 27/687 29 CZERWCA–5 LIPCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

LATO Z „DO RZECZY”
JACEK PAŁKIEWICZ OPISZE W WAKACJE 10 MIEJSC, KTÓRE WARTO ODWIEDZIĆ



Sojusz Niemiec i Ukrainy przeciw Polsce? – ostrzega Janusz Korwin-Mikke

Czy Kaczyńskiemu uda się ograć Brauna

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 5d267fd813

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 5d267fd813



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kiedy wybija szambo

Przywykłem już do charakteryzującej dużą część polskich mediów głupoty, jednak – muszę przyznać – to, co dzieje się obecnie w związku z odebraniem Orderu Orła Białego Wołodymyrowi Zełenskiemu przez Karola Nawrockiego, przebija wszystko. Na wszelki wypadek przypomnę prostą sekwencję zdarzeń: najpierw prezydent Ukrainy nadaje jednostce ukraińskiej armii tytuł „Bohaterów UPA". W REAKCJI na to posunięcie Karol Nawrocki mówi o możliwym odebraniu Zełenskiemu Orderu Orła Białego. Mija czas. Po upływie kilkunastu dni prezydent Polski ogłasza, że order zostaje Zełenskiemu odebrany. Decyzja prezydenta była odpowiedzią na skandaliczne, pogardliwe zachowanie Wołodymyra Zełenskiego. Niemożliwe, żeby nie wiedział, tak on, jak i jego otoczenie, z czym Polakom jak najbardziej słusznie kojarzy się UPA – z masowym i okrutnym mordowaniem niewinnych ludzi za to tylko, że byli Polakami.

A co o tej sprawie mają do powiedzenia niektóre (uff, na szczęście nie wszystkie) polskie media, w tym przypadku przede wszystkim liberalne i lewicowe? W apelu zamieszczonym w „GW" mogę przeczytać, że „Ukraina już dwanaście lat stawia czoło zbrodniczej agresji Putina, od prawie pięciu lat ma ona charakter pełnoskalowej wojny. Broni Polskę i Europę [pisownia oryginalna] przed imperializmem rosyjskim". Pomijając kwestię, czy to teza prawdziwa, jak ma się ona do kluczowego faktu, a więc kwitnącego na Ukrainie kultu zbrodniarzy z UPA? „Niestety, obecne napięcia wpływają też negatywnie na postawy wobec Ukrainek i Ukraińców, którzy stali się tak ważną częścią polskiego społeczeństwa, oraz na postrzeganie Polaków przez Ukraińców". O jakie „obecne napięcia" chodzi? „Mamy świadomość tragicznych momentów polsko-ukraińskiej historii". Za nic nie wiadomo, czego dotyczy spór. Jedyne, co ważne, to „nasze wspólne zadanie to powstrzymania putinowskiej Rosji". Reszta się nie liczy. Chociaż jest i światełko w tunelu: „Czas na poważne rozmowy o przeszłości, na wyznanie win i pojednanie przyjdzie wtedy, gdy Ukraina – przy wsparciu sojuszników – pokona agresora". Dlaczego Polacy mieliby wspierać Ukrainę, która nie jest w stanie przyznać się do winy i wyrzec się kultu UPA – nie wiadomo. Wiadomo za to, że ludobójstwo na Wołyniu to „tragiczne momenty polsko-ukraińskiej historii".

Jedna rzecz dzięki listowi stała się jasna: podpisane pod nim redakcje od kilku lat są jedynie trybikami machiny propagandowej, służącej do walki z putinowską Rosją. Są na ideologicznym froncie, uczestniczą w krucjacie. Dziennikarze tych redakcji nie informują. Walczą z Rosją, i to tak bardzo, że zrezygnowali z obrony polskiej pamięci.

Nie mniejszym stopniem szaleństwa niż autorzy listu wykazał się z osobna inny autor „GW", Jarosław Kurski, który to w bombastyczno-podniosłym stylu tak ocenił to, co zrobił Karol Nawrocki: „Taki gest hańbi jego wykonawcę, a nie tego, kogo dotyczy". A więc to prezydent Polski, odbierając order, się zhańbił, a nie prezydent Ukrainy, mówiąc o „bohaterach UPA". Kult zbrodniarzy jest OK, reakcja na ten kult to hańba. Dlaczego? Dlatego, że najwyraźniej Polacy nie mają prawa do cierpienia i do pamięci o własnych ofiarach. Polacy – toż to obrzydliwa nacja.

Reprezentują ich troglodyci. Ci „budują swoją polityczną agendę na ksenofobii, na pogardzie wobec obcych, na sianiu nienawiści". Sprzymierzają się z Putinem i ze wszystkimi złymi mocami tego świata. Kurskiemu wtóruje niespełniona cały czas gwiazda lewicy, Sławomir Sierakowski. Ten nie tylko dostrzegł w Polsce atmosferę pogromową (w domyśle: zaraz polska swołocz rzuci się do gardeł Ukraińcom), lecz także opisał sprawę z perspektywy globalnej: „Cały świat przypomniał sobie o potencjale polskiej małostkowości. I to na tle ukraińskiego wszędzie docenianego bohaterstwa. Już gorzej się nie da".

W bardzo podobnym duchu wypowiadają się także ci, którzy uchodzili do tej pory za umiarkowanych. Bogusław Chrabota w „Rzeczpospolitej" dowodzi, „że decyzja Nawrockiego to akt dużo gorszy" niż to, co zrobił Zełenski. To „akt obraźliwy wobec prezydenta walczącego narodu i samego narodu" – bo oczywiście kult UPA nie jest aktem obraźliwym dla Polski. I dalej stara śpiewka: „To ukłon wobec części środowisk politycznych, które szukają swojej siły w historycznym rewanżyzmie, nacjonalizmie i ksenofobii. To środowiska antyeuropejskie i niechętne idei solidarności z innymi narodami. To zarazem plunięcie w twarz ludziom, milionom ludzi, którzy całe dekady poświęcili na budowę dobrych sąsiedzkich relacji z Kijowem, Berlinem, Tel Awiwem, Paryżem, Pragą, Bratysławą". Wszystkim im Nawrocki napluł w twarz. Wersję „symetrystyczną" oceny działań prezydenta przedstawił prof. Antoni Dudek. Z właściwym sobie obiektywizmem uznał on, że to spór „dwóch prezydentów nacjonalistów".

Jak nazwać te wszystkie postawy? Nie będę się na temat długo rozwodził, bo ciśnie mi się na usta jedno tylko słowo i nim zakończę: OBRZYDLIWE. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
CZY KACZYŃSKIEMU UDA SIĘ OGRAĆ BRAUNA
Ostatnia gra prezesa PiS

RAPORT: POLSKA – UKRAINA

20 ŁUKASZ WARZECHA
DWIE STRONY MEDALU
Czas na normalne stosunki

23 MACIEJ PIECZYŃSKI
ORDER ANTYPOLONIZMU

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
EPISKOPALNE PRZECIĄGANIE LINY
Nierozwiązany problem w polskim Kościele

29 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK PRÓBUJE ZAMIEŚĆ POD DYWAN AFERĘ W SZPITALU POŁUDNIOWYM

32 FILIP MEMCHES
WIELKI PLAGIATOR

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PANI OD CZOŁGÓW

36 RADOSŁAW WOJTAS
ŚMIECIOWE PRAWO

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
PAKT Z DIABŁEM
Powrót „Milczenia owiec"

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ
INNA BAJKA

42 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
NASZ EUROPEJCZYK

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 SERGIUSZ MUSZYŃSKI
Z WIERNOŚCI WOBEC WIECZNEGO RZYMU
Spór o nowe konsekracje biskupie w Bractwie Kapłańskim św. Piusa X

debata DO RZECZY

51 PAWEŁ CHMIELEWSKI
OSTRZEŻENIE KARDYNAŁÓW

54 JANUSZ KORWIN-MIKKE
SOJUSZ NIEMIEC I UKRAINY PRZECIW POLSCE? KRÓTKI KURS POLSKIEJ POLITYKI WSCHODNIEJ

58 ADAM WIELOMSKI
KTO ZAMKNĄŁ OCZY NA RZECZYWISTOŚĆ?

HISTORIA

60 PIOTR SEMKA
NA GÓRZE CZAROWNIC I SZPIEGÓW
Podróż w głąb dziejów Harzu

ŚWIAT

64 TERESA STYLIŃSKA
PUCZ NA DOWNING STREET 10
Polityczne trzęsienie ziemi w Wielkiej Brytanii

66 JACEK PRZYBYLSKI
ŻAL PO BREXICIE. DZIESIĄTA ROCZNICA PRZEŁOMOWEGO REFERENDUM

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
LARRY FINK PRZESTAWIA WAJCHĘ
Duża zmiana w korporacyjno-finansowym świecie

SPORT

74 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
FUTBOL NIE LICZY LAT
Piłka nożna nigdy się nie nudzi

LATO Z „DO RZECZY"

76 JACEK PAŁKIEWICZ
BADAIN JARAN – PUSTYNIA TAJEMNICZYCH JEZIOR
Przewodnik Jacka Pałkiewicza – część pierwsza

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), KOMUDA (57), ŻEBROWSKI, KOPER (63), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (72), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 5d267fd813

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Leszek Szymański/PAP, Paweł Wodzyński/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

W pogoni za Zachodem

Angielski serial „Rok za rokiem" z Emmą Thompson przedstawia niedaleką przyszłość, którą szykuje nam tzw. globalistyczna demokracja: upadek rodziny, odczłowieczone obozy dla imigrantów, transhumanizm, transseksualizm oraz błyskawiczna pauperyzacja społeczeństwa. Ponieważ zamarła produkcja, a rozrosły się usługi, fachowcy stali się zbędni i żeby przeżyć, jedni pakują w ogromnych halach chińskie towary, inni rozwożą je do klientów na rowerach, a po pracy zasiadają przed serialem. Bogacą się tylko nieliczni.

Jeszcze do niedawna Polska mogła się poszczycić wyjątkowo niewielkim rozwarstwieniem społecznym, a to dlatego, że PKB budowali głównie mali i średni przedsiębiorcy. Zaczęło się to zmieniać właściwie od razu po przystąpieniu do UE wraz z jej regulacjami, ułatwiającymi życie wyłącznie korporacjom. Obecnie małe firmy bankrutują i Polacy pracują w zagranicznych firmach jako podwykonawcy. W związku z tym błyskawicznie rośnie liczba polskich miliarderów i jednocześnie odbiorców seriali. Możemy być z siebie dumni, pod tym względem gonimy Zachód w rekordowym tempie. Brawo!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Dyskryminacja Polaków

Z wielką uwagą, ale i głębokim smutkiem przeczytałem na łamach Państwa portalu artykuł pt. „Były ambasador w Kijowie: Na Ukrainie Polacy są dyskryminowani systemowo", przytaczający bardzo mocne słowa Pana Bartosza Cichockiego. Jako stały czytelnik Waszego tygodnika czuję się w obowiązku zabrać głos, ponieważ sprawa ta dotyka fundamentów naszej narodowej godności i relacji z sąsiadami.

Słowa byłego ambasadora, który spędził w Kijowie najtrudniejsze chwile i doskonale zna tamtejsze realia, brzmią jak dzwon alarmowy. Obraz, który wyłania się z jego wypowiedzi – systemowa dyskryminacja Polaków, ograniczanie polskiego szkolnictwa, blokowanie zwrotu kościołów, a wreszcie trwająca „antypolska kampania" – jest dla nas wszystkich niezwykle bolesny. Szczególnie bulwersują zupełny brak refleksji po stronie ukraińskiej oraz wynoszenie na piedestał zbrodniarzy z UPA, co stanowi bezpośredni cios w pamięć o ofiarach rzezi wołyńskiej i naszą historyczną wrażliwość.

Czytając te doniesienia, odczuwam ogromne, osobiste rozczarowanie. Wszyscy doskonale pamiętamy bezprecedensowe zaangażowanie Polaków w pomoc Ukraińcom tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny z Rosją. Polskie społeczeństwo bez wahania otworzyło swoje granice, domy i serca. Sam również nie pozostałem bierny – od pierwszych dni konfliktu osobiście niosłem pomoc uchodźcom, poświęcając swój czas i środki. Robiłem to, podobnie jak miliony moich rodaków, z poczucia chrześcijańskiego obowiązku i w szczerej wierze, że w ten sposób budujemy trwały, braterski fundament pod przyszłe relacje naszych narodów.

Tym bardziej boli fakt, że po tych wszystkich gestach solidarności nasze stosunki są całkowicie pozbawione symetrii. Zdrowe partnerstwo między państwami musi opierać się na wzajemności i szacunku. Z naszej strony popłynęło ogromne, bezwarunkowe wsparcie, natomiast w zamian – jak gorzko zauważa ambasador Cichocki – spotykamy się z murem niezrozumienia i dyskryminacją naszych rodaków na Ukrainie.

Czas najwyższy, aby w debacie publicznej głośno o tym mówić, a polskie władze przestały ignorować ten problem w imię źle pojętego „większego dobra". Tylko relacje oparte na prawdzie, symetrii i elementarnym szacunku mają szansę przetrwać próbę czasu. Dziękuję Redakcji „Do Rzeczy" za poruszanie tych trudnych, ale absolutnie kluczowych dla polskiej racji stanu tematów.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 5d267fd813

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szczypta optymizmu



PIOTR SEMKA

Kryzys „orderowy" nie wpłynął najlepiej na nastroje Polaków. Ale warto wskazać na trzy wydarzenia, które niespecjalnie przykuły uwagę mediów, a są jednak bardzo znaczące.

Po pierwsze, wizyta prezydenta Karola Nawrockiego w Turcji. Trudno było nie zauważyć, że gospodarz prezydent Recep Tayyip Erdoğan zadbał o wyjątkowo uroczystą oprawę wizyty naszej głowy państwa. To naprawdę nie jest tak, że każdego przywódcę ze świata wita kompania honorowa ubrana w stroje średniowiecznych i XVIII-wiecznych janczarów. Ale i nasz prezydent przygotował się do wizyty odpowiednio i mile zaskoczył gospodarzy, witając tureckich żołnierzy w ich ojczystym języku słowami: „Merhaba asker"!

To przyjęcie pokazało, że Ankara widzi w Nawrockim silnego przyszłościowego lidera i potrafi to docenić. Mniejsza o oficjalne, zresztą bardzo ciepłe, komunikaty z wizyty. Ważniejsze to, że Erdoğan mógł w osobistej rozmowie poznać polskiego prezydenta i wyrobić sobie o nim zdanie. A turecki lider to ważny i wpływowy sojusznik.

Teraz druga ważna informacja. Jak wynika z deklaracji ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza, toczą się rozmowy na temat powołania stałej bazy wojsk USA w Polsce. Miałaby to być zupełnie nowa jednostka. Stała baza wojsk USA mogłaby znajdować się w pobliżu Poznania lub Wrocławia. Do Polski mogłoby po jej powstaniu przyjechać ok. 25 tys. osób, wliczając w to rodziny amerykańskich żołnierzy. Koszty zbudowania nowej bazy, a w szczególności infrastruktury, w tym mieszkalnej, mogą pochłonąć od 10 do 12 mld zł. Ale te koszty warto ponieść, byleby tylko obalić nieszczęsny nieformalny pakt między NATO a Rosją, zawarty w momencie rozszerzenia NATO, stanowiący, że na terenie państw byłego Paktu Warszawskiego nie powstaną żadne stałe bazy NATO-wskie. Dopiero gdy taka stała baza stanie się faktem, będziemy mogli uznać, że Polska przestała być członkiem NATO drugiej kategorii.

I wreszcie trzecia informacja, tym razem niespecjalnie miła, ale bardzo pouczająca.

Oto ambasada Federacji Rosyjskiej w Warszawie w swoim oświadczeniu dotyczącym odebrania Orderu Orła Białego prezydentowi Wołodymyrowi Zełenskiemu przypomniała, że zdecydowaną większość ofiar UPA na Wołyniu stanowili obywatele sowieccy. „Ofiarami ukraińskich nacjonalistów z UPA w czasie rzezi wołyńskiej w latach 1943–1944 byli głównie Polacy. Ale od 1 listopada 1939 r. byli oni obywatelami radzieckimi. Po klęsce Polski w wyniku agresji nazistowskich Niemiec we wrześniu 1939 r. Zachodnia Ukraina stała się częścią ZSRR, wraz z jego ponownym zjednoczeniem z Ukraińską SRR".

No cóż. Warto to odnotować. Haniebny fakt przymuszania polskich obywateli do przyjmowania sowieckiego obywatelstwa po 17 września 1939 r. to nadal element tradycji państwowej imperium Władimira Putina. Warto o tym pamiętać w sytuacji, gdy niektórzy widzą w Rosjanach sojuszników dla Polski w walce o prawdę na temat Wołynia. ©℗



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

KATASTROFA AWIONETKI

W pobliżu lotniska na warszawskim Bemowie w czwartek rozbił się mały samolot. Jak wynikało z pierwszych relacji świadków w mediach, pilot awionetki miał najprawdopodobniej problemy z silnikiem. Maszyna nagle przechyliła się na jedną stronę i spadła na teren Automobilklubu Polskiego. Natychmiast po uderzeniu o ziemię stanęła w płomieniach. Dwie osoby, które były na pokładzie, zginęły na miejscu. W katastrofie poszkodowane zostały także dwie osoby postronne. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1017~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 499 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5d267fd813



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zełenski nie zapomniał

Prezydent Ukrainy może żałować, że pogrywanie sobie w kulki z Polakami i wystawianie ich do wiatru nie jest konkurencją olimpijską – bo miałby już całą kolekcję medali, wartą być może więcej nawet niż „obywatelski order" Michnika, Holland i Kramka. Cóż, najwyraźniej Komitet Olimpijski uważa, że sport powinien wiązać się z jakimś wyzwaniem, nie można nagradzać czegoś tak beznadziejnie łatwego.

Mimo wszystko wyrolowanie polskiego premiera w kwestii gdańskiej Konferencji na rzecz odbudowy Ukrainy, zasługuje na uwagę. Skoro na oczywistą prowokację z „bohaterami UPA" ktoś wreszcie w Polsce zareagował – konkretnie prezydent – i zamiast nadstawić trzydziesty któryś policzek, wykonał gest sprzeciwu, to premier i jego czereda odruchowo i żywiołowo uznali Zełenskiego za sprzymierzeńca. Runęła fala krytyki wobec Karola Nawrockiego, odcinania się od Polski, relatywizowania zbrodni banderowców i wiernopoddańczych gestów wobec Ukrainy, takich jak wspomniany „obywatelski order". Na tej fali Donald Tusk postanowił za jednym zamachem poniżyć prezydenta RP i podlizać się prezydentowi Ukrainy, nie zapraszając na rzeczoną konferencję tego pierwszego. Zaproszenia Zełenski podpisał razem z Tuskiem, ale potem oznajmił, że do Gdańska nie przyjedzie. Zamiast tego przysłał tu najbardziej szemraną postać, jaką mógł: mera Lwowa, zdeklarowanego banderowca i wroga Polski, odpowiedzialnego za niszczenie polskich zabytków, z Cmentarzem Orląt na czele, i za obrabowanie polskiej firmy Control Process na prawie 20 mln euro. Po to, by podpisał akurat w Polsce umowy i listy intencyjne ze wszystkimi, poza Polakami.

Wystarczyło, że Zełenski rzucił wyzwanie Nawrockiemu, by Tusk i jego Michniki zapomnieli o podróży w osobnym wagonie i na czyje życzenie się to stało. Ale Zełenski nie zapomniał, że on nie walczy z PiS – on walczy z Polską, zarówno jej prezydentem, jak i premierem. Ciekawe, czy do naszych „Europejczyków" to wreszcie dotrze, czy – jak pisał klasyk – mają do głowy za daleko. ©℗

HOŁOWNIA NIE JEST WICESZEFEM POLSKI 2050

Były marszałek Sejmu Szymon Hołownia złożył rezygnację z funkcji wiceprzewodniczącego partii Polska 2050. Stanowisko to objął w lutym 2026 r., gdy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz wygrała wybory na przewodniczącą partii.

Jak podało TVN24, polityk niedługo przed odejściem założył na Facebooku grupę o nazwie „Umiarkowani". „Dlaczego założyłem grupę? Bo nadal chcę poprawić nasz kraj dla Marysi i Eli" – napisał były kandydat na prezydenta. Szymon Hołownia w przeszłości wielokrotnie przekonywał, że zdecydował się na karierę polityczną, aby móc zmieniać polską rzeczywistość dla swoich dzieci.

Zdaniem komentatorów Hołownia może wkrótce dołączyć do grona byłych celebrytów, biznesmenów czy artystów, których kariera w polityce po kilku latach się zakończyła. Do tego grona tego należy np. Janusz Palikot. ©℗

DOLAR NAJDROŻSZY OD ROKU, MOCNO STANIAŁY ZŁOTO ORAZ ZŁOTY

Po czerwcowym posiedzeniu amerykańskiej Rezerwy Federalnej dolar zaczął znacząco się umacniać na światowych rynkach. Rajd amerykańskiej waluty błyskawicznie uderzył w pozycję polskiego złotego. Po pokonaniu kluczowych oporów dolar stał się najdroższy od 12 miesięcy. Jeśli ten trend się utrzyma, to amerykańska waluta znów może kosztować powyżej 4 zł. Drożejący dolar mocno uderzył również w notowania złota, które w ubiegłym tygodniu kosztowało już nawet poniżej 4000 dol. za uncję. Od tegorocznych szczytów królewski kruszec stracił już niemal 30 proc. Analitycy i inwestorzy zastanawiali się więc w ubiegłym tygodniu, czy to wciąż jeszcze tylko korekta czy może już początek bessy... ©℗

RANKING ZAUFANIA. NAWROCKI I BRAUN MOCNO W GÓRĘ, TRZASKOWSKI W DÓŁ

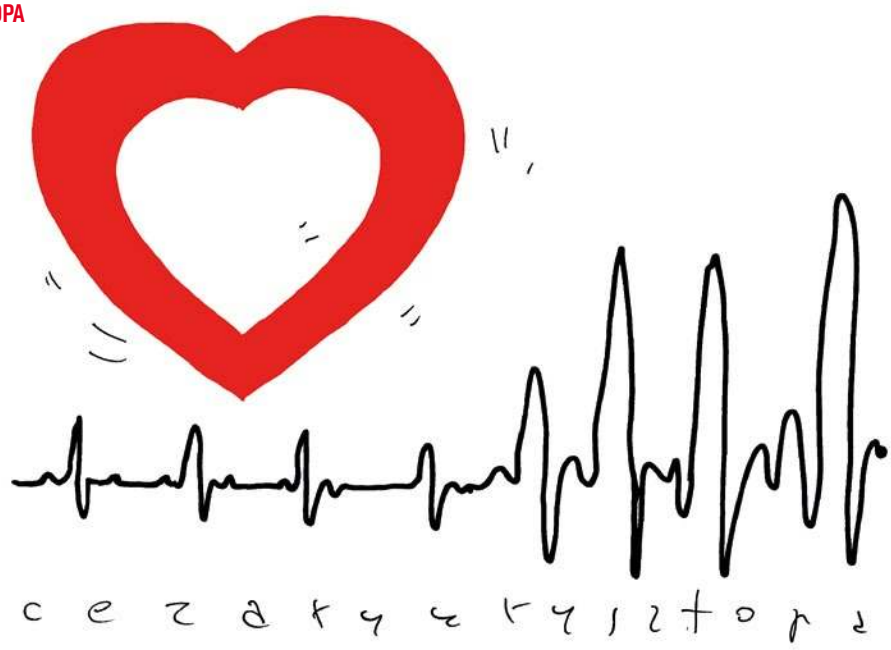
Prezydent Karol Nawrocki nie tylko utrzymał pozycję lidera rankingu zaufania wśród polityków, lecz także odnotował tak ogromny wzrost, że pobił rekordowy dotąd wynik Szymona Hołowni (54,4 proc.). Z najnowszego sondażu zaufania IBRiS dla Onetu wynika, że Karolowi Nawrockiemu ufa aż 54,8 proc. respondentów (wzrost w ciągu miesiąca o 8,4 p.p.).

Na podium znaleźli się też szef dyplomacji Radosław Sikorski (ufa mu 42,6 proc. ankietowanych) oraz premier Donald Tusk (z zaufaniem na poziomie 38,1 proc.).

Najnowszy sondaż pokazał również, że wzrósł odsetek Polaków, którzy zaufaniem darzą Grzegorza Brauna (wzrost o 7,3 p.p. do 23,7 proc.). Coraz mniej osób ufa z kolei prezydentowi Warszawy Rafałowi Trzaskowskiemu (spadek o 5,6 p.p. do 32,5 proc.). ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Pępek żąda podziękowań



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Idzie ku skróceniu procedur. Stop. Lekarz Emil Jędrzejewski wyrzucony ze Szpitala Południowego w Warszawie powiedział, jak miały wyglądać praktyki w placówce, którą zdawał się zarządzać 28-letni Dawidek z Koalicji Obywatelskiej. Stop. Niestety, mówił wprost, że dochodziło do przypadków śmierci pacjentów z powodu zaniedbań i błędów niedoświadczonego, partyjnego medyka, który ze szpitala miał zrobić lecznicę dla KO. Stop. Dzień po wywiadzie prokuratorzy wezwali Jędrzejewskiego na przesłuchanie, ale nie chciał zeznawać bez adwokata. Stop. Wtedy właśnie innowację zastosował premier Donald Tusk, podważając wiarygodność świadka. Stop. Generalnie do tej pory wiarygodność świadków oceniały sądy, ale gdyby Tusk skazał też pana Emila na więzienie za podniesienie ręki na człowieka z KO, bardzo skróciłoby to procedury i wyręczyło przeciążone sądy, także wyrazy uznania. Stop.

Marcin Warchoł z PiS poinformował: „Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał prokuraturze wszcząć śledztwo w sprawie udziału Donalda Tuska, Adama Bodnara i innych osób w zorganizowanej grupie przestępczej, która, destabilizując polski porządek prawny, nielegalnie pozbawiła Dariusza Barskiego funkcji Prokuratora Krajowego". Stop. Prokuratura odmawiała wszczęcia. Stop. Można byłoby napisać, że sędziowie są niczym papierki lakmusowe rejestrujące zmiany, zanim do zmian dojdzie. Stop.

Według sondażu opublikowanego przez Onet (niemiecko-szwajcarski kapitał) Polacy po aferze w służbie zdrowia domagają się zmian w rządzie. Stop. Pewnie Niemcy szukają kogoś proniemieckiego na stanowisko premiera. Stop. Tylko skąd go wziąć?

Jacek Dubois, ten sam, który brał udział w przesłuchaniu Barbary Skrzypek, został obrońcą Dawida Kacprzyka. Stop. Natychmiast nastraszył procesami karnymi lekarza, który poinformował o nieprawidłowościach w Szpitalu Południowym. Stop. Dubois, choć postrzegany jako adwokat Koalicji, nie ma żadnych powiązań z rządem, bo Maria Ejchart, która jest wiceministrem sprawiedliwości, czyli takim wice-Żurkiem, już nie jest jego żoną. Stop.

Posłanka Małgorzata Pępek z KO wepchnęła się na badania w szpitalu w Żywcu. Stop. Zamiast czekać dwa lata, czekała trzy tygodnie. Stop. Po ujawnieniu wepchnięcia poinformowała media, że powinno się jej podziękować. Stop. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

GEJ JAK NIEGEJ

Trwa tzw. miesiąc dumy LGBT. Jeszcze dwa lata temu tęczowymi barwami obwieszona była cała Warszawa. Dzisiaj? Flagi widać tylko gdzieniegdzie. Największym znakiem, że „coś" trwa, była w stolicy Parada Równości. Jak co roku postanowiło podlansować się na niej duże grono celebrytów, bo w niektórych kręgach bycie tęczowym jest wciąż cool. Wśród uczestników zabrakło jednak znanego na Instagramie trenera fitness Daniela Kuczaja, zadeklarowanego geja. W rozmowie z Pudelkiem przyznał, że nie jest fanem tego rodzaju parad. Zdaniem celebryty „parady robią więcej złego niż dobrego". – Też nie chodzę na parady. Dla mnie te parady robią więcej złego niż dobrego i ja nie potrzebuję iść na paradę i paradować, i mówić, że jestem dumny z tego, że jestem gejem, bo po prostu jestem. To jest moja orientacja i tyle, nie potrzebuję z tego robić wielkiego halo – stwierdził. – Heteroseksualni ludzie nie chodzą codziennie na parady i nie mówią „jesteśmy heteroseksualni", więc ja nie potrzebuję iść na paradę i mówić „jestem homoseksualny" – podsumował. A ten Kuczaj to już chyba nie chce być zapraszany na ścianki i inne imprezki, co?



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

LISS ROBI SOBIE POD GÓRKĘ

Pomysł manifestowania swojej orientacji seksualnej nie spodobał się też wschodzącej gwieździe polskiego kina. Aktor Ignacy Liss, który wciela się w postać geja w serialu „Proud" emitowanym obecnie na platformie HBO, nie dość, że sam gejem nie jest, to jeszcze nie przepada na łażeniem po ulicach z – pisząc najdelikatniej – półgołym tyłkiem. „Myślę, że sztuka – film czy serial – jest takim bezpiecznym miejscem, w którym można powiedzieć, co się myśli. Pokazać to, wyrazić siebie, wyrazić jakieś tam swoje emocje związane z tym tematem. Nie narażając się też na niepotrzebne przepychanki. To jest mój największy wyraz solidarności. Jestem raczej zwolennikiem rozmowy, słuchania siebie nawzajem, a nie wyzywania i skreślania" – stwierdził aktor w wywiadzie, dając znać, że na paradzie raczej go nie zobaczymy. Oczywiście wielu nie spodobała się taka postawa. No bo jak to tak? Liss odpowiedział. „Podałem dalej te komentarze, nie uważam, żeby to był jakiś problem. Krytyka, szczególnie konstruktywna krytyka, jest potrzebna. Tutaj może nie wszystko jest konstruktywną krytyką, ale na pewno rozumiem punkt widzenia co do niektórych myśli. Postanowiłem, że to udostępnię i się do tego odniosę, bo o to chodzi w życiu, żeby gadać i się szanować. Trochę mam ochotę się z tego tłumaczyć, a trochę nie mam ochoty się z tego tłumaczyć. To był mój kolejny wywiad w ciągu tego dnia i pewnie mogłem lepiej ubrać myśli w słowa. Może wtedy mógłbym być lepiej zrozumiany, ale co do zasady powiedziałem tak, jak jest" – napisał na Instagramie. Dalej argumentował, że duże zgromadzenia publiczne budzą w nim poczucie braku bezpieczeństwa. „Wierzę w to, że jest mnóstwo osób z mniejszości seksualnych, które też nie przepadają za takimi miejscami jak Parada Równości czy Marsz Niepodległości, czy inne protesty i pikiety, bo po prostu nie czują się tam bezpiecznie. Ja trochę tak mam i to nie jest przestrzeń dla mnie, dlatego nie chciałem ściemniać i mówić, że jest inaczej" – podsumował. Kuczaja przestaną zapraszać na ścianki, a Lissa w ogóle nie zaczną. Tak będzie.

SŁODKIE KŁAMSTEWKO

Wielu czytelników pewnie jest niepocieszonych tym, że na trwającym właśnie mundialu nie ma naszych. Na poprawę nastrojów historyjka z życia RL9. Niesportowa, taka życiowa. Z okazji 13. rocznicy ślubu, która minęła 22 czerwca (powiedzieli sobie sakramentalne „tak" w Kościele Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny Parafii św. Anny w Serocku), media plotkarskie przypominają początki związku Roberta Lewandowskiego z Anną Stachurską. Poznali się w 2007 r. podczas obozu sportowego na Mazurach. On był wtedy graczem Znicza Pruszków, ona utytułowaną zawodniczką karate. Po latach sportowiec tak opowiadał o tamtym wypadzie. „Mogłem nie jechać na obóz integracyjny, gdzie spotkałem Anię. Mogłem nie zdążyć... Ale dojechałem na jeden dzień. Pamiętam, że zobaczyłem piękną blondynkę... Ania trochę się zmieniła przez te lata. Oczywiście, że na korzyść. Wydoroślała. Ja zresztą też". Jak przyznała Anna Lewandowska w magazynie „Viva!" w 2014 r., wielka miłość zaczęła się od drobnego kłamstwa. „Nasze pierwsze spotkanie było zabawne. Robert myślał, że gram w tenisa albo tańczę w balecie. Kiedy się dowiedział, że trenuję karate, z początku nie uwierzył. Powiedział mi, że ma na imię Andrzej. Umówiliśmy się w kawiarence przy Chmielnej. Okazało się, że ćwiczymy w tym samym miejscu..." – wspominała najsłynniejsza polska WAG. Pierwsza „prawdziwa" randka miała miejsce w kinie, a już kilka miesięcy później zostali parą. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nawet małe kłamstewko. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to już, zaczęły się wakacje, koniec szkolnej opresji, ale też rocznica wybuchu drugiej wojny światowej… Czy nie? Ciągle nam się myli, czy to na początek czy na koniec roku szkolnego. No, ale mniejsza o to, dla wielu z Was będzie to czas odpoczynku, regeneracji i zadbania o mindfulness czy co tam się z mindfulnessem robi.

Niestety, koniec szkolnej opresji oznacza, iż wakacje to również okres wzmożonej obecności dzieci w przestrzeni publicznej. Przez większą część roku jest ona skutecznie limitowana przez system edukacyjny, co pozwala osobom w kryzysie pełnoletności funkcjonować w miarę normalnie. W lipcu i sierpniu jest jednak trudniej, zwłaszcza w miejscach wakacyjnych destynacji, gdzie dzieci krzyczą, biegają, domagają się lodów czy gofrów – serio, są strasznie roszczeniowe – ciągle zadają pytania i do tego robią kupy na wydmach, co już przed laty zaobserwowali nadwiślańscy celebryci.

Niestety, problem został pogłębiony przez politykę socjalną ostatnich lat. Kiedyś przeciętny mieszkaniec tego kraju siedział w czasie urlopu na działce pod Radomiem i raz w roku jechał do babci na wieś (do Radomia xD). Dziś każdy beneficjent niesprawiedliwych transferów społecznych uważa, że należy mu się urlop nad morzem. Efekt jest taki, że człowiek jedzie do Władysławowa i zastaje tam naprawdę dużo Polaków.

Znacie nas, nie chcemy of kors nikogo oceniać, ale trudno nie zauważyć pewnych różnic kulturowych, które do tego się jeszcze chyba pogłębiają. Dla przykładu: dynamiczni millennialsi z większych ośrodków podróżują z psiećmi, które są ciche, empatyczne i nie domagają się dmuchanego krokodyla za 99 zł. Tymczasem mamy wrażenie, iż państwo nadal dyskryminuje opiekunów psieci. Zniżki kolejowe dla osobodzieci są, ulgowe bilety wstępu – również. No a gdzie ulga dla psiecka? W czym właściwie psiecko jest gorsze od dziecka? Znacie jakieś psiecko, które się rozwyło na całą plażę, bo matka mu przyniosła nie taki smak lodów?



Osobnym problemem jest wynikająca ze skutecznej polityki rządu i rosnących wynagrodzeń ekspansja Polaków za granicę. Kiedyś można było polecieć do Barcelony albo Lizbony i przez tydzień obcować z lokalną kulturą, smakować się w rozbrzmiewających w wąskich uliczkach językach obcych, a dzisiaj człowiek wejdzie do dowolnego mercado i już słyszy język polski i zdania typu: Halyna, a u nas te brzoskwinie tańsze! Dlatego też od jakiegoś czasu konsekwentnie unikamy za granicą rozmawiania po polsku, iż raz – bo jednak trochę wstyd, a dwa – nie chcemy, iżby jakiś Janusz z Podkarpacia się z nami spoufalał i myślał o nas jak o rodakach. Dlatego mówimy tylko po angielsku, a miejscowi z jakiegoś powodu często pytają nas, czy jesteśmy z Rosji.

Po raz kolejny dochodzimy do wniosku, że kolejny urlop trzeba będzie planować na listopad. Morze pewnie będzie zimniejsze, ale przynajmniej osoba ma szansę nie spotkać dzieci i Polaków przekonanych, że ich Franek jest wyjątkowo rozwinięty jak na swój wiek i niech pan popatrzy (tak, wciąż zakładają płeć osoby na podstawie cech zewnętrznych…), jak on pięknie czyta literki. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jego i tak nikt nie słucha

Donald, musimy ustalić, co mam mówić, jak będą pytali, skąd minister zdrowia wziąłeś.
Zwalmy to na Szymona, on i tak już jest spalony.

Ale jak na Szymona?
Normalnie. Mów, że przyłaził, męczył, jęczał, więc się w końcu zgodziłem.

Ale Szymon zaprzeczy.
Niech sobie zaprzecza. Jego i tak nikt nie słucha. Aha, i powiąż to jakoś z zaprzysiężeniem prezydenta. I niech Roman odpali silniczki. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nastroje w Polsce robią się pogromowe. To nie jest histeria, myślę, że będzie gorzej”.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI, *publicysta, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”*

eprasa.pl 5d267fd813

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wszyscy pytają nas, jak się skończy afera Szpitala Południowego. Otóż nie wiemy. Ale wiemy, jak przekłada się na sytuację bieżącą. Otóż wewnętrzne badania na zlecenie PiS pokazują wyraźny wzrost poparcia dla całej prawicy. Łącznie do ponad 50 proc. dla PiS i obu Konfederacji.

W tej beczce miodu jest łyżka dziegciu. Otóż na ten świetny wynik – osiągnięty, gdy w oficjalnie publikowanych badaniach taki łączny wynik jest w okolicach zaledwie 40 proc. – składa się głównie wzrost poparcia dla obu Konfederacji. Ze wzrostem poparcia dla samego PiS jest natomiast kłopot.

Natomiast w PiS zabawa na całego. Po stowarzyszeniu Morawieckiego (STROP – Stowarzyszenie Rozwój Plus) i stowarzyszeniu Sasina (POPIP – Po Pierwsze Polska) powstać ma trzecie stowarzyszenie, którego domaga się Marek Suski. Miałoby ono skupiać dawnych działaczy z Porozumienia Centrum, zwanych czasem „zakonem PC". Jak rozumiemy, stowarzyszenie mogłoby się więc nazywać po prostu Zakon PC. Ciekawi jesteśmy treści reguły zakonnej. My chętnie wszystkim stowarzyszeniom i zakonom w PiS zaproponowalibyśmy: „Ora et labora".

Domykając wątek partyjny: w miniony czwartek miała miejsce ważna konferencja prasowa szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego. No i szok: Republika transmitowała całość, a wPolsce24 – przerwała na dobry kwadrans. Przypadek?

Tymczasem swoje stowarzyszenie powołała znana i lubiana ekskonfederatka Ewa Zajączkowska-Hernik. Ma to być Ruch Biało-Czerwoni. Także dla tej inicjatywy mamy poręczny skrót: RUBIC. Bardzo podoba nam się robocze hasło RUBIC: „Dość dziadostwa!". Mamy je za mocno ponadpartyjne.

W związku z powstaniem RUBIC-u ciekawi nas reakcja PiS. Jak wiadomo bowiem, „biało-czerwoną drużyną" był dotąd PiS w ramach kampanii wyborczej 2015. Jak bronić tego dziedzictwa przed zawłaszczeniem? Ani chybi Bełata Szydło założy jakieś stowarzyszenie w PiS.

Przed Komisją Spraw Zagranicznych stanęła szara eminencja MSZ, czyli niejaki Rafał Wiśniewski. Facet chce zostać ambasadorem, ale oczywiście nim nie zostanie, bo nie zgodzi się na to Karol Tadeusz. Nami natomiast wstrząsnęło, że facet mijał się z prawdą i ani koalicja, ani opozycja nie zwróciły na to uwagi. Cytujemy: „Co do minionych dwóch lat, to tylko zwrócę uwagę na to, że według mojej najlepszej kalkulacji i pamięci nie został odwołany przed minimum czteroletnim pobytem poza Polską

eprasa.pl 5d267fd813

żaden zawodowy dyplomata polskiego MSZ". Zaczęliśmy liczyć i naliczyliśmy co najmniej sześciu takich dyplomatów. Wszystkich osobiście odwoływał Wiśnia. Jakby chciał nas pozwać, to służymy listą.

Nasze dyplomatyczne wiewiórki odkryły bardzo ciekawy zapis w przepisach o służbie cywilnej, które dotyczą też służby zagranicznej. Owszem, ma ona swoją osobną ustawę, która jednak stanowi, że w rzeczach nią nieuregulowanych stosuje się przepisy ustawy o służbie cywilnej. A tam jest wymóg nieskazitelnego charakteru. Nie jesteśmy przekonani, czy jak ktoś tłucze żonę, to można mówić o nieskazitelności charakteru.

Tymczasem, jak donoszą nasze wiewiórki, całkiem spory odsetek dyplomatów to żonobijcy z Niebieskimi Kartami. Zdarzają się też mobberzy i zwykli przekręciarze.

Od dłuższego czasu policjanci w cywilu prowadzą obserwację niejakiego Roberta Bąkiewicza, usiłując go złapać na czymkolwiek. Ale ostatnio zdjęto obserwację, bo trzeba było wysłać ludzi z „betki" (tak wciąż się mówi o obserwacji, choć to termin z głębokiej komuny, pochodzący od biura B Służby Bezpieczeństwa, które zajmowało się inwigilacją) gdzie indziej. Otóż okazało się, że bardziej są oni potrzebni przy okazji szczytu o odbudowie Ukrainy w Gdańsku.

Zgony w szpitalach to wydarzenia, które z natury rzeczy zachodzą powszechnie. Niektórzy nawet mówią: „Nie chcę do szpitala, bo tam ludzie umierają". Cóż, głośno było o tym ostatnimi czasy, ale nie w związku z tą mądrością ludową. Otóż mamy wiadomość: niebawem będzie głośno o zgonie, który miał miejsce w służbach mundurowych albo i bezmundurowych. I został skrzętnie zatuszowany. Stay tuned.

W minioną sobotę odbywała się w Budapeszcie Pride Parade. Polska ambasada i Instytut Polski znalazły się wśród trzydziestu paru zagranicznych placówek dyplomatycznych, które wystosowały wezwanie do mieszkańców Węgier, aby w tym Marszu Dumy licznie wzięli udział. Nie wiemy, jak do apelu ustosunkowali się mieszkańcy Węgier, ale wiemy, jak ustosunkował się premier Péter Magyar. Otóż ogłosił wyjazdowe posiedzenie rządu, które na wszelki wypadek potrwa cały weekend. Jak widać – faszyzm trzyma się mocno nad Dunajem.

Wracamy do Warszawy. A tu – ciekawa sprawa. Wiewiórki mówią, że np. Marcin Kierwiński, minister oraz nabab partyjny w stolicy, nie miałby w sumie nic przeciwko referendum w sprawie odwołania Rafcia Trzaskowskiego. A to dlatego, że p.o. prezydentem byłby komisarz wyznaczony przez Donalda. A Donald mógłby wyznaczyć kogoś od Kierwińskiego, a nie od Rafcia. Takie tam wewnątrzpartyjne rozważania.

Bardzo ubawiło nas zdanie jednego z polityków KO, cytowanego anonimowo w mediach, na temat tego, że Kierownik się wściekł i rozważa rozwiązanie struktur partii w Warszawie, tak jak wcześniej zrobił to w Krakowie. Zdanie brzmi: „Jeśli nie będzie innego wyjścia, to sam wkroczy do stolicy, żeby zrobić porządek". Biedna stolico, niegdyś wkraczali tu Szwedzi albo Suworow. A teraz – Tusk. Jaś Kapela mógłby nawet napisać okolicznościowy wiersz: „Na wkroczenie Tuska do Warszawy".

Tusk ma wkroczyć do Warszawy, a Ryszard Petru ponownie do polityki. Pamiętacie zapewne, że miesiąc temu zapowiadano, iż będzie wiceministrem rozwoju. Ale okazało się, że oddelegowano go na odcinek zakładania nowej partii, określanej mianem „Konfederacji light". Cóż, mamy déjà vu. Pamiętamy, jak przed rokiem 2015 Petru chciał być ministrem, ale nie został, więc założył Nowoczesną. Mówią, że historia powtarza się jako farsa. W tym przypadku farsa powtarza się jako farsa.

Co do hasła: „Konfederacja light" – popieramy. Z drobną poprawką. Tak jak z jogurtami, wiecie, są jogurty light i są jogurty zero. W tym przypadku będzie to ten drugi przysmak.

W związku z naszymi kpinami sprzed tygodnia na temat tego, że w Luksemburgu nie mówi się językiem luksemburskim, informujemy, że, owszem, mówi się. Odpowiadamy tym samym na gniewne sprostowanie. Chcemy jednak zauważyć, że wedle ostatnich badań mniej niż połowa mieszkańców księstwa uważa luksemburski za swój język ojczysty. Cóż, gdyby mniej niż połowa mieszkańców Polski deklarowała, że polski to ich język ojczysty, to też napisalibyśmy, że w Polsce nie mówi się po polsku.

Ale skoro już uderzono w luksemburski stół, to niech odezwą się noże. W minionym tygodniu w ambasadzie Luksemburga w Warszawie odbywała się uroczysta bibka z okazji narodowego Dnia Luksemburga. Oczywiście były tam nasze wiewiórki. Odnotowały, że zadziwiająco dużo mówiło się tam po francusku.

Cechą charakterystyczną bibki luksemburskiej był fakt, że poza licznymi innymi ambasadorami nie przybył tam w sumie nikt ważny ze strony polskiej. Kontynuowana jest w ten sposób tradycja z poprzedniej kadencji. Otóż w czasach rządów PiS imprezy luksemburskie ignorowane były przez MSZ, gdyż luksemburski minister spraw zagranicznych był strasznie antypisowski. A dlaczego ignorowane są przez rząd PO, czyli KO? Cóż, nie chcemy być złośliwi, ale tego samego dnia odbywała się duża bibka w ambasadzie Niemiec.

Jak pamiętacie, wznosząc hasło: „Dima Maghrib!" („Naprzód, Maroko"!), pozwoliliśmy sobie także podać w wątpliwość istnienie języka marokańskiego. Otóż jeden rabin powie, że tak, a drugi – że nie. Mianowicie jest to odmiana arabskiego. Z drugiej strony inni Arabowie nie rozumieją Marokańczyków. Nie przekonuje nas ten argument. U nas nawet Polacy nie rozumieją Polaków. W każdym razie, gdybyście chcieli błysnąć, to ten marokański arabski nazywa się daridża (darija). U nas gorzej, nie wiadomo, jak rozróżnić, bo język tefauenów, złonetów i wyborczej to niby też polski. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

POTĘŻNE TRZĘSIENIA ZIEMI W WENEZUELI

Co najmniej 235 osób zginęło, a 4,3 tys. zostało rannych w wyniku dwóch potężnych trzęsień ziemi o magnitudzie 7,2 oraz 7,5, które w środę nawiedziły Wenezuelę.

Gdy w piątek zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", pod gruzami zawalonych budynków nadal znajdowali się żywi ludzie. Na miejscu brakowało ciężkiego sprzętu, który pozwoliłby ich uwolnić. Bilans ofiar prawdopodobnie więc wzrośnie.

Dziesiątki tysięcy rodzin, którym udało się wyjść cało z trzęsień ziemi, pozostały bez dachu nad głową. Ze względu na zniszczenia po trzęsieniach ziemi władze zdecydowały o zamknięciu międzynarodowego lotniska w pobliżu wenezuelskiej stolicy.

Na ulicach Caracas i mniejszych miast panują chaos oraz panika. Skala kataklizmu jest tak wielka, że władze Wenezueli ogłosiły w czwartek stan wyjątkowy. Rzecznik polskiego MSZ Maciej Wewiór oznajmił w czwartek, że nie ma informacji, by podczas środowych trzęsień ziemi ucierpiał którykolwiek z polskich obywateli. Gotowość do pomocy zadeklarowały m.in. władze Francji, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Argentyny, Brazylii, Chile, Ekwadoru, Meksyku, Urugwaju, Salwadoru i Panamy. ***(jap)*** ©℗

FOT. DIKO BETANCOURT/AFP/GETTY IMAGES





Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ostatnia gra Kaczyńskiego

eprasa.pl 5d267fd813



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Samodzielne rządy Prawa i Sprawiedliwości po wyborach w 2027 r. to wariant wyłącznie teoretyczny? W praktyce PiS nie ma żadnych szans na zdobycie 35–40 proc. głosów?

MARCIN PALADE: Prezes Kaczyński może wyznaczać cele dla PiS, jak ten sprzed roku na poziomie 40 proc. w wyborach roku 2027, ale prawdopodobieństwo tego zdarzenia jest mniejsze niż trafienie szóstki w Lotto. Dowodzi tego, że na Nowogrodzkiej jest wciąż obecne przekonanie o dominacji lub – jak kto woli – mocarstwowości PiS na prawo od centrum. Tymczasem notowania PiS są w trendzie spadkowym od siedmiu lat. Raz jeszcze powtórzę – od siedmiu lat. Szczytu z eurowyborów i wyborów sejmowych z 2019 r. nie udało się poprawić po udanej batalii Andrzeja Dudy o reelekcję w 2020 r. A potem było już tylko gorzej, z 35 proc. w ostatnich wyborach. Teraz zaś, półtora roku przed następnymi wyborami, z kolejnym ubytkiem sięgającym co czwartego wyborcy. Ale załóżmy, że spełnia się sen Jarosława Kaczyńskiego. Polacy przepraszają się z PiS, a partia zdobywa te 40 proc. I jest dokładnie w takiej samej sytuacji co w 2023 r., bez większości i bez perspektywy przyciągnięcia innych ugrupowań, by tę większość osiągnąć. Bo żeby PiS miał większość, musiałby dziś zdobyć nie mniej niż 46 proc., co wydaje się możliwe, ale wyłącznie w niektórych gminach południowej części województw lubelskiego i środkowo-wschodniej na Podkarpaciu.

Z większości sondaży wynika, że ewentualna koalicja PiS-Konfederacja-Korona ma realne szanse na większość parlamentarną po przyszłorocznych wyborach. Sęk w tym, że o koalicji z Koroną Grzegorza Brauna słyszeć nie chce Jarosław Kaczyński. Skąd bierze się ta obsesyjna niechęć Kaczyńskiego do Grzegorza Brauna? Czego boi się lider PiS?

Od miesięcy obraz pozostaje niezmienny. PiS z szansami, w nowym rozdaniu, na 140–155 mandatów, Konfederacja na 55–70, Korona na 35–50. Gołym okiem widać, że koalicja PiS i Konfederacja się nie składa. Większość jest wyłącznie z Koroną. Tyle tylko, że Kaczyński, tuż po rozmowie z ambasadorem USA w Warszawie kilka miesięcy temu, zakomunikował, że z partią Brauna w żadne alianse nie zamierza wchodzić. Powtórzyło to w ostatnim czasie wielu polityków PiS i nie wydaje mi się, żeby do wyborów nastąpiła jakaś korekta. Tak życzy sobie

eprasa.pl 5d267fd813

Waszyngton, ten republikański, a dla lidera PiS to jest świętość i coś, co nie podlega dyskusji. A rzeczony Waszyngton, nie po to, do spółki z Berlinem, dokonał nowego otwarcia na rodzimej scenie politycznej, na gruzach SLD w roku 2005, dla realizacji swoich interesów w tej części Europy, żeby godzić się na coś, co to kontrolowane zabetonowanie miałoby naruszyć. Strawna dla Waszyngtonu, choć też z zastrzeżeniami, jest Konfederacja. Ale już Korona, najbardziej twarda i antysystemowa, absolutnie nie. Raz jeszcze powtórzę dla jasności: dla Waszyngtonu i Berlina/Brukseli. Bo suweren w wyborach, raz na cztery lata, w tej materii nie ma za dużo do powiedzenia.

Widać jak na dłoni, że strategią PiS na zbliżające się wybory będzie próba odbicia wyborców Koronie i neutralizacji Brauna. Czy to możliwe? Jeśli PiS chce ścigać się na radykalizm z Koroną, to będzie totalnie niewiarygodny.

Stąd manewr Kaczyńskiego z Przemysławem Czarnkiem, kojarzonym z prawą stroną PiS, i nadzieja, że przyciągnie wyborców tej partii, którzy przenieśli się do Konfederacji, a przede wszystkim Korony. Tyle tylko, że ci ekswyborcy PiS mieli konkretne powody, by to zrobić. Covidowy sanitaryzm, Zielony Ład, relacje z Ukrainą czy Izraelem. To wszystko – co krok po kroku przestali akceptować – ideowi, tożsamościowi wyborcy, przez lata głosujący na PiS. Zdecydował okres po wyborach roku 2023, kiedy PiS, bez refleksji nad przyczynami oddania władzy, brnął w kierunku, żeby dalej było tak, jak było. Widzimy od miesięcy nieudolne próby zwrotu PiS, a to, jeśli chodzi o politykę klimatyczną czy ostatnio znaczące pogorszenie relacji z Kijowem. Przy zerowej wiarygodności, a jednocześnie alternatywie, która jawi się nie jako twór sezonowy, a stały komponent po prawej stronie sceny politycznej. Konfederacja i Korona sprowadziły PiS do notowań z „dwójką" z przodu. I wydaje się, że to nie jest ich ostatnie słowo, bo zmienia się w zawrotnym tempie struktura elektoratów i partia Kaczyńskiego stoi tu na straconej pozycji. Czyli bez perspektyw w średnim terminie, mam na myśli kolejną dekadę.

Jak Kaczyński chce „wyłączyć z gry" Brauna? Czy straszenie nim jako marionetką Władimira Putina, pierwszym antysemitą III RP, wrogiem sojuszu z Ameryką i promotorem polexitu, nie jest przeciwskuteczne?

Te argumenty padają i będą padać, ale dowodzą, że Jarosław Kaczyński żyje w równoległej rzeczywistości. No właśnie dlatego wielu ekswyborców PiS jest dziś w Koronie, bo mieli dosyć PiS-owskich tropicieli „ruskich onuc" i „agentów Putina", z twarzami patriotycznych Robespierre'ów pokroju Mariusza Kamińskiego czy Stanisława Żaryna. Zwłaszcza teraz przy „wyczynach" Wołodymyra Zełenskiego, wieloletniego przyjaciela tzw. obozu patriotycznego. Właśnie dlatego wielu jest w Koronie, bo pamiętają choćby, jak PiS negocjował z Mosadem nowelizację ustawy o IPN w Wiedniu. Właśnie dlatego są w Koronie, bo pamiętają, że antyunijne machanie szabelką przez PiS kończyło się zwykle podkulonym ogonem. Przykłady można by mnożyć i mnożyć. A wszystko sprowadza się do terminu, który już użyłem – wiarygodność. A w zasadzie jej totalny brak w przypadku PiS.

Konfederacja i Korona sprowadziły PiS do notowań z „dwójką" z przodu. I wydaje się, że to nie jest ich ostatnie słowo, bo zmienia się w zawrotnym tempie struktura elektoratów

Czy prawdopodobne skazanie Grzegorza Brauna, uniemożliwiające mu start w przyszłorocznych wyborach, napędzi poparcie dla Korony czy przeciwnie – w myśl formuły „uderz w pasterza, a rozproszą się owce"?

Pewnie niektórych zaskoczę, ale nie wszyscy w obozie centrolewu są zwolennikami radykalnego rozstrzygnięcia z Grzegorzem Braunem. Czyli jego skazaniem i tego politycznymi konsekwencjami dla Korony. Tak chciałoby twarde jądro, niemyślące o kilku ruchach do przodu. Przekonane, że wygumkowanie Brauna zamyka problem, a demokracja walcząca zatriumfuje. Ci bardziej rozumni grają na to, by sprawa się toczyła, ale nie zatopiła Brauna. Dlaczego? Bo silny Braun to małe prawdopodobieństwo – o czym już mówiliśmy – dogadania się po wyborach roku 2027 przez centroprawicę i prawicę. A ponadto mają świadomość, że polityczne wyzerowanie Brauna, najtwardszego antysystemu, wcale nie zamyka sprawy obecności tego środowiska. Wręcz przeciwnie. Represje mogą okazać się pomocne i konsolidować wokół formacji, która – jeśli nawet fizycznie bez aktywnego Brauna – będzie po następnych wyborach liczącą się siłą polityczną i ważną składową układanki na prawo od centrum.

Zgodzi się pan z tezą, że to być może ostatnia wielka gra polityczna, której podjął się Jarosław Kaczyński, inspirowana jest w ambasadach USA i Izraela?

Co do, co najmniej, trybu konsultacyjnego, Kaczyńskiego i PiS z ambasadorem Tomem Rose'em na Pięknej, który przecież jest pośrednikiem z przekazywaniem wskazówek z metropolii do kolonii, chyba nie mamy wątpliwości. To swoiste kuriozum, że latami, skądinąd słusznie, PiS zarzucał Platformie Obywatelskiej, że jest na pasku czy na rozkaz Berlina, a formacja Kaczyńskiego jak była, tak pozostaje do pełnej dyspozycji Waszyngtonu. Co do drugiego kraju, który pan wymienił, to nie ulega wątpliwości, że jest on postrzegany przez kierownictwo PiS jako – tu użyję niedawno użytego w jednym z wywiadów radiowych zwrotu wiceszefa PiS Mariusza Błaszczaka – ten „po jasnej stronie mocy". Co istotne, to wschodzenie w cztery litery USA i największemu sojusznikowi USA na świecie przez PiS, w dobie znaczącego spadku odsetka Polaków pozytywnie oceniających to, co robią oba kraje, szczególnie teraz w Zatoce Perskiej, ale też to, co robi Izrael w południowym Libanie. To wszystko dowodzi, że karty w talii Kaczyńskiego, by ograć Brauna i Koronę, są coraz słabsze. Znów wracamy do tego, o czym mówiłem na wstępie. To jest tak, że Kaczyńskiemu wydaje się, że ma w ręku od co najmniej damy wzwyż. A tymczasem to jest poniżej waleta i z każdym nowym tasowaniem z perspektywą dalszego słabnięcia. I żeby sprawa była jasna. To nie jest tak, że tej słabości nie dostrzega Waszyngton. Widzi i kto wie, czy przy pomocy prezydenta Karola Nawrockiego nie dokona podmia-

eprasa.pl 5d267fd813

ny, by mieć podmiot dający szansę na bycie liczącą się formacją na przełomie tej i następnej dekady.

Za plecami polskiego suwerena może zostać zbudowana większość ponad podziałami. Z dużą częścią KO, sporą PiS, mniejszymi tworami w centrum. Dla obrony zdobyczy euroatlantyckich

Czy fiasko planu Kaczyńskiego, czyli wysoki wynik wyborczy Korony w wyborach 2027 r., oznaczać będzie definitywny krach PiS i jej lidera na polskiej scenie politycznej?

Oznaczać będzie dalsze kłopoty. Zamiast ich redukcji, jeszcze więcej na głowie. Problemem Kaczyńskiego jest to, że jego braunofobia nie ma pokrycia w opinii większości sympatyków jego formacji. Na dziś wiemy, że nie akceptuje, zgodnie z linią partii, dogadania się z Braunem, mniej więcej co trzeci wyborca PiS. A nie wykluczyłbym, że wobec tego, jak zachowują się choćby w stosunku do Polski i Polaków Zełenski i jego ekipa, będzie postępować braunizacja sympatyków PiS. Czego następstwem będzie coraz mniejsze zrozumienie dla twardego „nie" Kaczyńskiego dla paktowania i budowania większości z Koroną po wyborach roku 2027. W ciągu półtora roku może wydarzyć się wiele. Na tyle dużo, że posłowie PiS, mający kontakt w terenie, nie do końca zamknięci w bańce, jak Kaczyński i jego otoczenie na Nowogrodzkiej, sami dostrzegą, że ich baza za największego wroga uważa Tuska, a nie jak twierdzi Kaczyński – Brauna.

Spekulacje o „wielkiej koalicji" Koalicji Obywatelskiej i PiS, czyli gwarantów „zdobyczy Magdalenki" , są uprawnione? Czy nie jest tak, że „wielkie koalicje" udają się tylko w Niemczech, w Polsce to nie przejdzie?

Trudno mi sobie wyobrazić koalicję KO i PiS, pobłogosławioną przez Tuska i Kaczyńskiego. Szczególnie dla Kaczyńskiego byłoby to polityczne samobójstwo, które w krótkim czasie zaowocowałoby przejściem kolejnej dużej grupy wyborców z PiS do Konfederacji i Korony. Ale jestem sobie w stanie wyobrazić, że ambasada USA wzywa Kaczyńskiego i każe mu przejść w trybie pilnym na emeryturę i dokładnie ten sam rozkaz jest przekazany Tuskowi, za pośrednictwem ambasady Niemiec. Ale – co podkreślam – musiałoby oznaczać zgodę obu metropolii, za plecami polskiego suwerena, na ich układankę. Bardziej realna wydaje się perspektywa zbudowania większości ponad podziałami. Z dużą częścią KO, sporą PiS, mniejszymi tworami w centrum. Dla obrony zdobyczy euroatlantyckich. Dziś wariant niebrany w analizach pod uwagę przez zdecydowaną większość tych, którzy śledzą polską politykę. Ale bardziej prawdopodobny niż Kaczyński i Braun w jednej koalicji.

Czy przed wyborami 2027 r., jak już przywykliśmy w poprzednich kampaniach, „odpalony" zostanie, zapewne z twórczym udziałem służb, „nowy" projekt polityczny pokroju Nowoczesnej czy Trzeciej Drogi? Mówi się też o partii Rafała Brzoski?

Już się kilku zgłosiło. Próbuje senator Wadim Tyszkiewicz, wcześniej związany z Nowoczesną. Przygarnął kilku samorządowych dinozaurów, jak choćby senator Zygmunt Frankiewicz – były prezydent Gliwic, przez ponad ćwierć wieku rządzący miastem. Ale ten twór nie ma szans na wejście do pierwszej ligi polskiej polityki. Ostatnio powołanie partii zapowiedział Ryszard Petru. Nawet „Rzeczpospolita" zrobiła sondaż, w którym taka Konfederacja Light, jak to nazwano, mogłaby liczyć na 13 proc. Słowem: Stare Kiejkuty, zaangażowane od lat w tworzenie starych-nowych inicjatyw, by dalej było, jak było, nie śpią. Ale nawet suma środowiska Tyszkiewicza i Petru dziś nie dawałaby gwarancji sukcesu w wyborach. Być może wejdzie do gry wspomniany Brzoska, choć na dziś daję temu scenariuszowi niewielką szansę. PSL być może pójdzie razem, raz jeszcze, z Hołownią. Ale nie oszukujmy się – to byłaby walka z progiem wyborczym. A suma tego wszystkiego? Trudne do wyobrażenia, ale – biorąc pod uwagę opiekuna ze Starych Kiejkut – do zrealizowania. Skoro mundury, to rozkaz. Nie gadać, tylko wykonać. Tyle tylko że z dużym ryzykiem, iż zamiast osłabienia Konfederacji, bo o to w tym chodziłoby przede wszystkim, moglibyśmy mieć cios zadany KO i odejście od niej bardziej umiarkowanych wyborców. Taka trochę powtórka z roku 2015. A przecież nie o to tym, którzy by to „nowe centrum" tworzyli jako scenarzyści i reżyserzy, chodzi.

Jaka jest stawka przyszłorocznych wyborów? To ostatnie wybory w relatywnie suwerennej Polsce?

Tak mówią suwereniści. Ale oni nie biorą pod uwagę tego, co czeka w przyszłym roku Europę. A będzie maraton wyborczy w czterech największych krajach UE z pięciu. W Hiszpanii szykuje się wygrana Partii Ludowej i jej koalicja z narodowcami z Vox. We Francji może wygrać Jordan Bardella, a chwilę później w wyborach parlamentarnych narodowcy, albo wspólnie z chadekami z Partii Republikańskiej, mogą przejąć władzę. Giorgia Meloni ma szansę, przy pomocy nowej partii twardej prawicy, opowiadającej się za wyjściem Włoch z UE, utrzymać większość. U nas, na dziś, szykuje się przesunięcie na prawo. Słowem: w drużynie demokracji walczącej, tej europejskiej, być może na miejscu, gdzie jest teraz, zostałby tylko kanclerz Niemiec Friedrich Merz. Ale z przerażeniem patrzący na rosnącą AfD, która za rok może być już w przedziale 30–35 proc. Taki zwrot, realny, spowodowałby polityczne trzęsienie ziemi, po którym – jak się mówi coraz głośniej – Ursulę von der Leyen mógłby zastąpić Viktor Orbàn. Co mogłoby pomóc w odwrocie od ekogenderowego szaleństwa, w którym pogrąża nas obecne rozdanie w Brukseli. A skoro tak, to byłaby szansa na nową formę współpracy państw narodowych. A to się samo nad Wisłą nie robi. I choćby o tym liderzy opozycyjnej prawicy w Polsce, w tym przede wszystkim Jarosław Kaczyński, powinni myśleć już dziś, mając na uwadze powyborczą układankę po 2027 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade *– socjolog polityki, autor opracowań i analiz z zakresu preferencji społeczno-politycznych i geografii wyborczej w Polsce.*

eprasa.pl 5d267fd813


FOT. ADOBE STOCK

Dwie strony medalu



Łukasz Warzecha

Przyzwoite na poziomie pragmatycznym relacje z innym krajem nie muszą zasadzać się na zbieżności celów i ciepłych uczuciach. Naszym celem w stosunkach z Ukrainą powinno być pragmatyczne minimum, a nie wielka przyjaźń. Wołodymyra Zełenskiego należy traktować tak, jak w lutym 2025 r. potraktowali go w Gabinecie Owalnym Donald Trump i J.D. Vance

Wołodymyr Zełenski nie ma już co prawda Orderu Orła Białego, ale za to być może będzie sobie mógł przypiąć Obywatelski Order Przyszłości od Fundacji Otwarty Dialog Bartosza Kramka. Kuriozalny pomysł na „obywatelski order", przedstawiony przez fundację nastawioną skrajnie wrogo wobec wszelkich postaw choćby tylko zahaczających o ideę narodową czy konserwatywną, symbolizuje zaprzysięgłą ojkofobię, zalewającą niektóre obszary sfery publicznej po decyzji prezydenta Nawrockiego. Kontrastuje to mocno z niemal jednolitym frontem po stronie ukraińskiej.

Przede wszystkim jednak ważne jest, że – wbrew lamentom ojkofobów i nieuleczalnych ukrainofilów – odebranie Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy może pozwolić na ułożenie sobie nareszcie z tym krajem stosunków na fundamencie realizmu, a nie szkodliwych iluzji, opartych na zwulgaryzowanej wersji myśli Jerzego Giedroycia.

MIŁOŚĆ BEZWARUNKOWA

Symbolicznie najnowszy rozdział naszej „przygody" z Ukrainą mogą spinać klamrą dwa zdjęcia. Pierwsze, słynne wspólne zdjęcie przytulonych do siebie, ramię przy ramieniu, Andrzeja Dudy i Wołodymyra Zełenskiego. Drugie – umieszczone przez ukraińskiego prezydenta zdjęcie pakowanego do zwykłej paczki kurierskiej orderu, który z pompą zaledwie nieco ponad trzy lata wcześniej wręczał Ukraińcowi prezydent Duda. Te dwa zdjęcia postawione obok siebie pokazują, jak skrajnie nieracjonalną politykę wobec Ukrainy Polska prowadziła przez długi czas. A niektórzy chcieliby, abyśmy prowadzili taką nadal.

Po odebraniu orderu przez prezydenta i odesłaniu go przez Zełenskiego Andrzej Duda nie zabrał publicznie głosu. Jego ostatni wpis na X jest z 17 maja – 10 dni przed tym, gdy gruchnęła wiadomość, że jednostce wojsk specjalnych Ukrainy nadano imię „Bohaterów UPA". Można tylko spekulować, dlaczego błyskawicznie osuwający się w niebyt były prezydent milczy w sprawie spektakularnego krachu polityki, którą nie tylko firmował, lecz także długi czas usilnie forsował. Śmiało można stwierdzić, że nie mielibyśmy dzisiaj połowy problemów w relacjach z Kijowem, gdyby nie promowana przez byłego prezydenta i jego otoczenie – w tym zwłaszcza przez ministra Jakuba Kumocha – strategia wybaczania Ukrainie wszystkiego i bezwarunkowej pomocy. Nie wspominając już o wizjach tak szaleńczych jak ta przedstawiona na Placu Zamkowym 3 maja 2022 r., gdy pan prezydent majaczył o braku granicy pomiędzy Polską a Ukrainą.

Uczciwie trzeba jednak przypomnieć, że Andrzej Duda, jakkolwiek jego rola była wyjątkowa, nie był sam. Wtórował mu jego polityczny patron, Jarosław Kaczyński, stwierdzający w 2023 r., że „stawianie jakichkolwiek warunków Ukrainie to przedsięwzięcie na korzyść Rosji". Listę realizujących taką linię polityków obozu PiS można by ciągnąć długo, umieszczając na niej postaci takie jak Paweł Jabłoński, Mateusz Morawiecki czy Stanisław Żaryn.

Rozmawiając nieoficjalnie z politykami z obu przeciwnych obozów lub czytając ich prywatne opinie zebrane przez Zbigniewa Parafianowicza

eprasa.pl 5d267fd813

w jego książkach „Polska na wojnie" oraz „Kłopot z Zełenskim", widzimy, że zwłaszcza osoby mające bezpośredni i częsty kontakt ze stroną ukraińską zdawały sobie sprawę, że rozmawiają z ludźmi bezwzględnymi, pozbawionymi sentymentów, traktującymi sojusze czysto utylitarnie, nierzadko przekonanymi o własnej wyższości, traktującymi polskich partnerów z pogardą, a przede wszystkim stosującymi metody chamskie, brutalne i siłowe oraz tylko takie metody uznającymi – rzec by można: z sowieciarzami. Jednak za tą świadomością nie szło literalnie nic.

Dzisiaj, gdy Kijów przestał udawać i uderza w Polskę z całą bezwzględnością oraz brutalnością w odpowiedzi na i tak spóźniony gest, widzimy przerażająco wyraźnie całą czczość i szkodliwość polityki prowadzonej przez najpierw rząd PiS i prezydenta Dudę, a potem przejętej niemal bez korekt przez KO. Gdyby sięgnąć po metaforę, należałoby powiedzieć, że Polska względem Ukrainy po lutym 2022 r. była jak kobieta z wyższych sfer, idealizująca uporczywie swojego nowego życiowego towarzysza mimo wiedzy, że nie skończył nawet podstawówki, żyje z handlu narkotykami, a na koncie ma wyroki za maltretowanie innych kobiet. Facet podbił już kobiecie kilkakrotnie oko, ale ta maskuje to makijażem i opowiada wszystkim, że może i jest porywczy, ale właściwie to jest też bardzo porządny, a ona bez niego sobie nie poradzi, bo on broni ją przed szemranymi typami dybiącymi na jej cnotę. Taki układ jest patologiczny pomiędzy ludźmi i – choć relacje między państwami są nieprzekładalne na te międzyludzkie – jest tak samo patologiczny na poziomie krajów. Nie było tu oczywiście żadnej symetrii: Ukraina nie miała złudzeń co do Polski; ukraińscy politycy doskonale diagnozowali naszą miękkość i niepoprawny sentymentalizm. Złudzenia były jedynie w przeciwną stronę i były bezwzględnie wykorzystywane.

Normalnej relacji nie da się zaś budować na złudzeniach i marzeniach. Trudno wybaczyć polskiej klasie politycznej jej ślepotę, naiwność czy długotrwałe zaćmienie. Ukraiński modus operandi oraz wybór ideologii banderyzmu jako podstawy budowy tożsamości nowego ukraińskiego państwa ujawniły się wszak najpóźniej zaraz po pomarańczowej rewolucji, która wyniosła do władzy Wiktora Juszczenkę. To Juszczenko niedługo po objęciu urzędu wniósł do Werhownej Rady o uznanie UPA za bojowników o wolność Ukrainy i przyznanie żyjącym członkom tej zbrodniczej formacji praw kombatantów. Od tego czasu minęło 20 lat. Jedynym okresem, gdy nacisk na utrwalanie ukraińskiego nacjonalizmu osłabł, były rządy Wiktora Janukowycza, obalone w czasie Majdanu. To wtedy politycy PiS na czele z Jarosławem Kaczyńskim wykrzykiwali bezrefleksyjnie banderowskie hasło „Sława Ukrajini!" i zachwycali się dojściem do władzy Petra Poroszenki, który ponownie podjął bordowo-czarny sztandar.

Tamten moment jak w soczewce ujawnił pułapkę, w którą wpadł PiS. Uważając Rosję za podstawowe zagrożenie – a z czasem przechodząc nawet na pozycje obsesyjne (stąd zwalczanie chińskich inwestycji w Polsce przez Antoniego Macierewicza w pierwszej kadencji PiS – wbrew zresztą stanowisku prezydenta Dudy – czy komiczne antychińskie wpisy Stanisława Żaryna w mediach społecznościowych) – gotowi byli przymykać oczy i na prawdziwą naturę Ukrainy, jej elit i układu politycznego, i na coraz mocniej zakorzeniający się w niej nacjonalizm bazujący na zbrodniczych ideach Dmytra Doncowa. Obecna władza, która z kolei szczególnie w latach 2007–2011 chciała z Rosją żyć jak najlepiej, wzięła to dziedzictwo z dobrodziejstwem inwentarza i wykorzystuje je skrajnie instrumentalnie. Schemat jest prosty: pałką Putina okłada się PiS i Konfederację, więc skoro Ukraina walczy z Putinem, to Ukraina jest dobra, a kto próbuje to choćby niuansować, ten działa na korzyść Rosji. Stoją za tym oczywiście jeszcze inne uwarunkowania – w tym niemiecki nacisk na przebudowanie sposobu podejmowania decyzji w UE w związku z perspektywą przyjęcia Ukrainy do Unii. Co z kolei zostało bezrefleksyjnie uznane za dogmat polskiej polityki zagranicznej przez rząd PiS i przejęte jako oczywistość przez rząd KO. Przy czym politycy Koalicji Obywatelskiej na czele z Donaldem Tuskiem za kulisami także nie mają złudzeń, z kim po stronie ukraińskiej mają do czynienia.

UREALNIANIE STOSUNKÓW

Ten utrwalony system przekonań i zależności zburzył prezydent swoją decyzją o pozbawieniu prezydenta Ukrainy Orderu Orła Białego. Decyzją niepotrzebnie opóźnioną. Dzisiaj wiemy, że motywacją zwłoki – od 27 maja do 19 czerwca, przy czym 8 czerwca odbyło się posiedzenie Kapituły Orderu Orła Białego – była chęć dania czasu Kijowowi na zmianę nazwy jednostki. Jednak decyzję o odebraniu orderu należało potraktować jako natychmiast udzielaną odpowiedź na wcześniejsze działania, bez czekania, szczególnie że trudno było znaleźć eksperta, który uważałby, że Ukraińcy się wycofają. To już dzisiaj jednak nie ma większego znaczenia.

Najważniejsze jest, że uruchomiony został trudny proces urealniania stosunków polsko-ukraińskich. Jego pożądanym finałem jest ujrzenie Ukrainy nareszcie w taki sposób, w jaki powinna być postrzegana od lat: jako państwa, które wykonuje za Polskę niewdzięczną pracę trzymania Rosji na dystans, ale jest to jedyna rzecz łącząca nasze kraje. Poza tym dzieli nas granica cywilizacyjna – Ukraina nie jest i nigdy nie będzie państwem Zachodu; dzielą nas interesy gospodarcze, dzielą interesy międzynarodowe – Ukraina jest tradycyjnie podłączona pod Niemcy, które dla Polski są jedynie ważnym partnerem, ale na pewno nie powinny być metropolią i głównym patronem; wreszcie dzieli nas historia. Rację miał niegdyś Karol Nawrocki, jeszcze jako prezes IPN, mówiąc, że Ukraina ma prawo wybierać sobie swoich bohaterów. Żadne państwo nie może narzucać innemu, jak ma budować swoją pamięć historyczną. Natomiast państwo, które buduje swoją tożsamość na zbrodniarzach i nacjonalizmie, idąc na konfrontację ze swoimi sąsiadami, musi ponosić tego konsekwencje. Nie mamy zatem prawa niczego Ukrainie zakazywać, ale jak najbardziej mamy prawo pokazać jej, jakie są konsekwencje jej postawy. I właśnie to robimy.

Błędem było wyobrażenie, że z Ukrainą może nas połączyć jakiś rodzaj unii, przyjaźni, że możliwe jest odbudowanie Rzeczypospolitej Jagiellońskiej.

(Tu trzeba zrobić dygresję i przypomnieć niegdyś gorącą dyskusję pomiędzy zwolennikami wizji „jagiellońskiej", na czele z prezydentem Lechem Kaczyńskim, oraz wizji „piastowskiej" z – uwaga uwaga – Radosławem Sikorskim jako głównym reprezentantem. To minister

eprasa.pl 5d267fd813

Sikorski jako szef MSZ opublikował pod koniec sierpnia 2009 r. w „Gazecie Wyborczej" obszerny tekst, w którym przeciwstawiał swoją strategię strategii Pałacu Prezydenckiego. Pisał w nim: „Dlatego z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć: właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe. Jest nią natomiast nowoczesne państwo narodowe, przy czym przymiotnika »narodowy« używam nie w znaczeniu etnicznym, lecz politycznym, obywatelskim". I dodawał: „Obecność wysokiej rangi przedstawicieli Niemiec i Rosji podczas obchodów 70-lecia wybuchu II wojny światowej nabiera symbolicznego znaczenia. Świadczy o tym, że przesłanie tej wojny może być odczytywane jako nakaz gruntownej zmiany dotychczasowego wzorca rozwoju, odejścia od dawnych mocarstwowych i agresywnych pokus ku demokracji, współdziałaniu i integracji". Paradoksalnie dzisiaj Sikorski reprezentuje obóz, który werbalnie odwołuje się do strategii „jagiellońskiej").

Przyzwoite na poziomie pragmatycznym relacje z innym krajem nie muszą zasadzać się na zbieżności celów i ciepłych uczuciach. Naszym celem w stosunkach z Ukrainą powinno być pragmatyczne minimum, a nie wielka przyjaźń. Wołodymyra Zełenskiego – który po zakończeniu czy zamrożeniu wojny będzie prawdopodobnie walczył, aby nie znaleźć się z zarzutami korupcyjnymi w więzieniu – należy traktować tak, jak w lutym 2025 r. potraktowali go w Gabinecie Owalnym Donald Trump i J.D. Vance. Wówczas ten aktor, odgrywający do tamtego momentu skutecznie swoje kolejne przedstawienia, wszędzie noszony na rękach i odznaczany, dostał bolesną fangę w nos, po której zrobił się malutki i zmuszony był zmodyfikować swoje podejście do Stanów Zjednoczonych. Prezydent i wiceprezydent USA okazali się odporni na jego coraz bardziej opatrzone zagrania.

Nie jest jednak pewne, że taka zmiana się dokona z polskiej strony, choć szczęśliwie dla nas ukraińska elita polityczna bardzo stara się w tym pomóc, okazując już całkowicie jawną wrogość Polsce. Wątpliwość zasadza się m.in. na tym, że wciąż nie został obalony absurdalny z punktu widzenia polskiego interesu dogmat o konieczności wspierania przystąpienia Ukrainy do UE. Prezydent co prawda delikatnie go naruszył w swoim wystąpieniu w sprawie odebrania Orderu Orła Białego, sygnalizując, że nie da się do UE wejść z banderowską ideologią. Problem w tym, że nawet bez tej ideologii Ukraina w UE to nadal bardzo dla Polski niekorzystny wariant. Dopóki nie zostanie jasno powiedziane, że cofamy swoje bezwarunkowe poparcie dla ukraińskiego członkostwa i pozostawiamy sobie prawo do podjęcia każdej decyzji w tej sprawie, dopóty nie będzie można mówić o zmianie paradygmatu.

Druga kwestia to histeria części środowisk. W głosach ich przedstawicieli pobrzmiewa przekonanie, że Polsce nie wolno wykonywać ofensywnych kroków wobec Ukrainy, nawet czysto odwetowych, ponieważ Ukraina walczy z Rosją. Logicznie rzecz biorąc, takie rozumowanie musi się opierać na bezzasadnym założeniu, że chęć toczenia tej walki przez Ukrainę zależy w jakimkolwiek stopniu od tego, czy Zełenski zachowa Order Orła Białego czy nie; albo czy Ukraina będzie mogła zalewać polski rynek swoim zbożem; albo czy jej obywatele nadal będą mieli w naszym kraju specjalne uprawnienia tylko z powodu daty, po której do Polski wjechali. To oczywisty nonsens – chęć czy nawet możliwości kontynuowania walki z Rosją przez Ukrainę nie zależą już niemal wcale od tego, jak wyglądają relacje Kijowa z Warszawą. Mogło tak być przez pierwszych kilka miesięcy trwania konfliktu. Potem już nie. Dlatego dla naszego kraju priorytetem powinna być dzisiaj twarda obrona naszego własnego interesu w relacjach z faktycznie otwarcie nieprzyjaznym już krajem. Cokolwiek byśmy zrobili, Ukraina nadal będzie Rosję powstrzymywać.

Niektórzy odwołują się do pozornego pragmatyzmu i twierdzą, że powinniśmy być wobec Kijowa ulegli, ponieważ w przeciwnym wypadku nie dostaniemy wartościowych kontraktów na odbudowę Ukrainy. To podejście w dwójnasób błędne. Po pierwsze – gdyby tak faktycznie miało być, oznaczałoby to, że Polska musi płacić rezygnacją z obrony własnego interesu państwu będącemu w sytuacji znacznie gorszej niż my sami za korzyści, które nie są nam wcale niezbędne. Po drugie – co ważniejsze – owe korzyści z odbudowy Ukrainy są w większości mityczne. W przypadku państwa tak skrajnie przeżartego korupcją i działającego według turańskich wzorców, czyli podobnie jak Rosja, nie ma znaczenia, jakie kontrakty zostaną podpisane czy jakie umowy zawarte podczas tego czy innego kongresu o odbudowie. Znaczenie mają faktyczne decyzje, które będą podejmowane na niższym szczeblu. A tutaj polskie firmy będą sekowane i traktowane tak, jak stało się to z firmą Process Control, która mimo wygrania wszystkich spraw arbitrażowych nie odzyskała należnych jej od władz Lwowa pieniędzy.

WIĘCEJ NIŻ SYMBOL

Jedno jeszcze trzeba podkreślić: odebranie odznaczenia prezydentowi Ukrainy nie miało li tylko znaczenia symbolicznego, jako że ukraiński nacjonalizm nie jest wyłącznie symbolicznym instrumentem. W ukraińskiej polityce pełni dwojaką rolę. Po pierwsze – w kraju o bardzo słabej elicie i niepomiernie słabszym niż w Polsce życiu intelektualnym jest wymagającym najmniejszego wysiłku wygodnym dla władzy mitem, na którym można budować struktury państwa i władzy. To nie jest tak, że nie ma innego wyboru. Jest tak, że inne możliwości wymagałyby znacznie bardziej wytężonej pracy umysłowej, której ukraińska elita zwyczajnie nie udźwignie. W Polsce chyba nie do końca istnieje tego świadomość. Po drugie – nacjonalistyczna ukraińska ideologia państwowa to sprawa na styku miękkiej i twardej polityki. Ukraina korzysta ze swojego wizerunku nieskalanego rycerza walczącego ze złym Putinem jako praktycznego instrumentu politycznego oddziaływania, pozwalającego uzyskiwać konkretne efekty gospodarcze i finansowe. Decyzja Karola Nawrockiego uderzyła w ten wizerunek, stąd wściekłość ukraińskiej elity. Międzynarodowe media, pisząc o odebraniu orderu, musiały też pisać o tym, że UPA, którą Ukraińcy uznają za bohaterów, wymordowała przynajmniej 100 tys. Polaków, i to w bestialski sposób.

Najwyższy czas zacząć traktować Ukrainę standardowo, a nie specjalnie. Tylko tyle i aż tyle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Maciej Pieczyński

Order antypolonizmu

Kijów w sprawie kultu UPA wyznaje zasadę „ani kroku wstecz". Polityka konfrontacji z Warszawą, prowadzona przez Wołodymyra Zełenskiego, zyskuje powszechne poparcie na Ukrainie. Afera orderowa obudziła nad Dnieprem demony antypolonizmu

Według doniesień WP.pl Kijów odrzucił wszystkie propozycje kompromisu, zaoferowane przez stronę Polską, aby polubownie rozwiązać problem nadania jednej z jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA". Nie pomogła nawet mediacja Aleksandra Kwaśniewskiego. Wołodymyr Zełenski świadomie poszedł na zwarcie z Polską z kilku powodów. Po pierwsze, aby przykryć aferę Mindicza. Po drugie, aby umocnić swój wizerunek wielkiego patrioty, który asertywnie broni narodowych bohaterów i nie pozwala na obcy dyktat. Po trzecie, ukraiński prezydent wyraźnie Polską gardzi i nie uważa jej za partnera, któremu trzeba w czymkolwiek ustępować. To już prawidłowość, widoczna od momentu rozpoczęcia inwazji rosyjskiej: dopóki Polska ustępuje Ukrainie, dopóty Ukraina Polskę chwali. A gdy tylko Polska wystawia choćby najniższy rachunek, w odpowiedzi zostaje zrównana z Rosją, a Kijów, aby obejść głos Warszawy, zwraca się do silniejszych graczy i wspólnie z nimi próbuje załatwiać interesy naszym kosztem. Odebranie Orderu Orła Białego wywołało na Ukrainie (nie tylko u samego Zełenskiego) taką furię, jakby co najmniej polskie czołgi wjechały na ulice Lwowa.

Ukraiński prezydent, komentując decyzję swojego polskiego odpowiednika, wyzłośliwiał się na temat faktu, że odznaczenia nie zostali pozbawieni ani Katarzyna II, ani Benito Mussolini, ani Gerhard Schröder. Abstrahując już od meritum, warto przypomnieć, że Zełenskiemu takie towarzystwo nie przeszkadzało, gdy przyjmował odznaczenie. Odebranie orderu zabolało ukraińskiego prezydenta, był to bowiem cios wymierzony na bardzo ważnym dla niego polu prestiżu. Do tej pory świat zachodni z reguły witał go niczym zbawcę ludzkości, rycerza bez skazy i ta opinia, obok niebywałej buty i bezczelności, pomagała mu niewątpliwie grać powyżej własnej wagi i rozstawiać po kątach silniejszych od siebie.

Głośnym echem odbił się wywiad Zełenskiego dla telewizji TSN, w którym ukraiński prezydent porównał Karola Nawrockiego do Viktora Orbána i stwierdził, że jego „polityczna gra" wokół orderu „może źle się skończyć". Wspomniał też, że dostał od polskiego odpowiednika w prezencie „książki o tragedii wołyńskiej". „Nie rozdmuchiwałem tego faktu, spokojnie z tym żyłem" – komentował Zełenski, tak jakby podarunek był dla niego obrazą majestatu, którą mężnie zniósł. „My bronimy Polski […], nie na odwrót" – przekonywał, dowodząc po raz kolejny przekonania o swojej wielkości.

UKRAIŃSKI „ORDEROPAD"

Naiwnością byłoby sądzić, że jedynym problemem Polski na Ukrainie jest Wołodymyr Zełenski. Nadmierne personalizowanie katastrofy w relacjach na linii Warszawa – Kijów jest błędem. Na początku wojny polska opinia publiczna była ukraińskim prezydentem tak zauroczona, że gdy w 2023 r. rozgorzał kryzys zbożowy, wielu komentatorów szukało winnych nad Dnieprem, w otoczeniu głowy państwa, zapewniając, że sam „sługa narodu" o niczym nie wie. Obecnie, przeciwnie, popularna jest opinia, w myśl której, co złego, to Zełenski, a jego potencjalne pożegnanie się z władzą sprawi, że wrócimy do miodowego miesiąca w relacjach z naszym południowo-wschodnim sąsiadem. Obie skrajne perspektywy nie oddają skali „kłopotu", by nawiązać do tytułu książki Zbigniewa Parafianowicza. Bo mamy kłopot nie tylko z Zełenskim, ale generalnie z Ukrainą. A rozwiązania, które doprowadziłoby do pełnej zgody, brak.

Oczywiście ma znaczenie charakter samego Zełenskiego. Jego emocjonalność, bezczelność, narcyzm, skłonność do eskalacji – te wszystkie cechy sprawiają, że nawet najdrobniejsza różnica zdań urasta do rangi katastrofy. Zełenski do mistrzostwa doprowadził sowiecki styl prowadzenia polityki „z buta" – zarówno wobec wrogów, jak i wobec sojuszników. Jednak w sporze z Polską ukraiński prezydent cieszy się zdecydowanym poparciem ze strony elit, mediów i opinii publicznej swojego państwa. Najbardziej symbolicznym tego wyrazem jest „orderopad" – określenie użyte przez nawiązanie do „leninopadu", czyli masowego usuwania pomników Lenina nad Dnieprem w ramach dekomunizacji po rewolucji Euromajdanu. Zełenski zwrócił Order Orła Białego. Jeśli był to element umowy z polskim premierem, to można mieć pewność, że gdy tylko Tusk zrobi coś, co się Ukraińcom nie spodoba, ci zemszczą się, ujawniając „spisek".

Tak czy inaczej, w geście solidarności z Zełenskim swoje odznaczenia, nadane przez Warszawę, zwrócili szef dyplomacji Andrij Sybiha, szef biura prezydenta Kyryło Budanow, jego zastępca Ihor Żowkwa, ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Bodnar, a także politycy z innych obozów: były premier Wołodymyr Hrojsman,

eprasa.pl 5d267fd813



byli prezydenci: Petro Poroszenko, Wiktor Juszczenko oraz Leonid Kuczma. Uwagę zwraca również ostatnie nazwisko. Juszczenko i Poroszenko zdobywali władzę na fali kolejnych prozachodnich majdanów, więc naturalnym biegiem rzeczy stawali się patronami kultu OUN-UPA. W tym wypadku dziwić może jedynie, że właściciel fabryki cukierków Roshen stanął murem za swoim śmiertelnym wrogiem politycznym, który pozbawił go prezydentury, a próbował też pozbawić wolności. Natomiast Kuczma prowadził wielowektorową politykę, balansując między Wschodem a Zachodem, przy czym bliżej było mu do Moskwy niż do Waszyngtonu. Ponadto w 2003 r. wspólnie z Aleksandrem Kwaśniewskim uczcił pamięć ofiar rzezi wołyńskiej w Porycku-Pawliwce, nie protestując, gdy jego polski odpowiednik nazwał ukraińską zbrodnię ludobójstwem. Dziś ten sam Kuczma stoi tam, gdzie UPA. Oddając order, stwierdził, że nie może się pogodzić z próbami dyktowania Ukrainie, jak traktować własną historię. Przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Stefanczuk nazwał decyzję Nawrockiego „katastrofalnym błędem". Podobnie jak absolutna większość komentatorów na Ukrainie, powiązał odebranie orderu Zełenskiemu z wewnętrzną sytuacją w Polsce.

Poroszenko oddał swoje odznaczenie, solidaryzując się z Zełenskim, ale zarazem opublikował w mediach społecznościowych obszerny wpis, który część polskich komentatorów odebrała jako głos pojednawczy. Były prezydent apeluje w nim do swoich rodaków o zdrowe, dorosłe, profesjonalne podejście stojących przed Ukrainą wyzwań. Poroszenko stwierdził, że „orderopad" był wyrazem zrozumiałych emocji, natomiast teraz jego zdaniem trzeba się „uspokoić", bo „Polska to nasz strategiczny sąsiad, sojusznik, państwo, przez które przechodzi ogromna część naszego bezpieczeństwa, logistyczny hub zaopatrzenia w broń naszych sił zbrojnych, kraj, od którego w dużej mierze zależy nasze wejście do UE i NATO". Poroszenko przypomina, że Polska przyjęła ponad milion ukraińskich uchodźców, którzy potrzebują dobrych relacji na linii Kijów – Warszawa. Relacje te nie są „placem zabaw" dla wzajemnego obrażania się. „Czas zatrzymać eskalację tam, gdzie potrzebne są chłodna głowa, profesjonalna dyplomacja i państwowa odpowiedzialność" – apeluje lider opozycji.

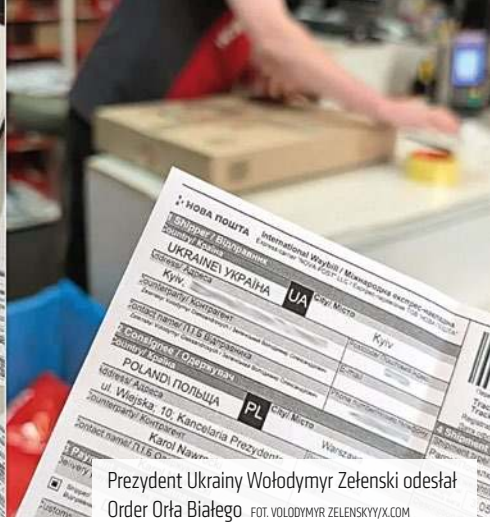
Zadaje też zasadne pytanie, czy po stronie Kijowa jest ktokolwiek, kto próbuje gasić pożar, zamiast podsycać emocje. W jego ocenie wszystkie spory z Polską należy rozwiązywać poprzez „dyplomację, komunikację i szacunek, a nie przez bijatykę w mediach społecznościowych". Do tego momentu czytelnik może pomyśleć, że Poroszenko jest „nasz", że to idealna alternatywa dla Zełenskiego. Jednak już w kolejnym zdaniu lider opozycji zaznacza, że Kijów i Warszawa nie powinny sobie nawzajem zgłaszać pretensji do podręczników historii – przeszłością niech zajmą się historycy, a nie politycy. „Nasza historia jest zbyt skomplikowana, pełna wzajemnych krzywd i urazów i lepszego lekarstwa niż „przepraszamy i prosimy o wybaczenie" jeszcze nikt nie przepisał. Przyszłość nie może być zakładniczką przeszłości. Tym bardziej że nie przeszłość jest przyczyną tego kryzysu w dwustronnych relacjach, lecz wewnętrzne problemy, populizm, pogoń za sondażami".

Z jednej więc strony Poroszenko apeluje o deeskalację konfliktu z Warszawą, a także o przywrócenie profesjonalnej dyplomacji, o dialog z Polską, zamiast licytacji na to, kto ostrzej i boleśniej odpowie Polakom. Z drugiej jednak strony jego stanowisko w sprawie historii całkowicie wpisuje się w dominującą na Ukrainie narrację. Można ją streścić w następującej deklaracji: „Nie ludobójstwo, tylko tragedia wołyńska. Czyli jeden z epizodów wojny polsko-ukraińskiej, w której obie strony mordowały się nawzajem, ale pierwsi kamieniem rzucili Polacy, prowadząc antyukraińską politykę w II RP. A tak poza tym to UPA jest nam potrzebna w walce z Rosją, nasi bohaterowie – nasza sprawa. My wam nie dyktujemy, jakich macie czcić bohaterów. Nam nie przeszkadza ani Piłsudski, ani AK". Można zaryzykować stwierdzenie, że pod takim punktem widzenia podpisałaby się absolutna większość ukraińskiej opinii publicznej i elit polityczno-medialnych. Znana dziennikarka i youtuberka Janina Sokołowa, komentując aferę wokół „Bohaterów UPA", zauważyła, że w Polsce mnóstwo jest upamiętnień Armii Krajowej i jakoś Kijów nie robi z tego powodu wyrzutów Warszawie. A trzeba wiedzieć, że Sokołowa wyznaje poglądy lewicowo-liberalne i otwarcie popiera chociażby ruch LGBT, przez co niejednokrotnie wchodziła w konflikt z ukraińskimi nacjonalistami.

Podobny jest przypadek Witalija Portnykowa. To jeden z najbardziej rozpoznawalnych i cenionych ukraińskich publicystów o poglądach liberalnych i prozachodnich. Zdecydowanie bliżej mu do obozu Poroszenki niż do Zełenskiego, którego przed wojną często krytykował, natomiast obecnie w sporach z Polską z reguły stoi twardo po stronie swojego prezydenta. W wywiadzie dla Espreso.tv Portnykow stwierdził, że choć Nawrocki ma prawo do własnej oceny działań Kijowa, to jednak odebranie orderu jest przekroczeniem „czerwonej linii", ponieważ jest to cios w prestiż samej Ukrainy. Dlatego działania polskiego prezydenta są, według ukraińskiego publicysty, działaniem na rzecz Rosji.

Z kolei politolog Serhij Taran decyzję Nawrockiego interpretuje jako symptom walki politycznej o prawicowy elektorat. Jego zdaniem Ukraina powinna w sporze z Polską wykazać się „większą dojrzałością" niż adwersarz. Czy to oznacza „przestać eskalować i ustąpić w sprawach bolesnych dla Warszawy"? Bynajmniej. Dojrzałość to według Tarana próba rozmowy o przyszłości („wspólne projekty, odbudowa, gospodarka, bezpieczeństwo") oraz odebranie tematów historycznych politykom i oddanie ich historykom. To również postulat jak mantra powtarzany nad Dnieprem. Jego zwolennicy nie zauważają, jak bardzo jest on absurdalny i wewnętrznie sprzeczny. Czym bowiem, jak nie mieszaniem polityki z historią, było nadanie imienia „Bohaterów UPA" jednostce wojskowej? Ponadto Taran wyraża też typową dla ukraińskich liderów opinii nadzieję, że prawicowe nastroje w Polsce są chwilowe, przeminą, a po nich

eprasa.pl 5d267fd813



Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski odesłał Order Orła Białego FOT. VOLODYMYR ZELENSKYY/X.COM

Warszawa znów będzie ustępować przed Kijowem… O tym, jak mocno Ukraińców (a nie tylko samego Zełenskiego) zabolała decyzja Nawrockiego, dobitnie świadczy facebookowy wpis blogera i eksperta inwestycyjnego Serhija Fursy. Najpierw dziękuje Polakom za wsparcie dla Ukrainy, by po chwili ich obrazić. Stwierdza mianowicie, że to, komu dajemy i zabieramy ordery, to nasze „osobiste problemy seksualne". Zaznacza przy tym, że Ukraina twardo trzyma się świętej zasady „przebaczamy i prosimy o wybaczenie".

Nie to co Polska oczywiście. Sugeruje, że jeśli chcemy organizować „pogromy szowinistyczne", to proszę bardzo, ale Ukraińcy, współtworzący polskie PKB, uciekną z naszego kraju. „Pański order, pańska sprawa" – mniej więcej tak Fursa zwraca się do Nawrockiego, by po chwili sam sobie zaprzeczyć: „Jego order. Może dać, może zabrać. Może Putinowi podarować. To by było najbardziej odpowiednie. Wartości mają trochę wspólne. My mamy ten order w jednym miejscu. Jeśli (Nawrocki) zechce, możemy mu swój wręczyć. Order Stepana Bandery. Albo może panu będzie miło otrzymać order imienia Bułhakowa. Każdy ma własne upodobania". Po pierwsze, bloger tak usilnie przekonuje, że go odebranie orderu nie zabolało, że aż wszystko w jego tekście krzyczy, jak wielka to była obraza. Po drugie, ironiczne zestawienie rosyjskiego pisarza (w Polsce wciąż bardzo popularnego) z ukraińskim zbrodniarzem, odpowiedzialnym za mordowanie Polaków, pokazuje skalę oderwania od polskiej rzeczywistości. Fursa zupełnie poważnie uważa, że to oczywiste, iż Bandera jest moralnie „lepszy" niż Bułhakow.

WEWNĘTRZNA KRYTYKA

Nie wszyscy ukraińscy komentatorzy pozytywnie oceniają sposób, w jaki Zełenski zarządza kryzysem z Polską. „Europejska Prawda" apelowała do prezydenta, aby w imię interesu narodowego nie odwoływał swojego udziału w Kongresie Odbudowy Ukrainy w Gdańsku. Absolutnie nie oznacza to, że portal przyjął polską perspektywę. Przeciwnie: w tekście, reprezentującym stanowisko całej redakcji można przeczytać, że Zełenski bardzo dobrze zrobił, reagując na „atak Nawrockiego" oddaniem orderu, oraz że właśnie dlatego ukraiński prezydent powinien pojechać do Gdańska, aby nie dawać argumentów „ukrainofobom". Jak wiadomo, ostatecznie na kongres pojechała premier Julia Swyrydenko. Taką decyzję prezydenta Ołeksij Honczarenko z opozycyjnej Solidarności Europejskiej nazwał „absurdalną". W jego ocenie Kijów musi szukać porozumienia z Warszawą, a Zełenski – z Nawrockim. Honczarenko jest jednym z niewielu tak ważnych uczestników życia publicznego na Ukrainie, który apelu o rozmowy z Warszawą nie obudował zastrzeżeniem w stylu „ale i tak to my mamy rację w polityce historycznej, wara Polakom od naszej przeszłości". Symptomatyczny jest przypadek Arsenija Jaceniuka. Jeden z najważniejszych polityków Ukrainy epoki po Euromajdanie potępił „orderopad" następującymi słowami: „Nie można jednej szkodliwej i niewłaściwej decyzji prezydenta Polski naprawić innymi naszymi niewłaściwymi decyzjami". Jaceniuk nie popiera więc stanowiska Warszawy, a jedynie krytykuje niepotrzebne eskalowanie sytuacji przez ukraińskich polityków.

Również publicysta i polityk Solidarności Europejskiej Mykoła Kniażycki uważa, że „orderopad" jest złym rozwiązaniem. Ale także w tym wypadku nie oznacza to podzielania polskiego stanowiska. Kniażycki w tym samym felietonie pisze, że nie należy oddawać orderów oraz że nie należy prowadzić z Polakami dyskusji o historii, bo to jedynie woda na młyn antyukraińskich nastrojów. Lepiej więc o przeszłości milczeć. Zamiast inwestować w konferencje historyków z obu stron granicy, lepiej rozmawiać o przyszłości. Ten sam Kniażycki, krytykując odebranie orderu Zełenskiemu, pocieszał swoich czytelników, że nie wszyscy Polacy popierają swojego prezydenta. Były ambasador Ukrainy w USA Wałerij Czałyj nazwał z kolei decyzję prezydenta Nawrockiego „nieodpowiedzialną". „Każdy naród ma prawo do własnych bohaterów" – stwierdził, artykułując tym samym jeden z najczęściej podnoszonych przez Ukraińców argumentów. Były prokurator generalny Jurij Łucenko na swoim blogu na Ukraińskiej Prawdzie przekonywał, że dowódcy wojskowi jednego kraju nigdy nie są bohaterami dla innego kraju. Wśród dowodów wymieniał Aleksandra Macedońskiego, Juliusza Cezara, Czyngis-chana czy Sulejmana Wspaniałego. „Na własnej ziemi mamy prawo do własnych bohaterów" – uważa Łucenko.

Reasumując, nawet jeśli na Ukrainie pojawiają się głosy krytyczne wobec Zełenskiego, to dotyczą nazbyt agresywnej, konfrontacyjnej formy, nie zaś treści, co do której panuje ponadpartyjne porozumienie. Porozumienie dające się streścić następująco: „W sprawie historii ani kroku wstecz. Nie będą nam Polacy bohaterów wybierać. O przyszłości możemy rozmawiać, przeszłość jest zamknięta. A tak poza tym to Nawrocki nie reprezentuje całej Polski, tylko szowinistyczną prawicę, która przeminie. Jego intencje są nieczyste, bo chodzi mu tylko o słupki poparcia".

PRAGNIENIE NACJONALIZMU

Na koniec warto podkreślić, że to nie Zełenski wymyślił nazwę „Bohaterów UPA". To sami żołnierze poprosili o jej nadanie. Oczywiście prezydent Ukrainy bardzo chętnie wchodzi w buty nacjonalisty. Ale robi to dlatego, że takie jest społeczne oczekiwanie – również w szeregach wojska. Zełenski zachowuje się dokładnie w taki sposób, jaki on i generalnie Ukraińcy w swej masie przypisują Nawrockiemu. Czyli: dąży do eskalacji z sąsiadem, aby przypodobać się wyborcom. Bo Ukraińcy w swej masie oczekują asertywnego prezydenta. Takiego, który nawrzuca Trumpowi, pogrozi Orbánowi albo pośle Nawrockiego tam, gdzie rosyjski okręt wojenny. Może niech się czasem ugryzie w język, ale generalnie niech butuje każdego, kto się nam sprzeciwi. W tej sytuacji zarówno Zełenski, jak i popierający go komentatorzy bardziej niż na Order Orła Białego zasługują na order antypolonizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



405. Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski w Łomży FOT. BP KEP

Episkopalne przeciąganie liny



Piotr Semka

Niełatwo będzie polskim biskupom wydostać się z tego labiryntu sprzecznych ambicji, ideologii i wreszcie zagrożeń prawnych

Dwie niezwykle ważne wizerunkowo sprawy polskiego Kościoła miały być rozstrzygnięte na niedawnym 405. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski w Łomży w dniach 10–12 czerwca.

Tematem sporów były: przyszłość Katolickiej Agencji Informacyjnej oraz ogłoszenie, kto ma pokierować komisją mającą zbadać przypadki molestowania seksualnego w polskim Kościele po wojnie. W tle wyraźnie widać było tarcia na linii obozu kościelnych liberałów kontra bardziej konserwatywna większość biskupów.

Jak wyglądają pola sporów w obu tych sprawach?

BATALIA O KAI

Przez ponad trzy dekady udawało się Katolickiej Agencji Informacyjnej pełnić swoją misję bez większych kontrowersji. Była to niekwestionowana zasługa osoby jej pierwszego szefa Marcina Przeciszewskiego. Stanął on na czele KAI od samego momentu jej powstania w 1993 r. i dzięki swojemu wyczuciu dyplomacji, ale i dobrej znajomości świata mediów potrafił on utrzymać balans między pewną niezależnością agencji od Episkopatu a lojalnością wobec hierarchii w sytuacjach kryzysowych.

To stonowanie i wyraźne demonstrowanie swojej służebnej roli wobec Kościoła zapewniło jej szefowi duży autorytet i zaufanie ze strony kolejnych przewodniczących i sekretarzy Episkopatu. Coś w tej harmonii zaczęło się koło 2023 r. psuć. Dał się zauważyć pewien przechył na rzecz linii i agendy tematów typowych dla środowiska „katolików otwartych", z „Więzi", „Znaku" czy „Tygodnika Powszechnego".

We wrześniu 2025 r. Marcin Przeciszewski miał ukończyć 67 lat i już od początku 2025 r. część hierarchów zaczęła kuluarowo wzmiankować, że czas na jego emeryturę.

Tyle że Przeciszewski bardzo wyraźnie forsował na stanowisko swojego następcy dotychczasowego wiceszefa KAI – Tomasza Królaka, publicystę znanego z liberalnych poglądów. I taka zmiana na fotelu szefa wywołała sprzeciw.

Sytuację skomplikował fakt, że zachowujący dystans wobec Przeciszewskiego ks. Leszek Gęsiak zaczął w tym samym czasie postulować stworzenie nowego ciała, tzw. Konsorcjum mediów kościelnych. W wizji ks. Gęsiaka miało to oznaczać podporządkowanie jego osobie

eprasa.pl 5d267fd813

jako szefowi konsorcjum zarówno biura prasowego Episkopatu, portalu Opoka, jak i wreszcie KAI.

Przeciszewski postanowił wykorzystać ten spór do zwrócenia uwagi na konflikt i demonstracyjnie ogłosił swoją rezygnację. Według wielu opinii liczył, że sprawa wywoła rozgłos medialny i ułatwi mu przeforsowanie zastępstwa na tym stanowisku dla Tomasza Królaka.

Jednak nie zakończyło się to sukcesem. Na tymczasowego szefa KAI został powołany zakonnik o. Stanisław Tasiemski (jeden z dotychczasowych zastępców Przeciszewskiego). Według informacji wielu osób znających sytuację w KAI stanął wobec demonstracyjnej niechęci sporej części zespołu, która utożsamiała się z Przeciszewskim. Nie kryli oni, że odejście Przeciszewskiego to niesprawiedliwość, i – jak się zdaje – liczyli, że koniec końców Królak przejmie agencję. Ten stan wewnętrznego napięcia trwał przez kolejne miesiące po dymisji Przeciszewskiego. I wreszcie na 405. Zebraniu w Łomży doszło do przesilenia. Prezydium Episkopatu przy sporym udziale szefa Rady KAI, metropolity warszawskiego Adriana Galbasa, ogłosiło, że nowym szefem KAI będzie o. Michał Bortnik ze zgromadzenia paulinów. Oficjalnie objąć ma on swe obowiązki 1 lipca 2026 r.

Ojciec Bortnik, rocznik 1975, należy do stosunkowo młodego jak na polskie standardy kościelne pokolenia zakonników. Do paulinów wstąpił w 1994 r., a święcenia przyjął w 2001 r. Wcześniej pełnił funkcję zastępcy kustosza Jasnej Góry i odpowiadał za przygotowanie wizyty papieża Franciszka w Częstochowie w 2016 r. Od 2023 r. kierował biurem prasowym Jasnej Góry i był rzecznikiem najsłynniejszego klasztoru w Polsce.

Reakcja mediów i publicystów Kościoła otwartego na tę nominację była niezwykle ostra. Tomasz Terlikowski na Facebooku pisał: „Miało się zmieniać na lepsze, miało być inaczej, świeccy mieli wchodzić w Kościół. A w Polsce klerykalizm tylko się umacnia. Katolicka Agencja Informacyjna zbudowana i dowodzona przez świeckich dziennikarzy, którzy włożyli w nią całą pasję, po latach przechodzi już pod całkowitą kontrolę duchownych. Jej nowym naczelnym, po poprzedniku, też zakonniku, został paulin ojciec Michał Bortnik. Jakie ma doświadczenie medialne? Ile lat spędził jako dziennikarz? Co wie o mediach? Odpowiedź jest prosta. Nic o tym nie wiadomo [...]. Świat katolicki ma zmierzać w kierunku deklerykalizacji, ale u nas jest odwrotnie".

W podobnym tonie wypowiadała się publicystka Monika Białkowska: „Nie znam człowieka. Być może jest wytrawnym specjalistą od mediów i będzie umiał nadać im nowy kształt i jasny kierunek. Choć w biogramie jest to mocno ukryte. Kibicuję. Ale mi jakoś smutno. Nie ze względu na niego samego – ale na wybory, których dokonują nasi biskupi. Ze względu na myśl, która się za tymi wyborami kryje. Nie brzmi to jak »fachowcy najlepsi z najlepszych«, tylko jak »byle nasi«".

Te emocjonalne reakcje można w jakimś stopniu wytłumaczyć. Z jednej strony nominacja o. Bortnika istotnie zakończyła model, który stworzył Przeciszewski, czyli instytucji kierowanej przez dziennikarza świeckiego, ale mającej informować o Kościele. Jednak można też podejrzewać, że ten wybuch irytacji był wynikiem końca nadziei na zastąpienie Przeciszewskiego Tomaszem Królakiem.

Ale ci, którzy wyraźnie demonstrowali swoją tęsknotę za epoką Przeciszewskiego, pomijali fakt, że to sam Przeciszewski wywołał duży uraz w Episkopacie z racji swej demonstracyjnej rezygnacji i tournée po liberalnych mediach z krytyką Kościoła. Szczególnie wiele krytycznych opinii wywołało udzielenie przez Przeciszewskiego oraz Tomasza Królaka dużego i bardzo krytycznego wobec hierarchii wywiadu dla Szymona Piegzy – najbardziej wojowniczego antyklerykała Onetu.

Ojciec Michał Bortnik odpowiedział na krytyki w „Niedzieli". „Myślę, że nie ma tutaj co dyskutować. Mam wrażenie, że bycie zakonnikiem w oczach pana Terlikowskiego jest [...] największą moją winą. Tak jakby raptem osoby zakonne i księża zostały wystawione poza nawias Kościoła".

Ojciec Bortnik przypomniał, że zarządzał kilkoma placówkami zakonnymi w Polsce, Niemczech i Anglii, a w dziedzinie mediów nie tylko zarządzał w Jasnej Górze biurem prasowym, lecz także pracował w radiu i od dawna zajmował się mediami społecznościowymi. Zadeklarował też, że KAI będzie „wiarygodną agencją prasową" mówiącą o „wszystkich sprawach i na tyle procentowo często, na ile one są ważne".

Decyzja Episkopatu kończy na razie sprawę „Konsorcjum" lansowanego przez o. Gęsiaka. W bardzo istotnej kwestii finansowania KAI hierarchowie ogłosili powstanie funduszu medialnego, który będzie nadzorował finansowanie zarówno biura prasowego Episkopatu, KAI, jak i portalu Opoka. Na czele tego nowego ciała stanął bp Rafał Markowski, biskup pomocniczy w archidiecezji warszawskiej (notabene brat znanego rockmana Grzegorza Markowskiego). Raz w roku we wszystkich kościołach ma odbywać się zbiórka na KAI, ale nie na tacę, tylko do puszek. Ma to być tylko jedna z form pomocy dla Agencji.

Kompromisowe rozwiązanie sprawy KAI to osobisty sukces szefa rady Agencji, abp. Adriana Galbasa. Teraz wiele zależeć będzie od zręczności o. Bortnika. Na pewno będzie miał pod sobą sporą część zespołu, która utożsamia się z Marcinem Przeciszewskim, który po swojej rezygnacji wszedł w mediach społecznościowych w rolę bardzo radykalnego zwolennika zmian w Kościele.

Na pewno środowisko katolików otwartych będzie bardzo uważnie rozliczać o. Bortnika z rządów w Agencji. Plusem jest to, że Episkopat rozwiązał w końcu problem, który od roku powodował mnóstwo złych emocji.

CO Z KOMISJĄ DO SPRAW PEDOFILII?

O ile sprawę KAI udało się załatwić w Łomży, o tyle nie doszło do zapowiadanego przedstawienia przez prymasa Wojciecha Polaka kandydatury szefa komisji mającej ujawnić skalę nadużyć seksualnych wobec nieletnich po 1945 r. I tutaj nie da się zrozumieć złożoności sytuacji bez tła wcześniejszych wydarzeń. Przygotowanie założeń komisji do spraw zbadania i ujawnienia szczegółów wszystkich wypadków molestowania wiernych w Kościele przez osoby duchowne po 1945 r. zlecono metropolicie gnieźnieńskiemu w 2019 r. Działanie przyszłej komisji miało być finansowane z zasobów Fundacji św. Józefa, na które poszły pieniądze z datków zbieranych przez wszystkie diecezje. Z czasem jednak wśród wielu biskupów powstało wrażenie, że prymas Polak dał się zdominować przez środowiska z kręgu „Więzi" i „Znaku", które uczyniły z wyjaśnienia przypadków skrzywdzenia ofiar

eprasa.pl 5d267fd813

swoisty sztandar do przeforsowania zmian w polskim Kościele na znacznie szerszą skalę. Na dodatek swoje wątpliwości zaczęła zgłaszać komisja prawna Episkopatu, która wskazywała, że prace komisji prymasa Polaka nie uwzględniają wielu wewnętrznych kościelnych uwarunkowań prawnych.

W rezultacie na 401. posiedzeniu KEP w Katowicach 12 czerwca 2025 r. w warunkach budzących dużo wątpliwości na sam koniec obrad, gdy już część biskupów się rozjechała, odsunięto prymasa Polaka od kierowania zespołem przygotowującym komisję i powołano zespół do wyjaśnienia wątpliwości prawnych kierowany przez wykształconego prawnika biskupa gliwickiego Sławomira Odera.

I wtedy, tak jak niedawno przy okazji o. Bortnika, obóz „Kościoła otwartego" wybuchnął emocjami. W wypadku tamtej decyzji Tomasz Terlikowski głosił: „Konferencja Episkopatu Polski właśnie pogrzebała wiarygodność Kościoła w Polsce [...]. Biskup Sławomir Oder znany jest z tego, że utopił uczciwe dochodzenie w sprawie Jana Pawła II i jego podejścia do pedofilii". Biskup Oder wykonał powierzone mu przez Episkopat zadanie i doprowadził do stworzenia zasad organizacyjnych i prawnych komisji. Jednym z ustaleń było to, że szefem komisji nie może zostać dziennikarz. Teraz założenia wypracowane przez zespół bp. Odera ma przyjąć Konferencja Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich i Żeńskich w Polsce.

Ale w marcu tego roku Episkopat wykonał krok do tyłu. Wrócił do osoby prymasa Wojciecha Polaka i to jemu wyznaczył zadanie znalezienia kandydata na szefa komisji. Wydawało się, że na Konferencji w Łomży prymas przedstawi jego kandydaturę.

Sam prymas w wywiadzie dla KAI 10 czerwca, czyli tuż przed spotkaniem w Łomży, zadeklarował, że kandydat już jest.

„Powadziłem rozeznanie w tej sprawie i udało się znaleźć kandydata na przewodniczącego, który wyraził wstępną zgodę na objęcie tej funkcji. Nie mogę jednak ujawnić jego nazwiska, ponieważ zgodnie ze statutem komisji kandydatura ta musi zostać przez przewodniczącego KEP przedstawiona najpierw Radzie Stałej KEP, następnie wymaga akceptacji Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich oraz Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. Dopiero później kandydat zostanie zaprezentowany biskupom podczas zebrania plenarnego – przypuszczam, że wraz z zespołem współpracowników, których sam dobierze".

SPRÓBUJMY ROZŁOŻYĆ NA CZYNNIKI PIERWSZE TĘ WYPOWIEDŹ

Prymas Polak zatem kandydata już ma. Wydawało się, że zostanie on ogłoszony w Łomży. Tak się nie stało. Dlaczego? Oficjalnie wyjaśniono, że sekretarz generalny Episkopatu, łódzki biskup pomocniczy Marek Marczak, wciąż czeka na decyzję MSWiA o nadaniu osobowości prawnej komisji drogą rozporządzenia. Jak wyjaśniono, dopóki takiej decyzji MSWiA nie ma, dopóty biskupi nie mogą iść dalej. Tyle oficjalne stanowisko. Nasuwają się jednak liczne pytania. Jeśli kandydat na szefa komisji ma być zatwierdzony przez prezydium, to czy oznacza to jednocześnie zatwierdzenie całego składu komisji, którą wybrać ma jej szef. A tu wielu biskupów nie ukrywa, że chce tę kwestię traktować łącznie.

Prymas Polak kandydata już ma. Wydawało się, że zostanie on ogłoszony w Łomży. Tak się nie stało

Jeden z księży dobrze znających sytuację w Episkopacie tłumaczy: „Ksiądz prymas przez ostatnie lata zapracował sobie na opinię kogoś, kto ulega najbardziej radykalnym postulatom rozliczania Kościoła. I nie chodzi tu o strach przed rozliczeniami, ale o troskę biskupów, by ta komisja nie stała się czymś w rodzaju taranu dla zwolenników daleko idących liberalnych zmian w polskim Kościele. Dlatego przewiduję, że biskupi nie zaakceptują swoistą carte blanche ewentualnego szefa komisji dla wszystkich jej zaproponowanych członków. A taka sytuacja wywoła bardzo duży potencjalny konflikt. Bo z kolei kandydat prymasa Polaka może uznać weto biskupów wobec tego czy innego członka zaproponowanego przez szefa komisji jako wotum nieufności i wycofać się z misji stworzenia tej komisji. A wtedy trzeba będzie zaczynać wszystko od zera".

Niezależnie od linii podziału w Episkopacie na Kościół otwarty i bardziej konserwatywną większość biskupów wybranie szefa komisji będzie bardzo karkołomnym zadaniem. A środowiska „Więzi" czy „Znaku" już deklarują, że Kościół tylko markuje chęć rozliczeń i de facto nie ma ochoty na wyjaśnienie niczego.

Ale są i kwestie czysto praktyczne, które przykuwają uwagę hierarchów. Jeden z biskupów mówi: „Komisja aby mogła się zderzyć z takim ogromem pracy, musi składać się z członków, dla których będzie to praca pełnoetatowa. Na dodatek nie wiadomo, ile lat trwać będą takie prace. Oznacza to, że to my musimy zapewnić pieniądze dla zespołu złożonego z najlepszych fachowców za solidne wynagrodzenie. Kolejna kwestia to ubezpieczenie komisji. Jeśli ktoś zostanie przedstawiony jako sprawca nadużyć, to może odwołać się do sądu. Z czego mają być płacone koszta procesowe? Dodatkowo jeszcze liczyć się trzeba z procesami o zniesławienie ze strony tych kapłanów, którzy już nie żyją. Z doświadczenia wiem, że członkowie rodzin wielu kapłanów są niezwykle wyczuleni na utrzymywanie świetlanej sylwetki duchownego, z którymi łączą ich więzy krwi".

Episkopat musi więc z jednej strony odnieść się do kandydata szykowanego przez prymasa Polaka, z drugiej strony odnieść się do składu komisji, a wreszcie zachować wszystko w tak ścisłej tajemnicy, żeby kandydata nie „spalić". A w grę wchodzi przecież nie tylko akceptacja samego Episkopatu, lecz także Konferencji Zgromadzeń Zakonnych Żeńskich i Męskich.

Wszystko to odbywać się jeszcze będzie w aurze oskarżeń tych mediów, które zachowują daleko posuniętą podejrzliwość wobec Kościoła, że Kościół stworzył komisję tylko dla pozoru, de facto nie chcąc niczego wyjaśniać.

Niełatwo będzie polskim biskupom wydostać się z tego labiryntu sprzecznych ambicji, ideologii i wreszcie zagrożeń prawnych. Pomoc mądrości Ducha Świętego na pewno bardzo się przyda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813

Dylemat „Kierownika”



Rafał A. Ziemkiewicz

Drobiazgi, które w innej atmosferze przemknęłyby niezauważone – jak gastroskopia poza kolejką dla nikomu wcześniej nieznanej posłanki Małgorzaty Pępek czy nieuprawnione parkowanie przez syna europosłanki Marty Wcisło na miejscu dla inwalidów – są teraz podchwytywane jako kolejne potwierdzenia kształtującej się opinii, że władza dojrzała do tego, by ją zmienić

Czy afera Dawida Kacprzyka i jej kolejne „follow-upy” staną się oczekiwanym przez opozycję „gamechangerem”, czy ponownie doprowadzą do upadku władzy Tuska, jak sławne „ośmiorniczki” – jeszcze nie sposób przewidzieć. Ale niewątpliwie ma taki potencjał. Dlatego nigdy jeszcze obóz rządowy nie był tak spanikowany. Widać to zarówno w zachowaniach polityków, jak i w publikacjach zaglądających w kuluary dziennikarzy, i to także tych bliskich władzy, którzy sami czują się przerażeni perspektywą jej upadku.

Dotychczasowe polityczne dzieje III RP pokazały, że wyborcy pozwalają politykom na wiele, ale jednego nie wybaczają: arogancji. A sprawa Warszawskiego Szpitala Południowego to właśnie modelowy wręcz przykład arogancji władzy. Publiczny szpital zamieniono w folwark, na którym panoszył się jakiś małolat, bez kwalifikacji, ale będący faworytem szefów, wszystkich, jak i on sam, z nominacji partyjnej. Zarabiał przy tym, a mówiąc ściślej, wyłudzał za przyzwoleniem przełożonych nieprzyzwoicie wielkie pieniądze, epatując swym bogactwem – m.in. luksusowym autem – i rozstawiał doświadczonych lekarzy po kątach, strasząc ich, że ma prywatne telefony do wszystkich najważniejszych ludzi w państwie i ze wszystkimi nimi łączy go wzajemna wymiana przysług. Kazał przenieść pacjentów z chorobami kręgosłupa do jakiegoś schowka, by salę chorych przerobić na luksusowy salonik dla partyjnych towarzyszy, pozwalający im odciąć się od plebsu z otwartej izby przyjęć. Tych uprzywilejowanych pacjentów lekarze zmuszeni byli obsługiwać w pierwszej kolejności, często odrywani od poważnych przypadków „z ulicy”, by w „saloniku dla VIP-ów” zajmować się dolegliwościami banalnymi, nawet zwykłym kacem. A gdy sam ordynator próbował interweniować u prezydenta miasta, wyrzucono z pracy nie obsługującego partyjną wierchuszkę „jaśnie panicza”, tylko właśnie ordynatora.

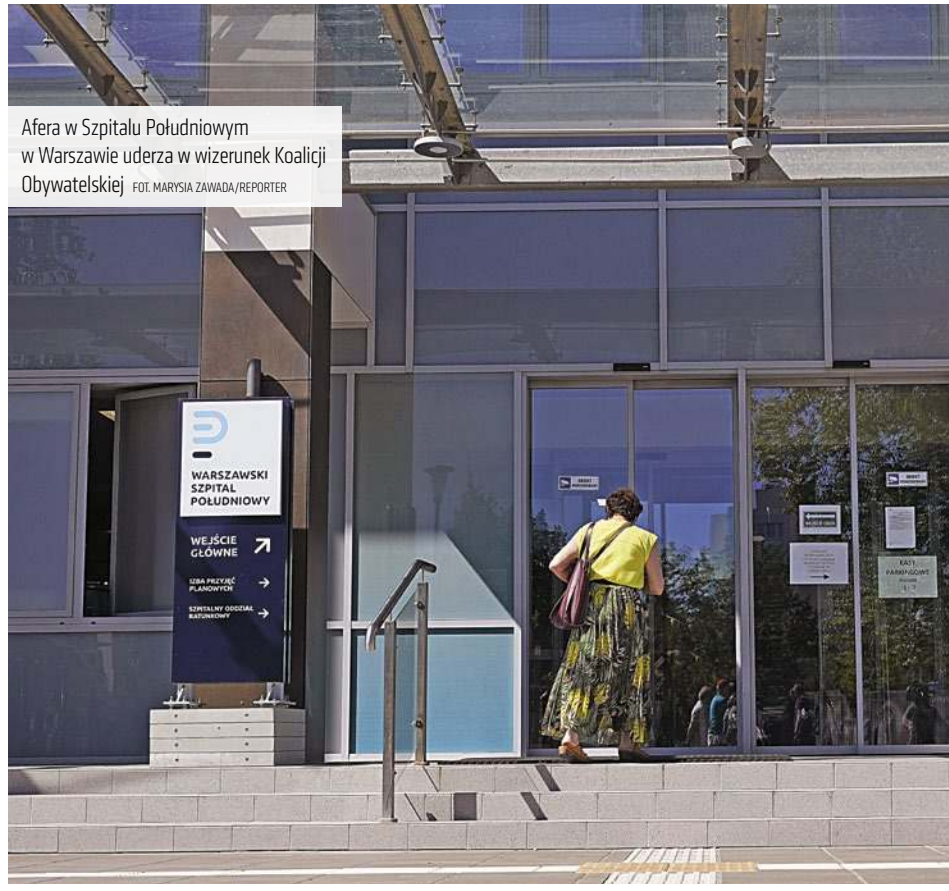
GRANICA PRZEKROCZONA

Taki mniej więcej obraz sytuacji ukształtował się w umysłach wyborców w pierwszych dniach po wybuchu skandalu. Po części wynikł on z doniesień medialnych, po części z „pamięci materiału”, z wpisania nowych informacji w dawniejsze skandale. Nie ma znaczenia, czy ten obraz ściśle odpowiada prawdzie. Ważne, że pasuje do powszechnego wyobrażenia o zepsuciu moralnym władzy i oderwaniu „klasy panującej” od społecznych dołów. Wyobrażenia łączącego się w potocznej świadomości przekonaniem, że gdy pycha i bezczelność rządzących przekraczają pewną granicę, to trzeba po prostu chwycić za przysłowiowe widły i ją pogonić.

Strach, że owa granica w oczach znaczącej liczby wyborców właśnie została przekroczona, rośnie z każdym kolejnym dniem, w którym nie udaje się odwrócić uwagi od skandalu. A nie udaje się, bo wciąż pojawiają się kolejne wątki – a to Rafał Trzaskowski zostaje przyłapany na kłamstwie, a to okazuje się, że „zwrócone” szpitalowi pieniądze wróciły na konto Panicza, a to wreszcie zaatakowany wściekle przez rządową propagandę były ordynator rzuca najcięższe z możliwych oskarżeń: przez niekompetencję partyjnego nominata i podwójny system przyjmowania pacjentów ci „z ulicy” umierali i by to ukryć, bohater afery kazał fałszować dokumentację medyczną.

Nawet drobiazgi, które w innej atmosferze przemknęłyby niezauważone – jak gastroskopia poza kolejką dla nikomu wcześniej nieznanej posłanki Małgorzaty Pępek czy parkowanie przez syna europosłanki Marty Wcisło na miejscu dla inwalidów, jeszcze z jej absurdalnym komentarzem, że syn wprawdzie nie ma do tego uprawnień, ale też był kiedyś operowany – są teraz podchwytywane jako kolejne potwierdzenia kształtującej się opinii, iż władza dojrzała do tego, by ją zmienić. Media, dotąd życzliwe lub obojętne na przekroczenia władzy, wyczuwają, że wpisanie się w ten trend obiecuje większe zasięgi. To grozi wyjściem skandalu z propagandowej „bańki”. Kompromitujące dla władzy fakty – dotyczy to zresztą nie tylko sprawy Szpitala Południowego i Kacprzyka – wychodzą już nie z mediów „prawicowych”, dyskredytowanych przez rządzących w oczach swojego elektoratu jako „pisowskie

eprasa.pl 5d267fd813



Afera w Szpitalu Południowym w Warszawie uderza w wizerunek Koalicji Obywatelskiej FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

radiowęzły", lecz także z kanału i portalu Zero, Wirtualnej Polski, „Rzeczpospolitej"... Można oczywiście odium „pisowskości" rozciągać na kolejne media i osoby, ale już wcześniejsze próby dopisania Stanowskiego do „listy pisowców" dały efekt odwrotny od zamierzonego – co dopiero, gdy etykiety takie nakleja propaganda rządu w wyraźnej panice, by uchylić się od odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzieć wyraźnie nie umie.

Jeden z ciekawych aspektów sprawy to fakt, że po raz pierwszy w samym środku kryzysu znalazł się sam Donald Tusk. Dotąd jego sposób działania był niezmienny: gdy zaczynał się skandal, Tusk po prostu znikał. Na żer ludowi rzucany był odnośny minister lub wiceminister (pamiętamy jeszcze pocącego się przed kamerami Zbigniewa Chlebowskiego), a „Kierownik", jak jest nazywany w swej partii Tusk, pojawiał się dopiero, gdy emocje ostygły, z przygotowanymi w tym czasie przez spin doktorów fokusami i strategiami kryzysowymi. Tym razem znikła zupełnie minister zdrowia – do tego stopnia skutecznie, że w badaniu, kto odpowiada za aferę, wskazało na nią ledwie 3 proc. ankietowanych (pozostałe opcje – rząd, samorząd Warszawy, zarząd szpitala – miały wyniki dwucyfrowe). Nie dały się wypchnąć na żadną konferencję prasową bezpośrednio odpowiedzialna za szpital prezes Anna Łukasik czy teoretycznie odpowiedzialna za komunikację, a zdaniem wielu patronująca układom w warszawskich placówkach wiceprezydent Aldona Machnowska-Góra. Tym razem za Dawida Kacprzyka musiał „świecić oczami" właśnie sam Tusk.

Czy udało mu się przekierować uwagę publiczności na „systemowy problem wywołany przez poprzedników" (zbyt wysokie zarobki lekarzy w ogóle) czy apel, by w „rozwiązywaniu" tego „systemowego problemu" powstrzymać się od jego „upartyjniania", miał jakąkolwiek szansę na akceptację? Nic na to nie wskazuje. Premier nie miał żadnej przemyślanej PR-owskiej „przykrywki" ani strategii, improwizował, zaprzeczał sobie, jednocześnie bagatelizując sprawę i zapowiadając jej surowe rozliczenie. Dla jego obozu to sygnał, że lider słabnie: nie był w stanie zmusić niższych rangą, by wzięli odium na siebie, musiał sam szybko wejść do gry, choć wyraźnie nie był do tego przygotowany... Nadmieńmy, choć to osobny problem, ale na nieszczęście Tuska zbiegający się w czasie ze sprawą szpitalnego „saloniku VIP-ów", że jednocześnie pogubił się Tusk w kwestii Wołodymyra Zełenskiego, UPA i odebranego Orderu Orła Białego: próbując być jednocześnie „za" i „przeciw", kompletnie rozminął się z narastającym antyukraińskimi nastrojami Polaków, by ostatecznie zostać przez prezydenta Ukrainy po raz kolejny wystawiony do innego wagonu.

POGRÓŻKA ARŁUKOWICZA

W organizacji paramafijnej czy – mówiąc językiem socjologii – „brudnej wspólnocie", którą jest Koalicja Obywatelska, opinia, że „stary zdziadział i już nas nie ochroni", ma wielką destrukcyjną moc. Dopóki Tusk pokazywał, że może bezkarnie zamieść każdą sprawę, nawet tak ewidentną, jak Polnord Romana Giertycha czy 4 mln zł w gotówce w mieszkaniu Sławomira Nowaka, dopóty mógł swoim poddanym kazać, niczym legendarny „Starzec z Gór", skakać w przepaść. Ale co, jeśli wygłoszona swego czasu przez Sławomira Neumanna doktryna „dopóki jesteś z nami, dopóty będziemy cię bronić jak niepodległości" przestaje obowiązywać? Nieważne, czy „Kierownik" już nie chce, bo ma ścieżkę ucieczki do Unii Europejskiej (a po tym, jak umknął w roku 2014, zostawiając partię takim nielotom jak Bronisław Komorowski i Ewa Kopacz, trudno się w chwili kryzysu opędzić od takiego podejrzenia), czy też wciąż chciałby, ale po prostu już nie może. W takiej sytuacji instynkt samozachowawczy każe szukać sobie własnej ścieżki ratunku. Szukać nowego patrona, wkupić się w łaski kolejnej ekipy, stworzyć sobie jakąś „polisę bezpieczeństwa", jak Czesław Kiszczak trzymający na pawlaczu teczki „Bolka" i innych. Co może partyjnych aktywistów od takich działań wstrzymywać? Przecież nie opory moralne. Tylko strach, że „Kierownik" dowie się o nielojalności i zdekapituje. Ale czy ten strach wciąż przeważa nad strachem, że jego władza zaraz upadnie?

Bartłosz Arłukowicz zwrócił na siebie powszechną uwagę dziwną – delikatnie mówiąc – wypowiedzią w programie TVN24, kiedy to straszył wszystkich wypowiadających się o nadużyciach w ochronie zdrowia „sześćdziesiątką". Czyli – jak uściślił prowadzący program

eprasa.pl 5d267fd813



Konrad Piasecki – artykułem o statusie „małego świadka koronnego". Trudno zinterpretować to inaczej niż jako pogróżkę „jak my pójdziemy siedzieć, to i was pociągniemy za sobą". Tyle że tę pogróżkę wygłosił Arłukowicz wobec polityków, a sprawa Szpitala Południowego, podobnie jak klęska KO w krakowskim referendum, właśnie dlatego ma taką siłę rażenia, że Polacy nie widzą za nią polityków i nie wpisują jej w rytualną wojnę politycznych gangów, jak postrzegają wszelkie „rozliczenia" i popełniane podczas nich nadużycia. Twarzą ujawnienia nadużyć nie jest nikt z PiS czy którejś z Konfederacji, jest nią Krzysztof Stanowski, postrzegany, mimo intensywnych prób zdyskredytowania go, jak swoisty trybun ludowy, nie polityk.

Po wywiadzie dla Kanału Zero drugą twarzą stał się Emil Jędrzejewski – ten właśnie były ordynator oddziału chirurgii Szpitala Południowego, który próbował swego czasu skłonić Rafała Trzaskowskiego do interwencji i został za karę usunięty. Nie było żadnych powodów uważać, że to on inspirował publikację o zarobkach Dawida Kacprzyka i ich absurdalnym uzasadnieniu (dzień w dzień wpisanych w papiery 11 godzin na dobę w jednej tylko placówce, gdzie partia uczyniła go kierownikiem SOR, plus po kilka godzin dziennie w innych), bo zarobki te musiał Kacprzyk ujawnić w oświadczeniu majątkowym, jako że do wszystkiego postanowił być jeszcze radnym – co swoją drogą pokazuje, jak bezkarny czuł się młody człowiek z racji swych powiązań z partyjną wierchuszką. Ale chcąc jakoś osłabić destrukcyjny potencjał tzw. afery, propagandysta z „Gazety Wyborczej" postanowił właśnie dr. Jędrzejewskiego wykreować na „sygnalistę", a nam zohydzić go, insynuując, że ujawnił to, co zostało ujawnione, dla zemsty. Chciał bowiem – jak „zdemaskował" redaktor Wojciech Czuchnowski – w roku 2018 „wyłudzić" od miasta za darmo działkę pod prywatny szpital.

Taki szpital był istotnie planowany. Problem w tym, że inwestować weń zamierzał Robert Lewandowski. Włączenie popularnego piłkarza do „antyrządowego" spisku nie wydaje się najlepszym prezentem dla Tuska. Do tego cała opowieść nie wytrzymuje elementarnej logiki, bo skoro Jędrzejewski był rzekomo już w 2018 r. szemraną personą, to fakt mianowania tej szemranej persony przez Rafała Trzaskowskiego na stanowisko ordynatora kogo właściwie ma dyskredytować?

RYZYKOWNA STRATEGIA

Nienajlepiej też chyba przysłużył się Tuskowi kolejny jego zagorzały obrońca, Roman Giertych. Ten najwyraźniej postanowił ratować, co się jeszcze da, czyli immunizować na doniesienia o „saloniku dla VIP-ów" żelazny elektorat, owych najbardziej fanatycznych Silnych Razem (których internetowa siła – kolejna fatalna dla Tuska zbieżność w czasie – została właśnie mocno ograniczona przez nowe algorytmy komunikatora X). To racjonalne: w sytuacji kryzysu niezłomna wierność tej grupy jest jedyną szansą na przetrwanie. Giertych, bardzo po ujawnieniu skandalu aktywny w mediach społecznościowych, sięgnął m.in. po stary fejk, jakoby szpital w Otwocku dostał od PiS kiedyś 18 mln zł za „leczenie kolanek Kaczyńskiego", powiązał z owym szpitalem dr. Jędrzejewskiego, a z Jędrzejewskim z kolei Stanowskiego. Trzy bzdury – dawno udowodniono, że dotacja dla publicznego szpitala nie miała nic wspólnego z leczeniem Kaczyńskiego, Jędrzejewski nigdy w tym szpitalu nie pracował (Giertych może nie wziął pod uwagę, że w takim Otwocku może być kilka szpitali) i nigdy się u niego nie leczył Stanowski. Można dodać, a gdyby nawet, co to wszystko ma do rzeczy?

Giertych i „Gazeta Wyborcza" skupili się na dyskredytowaniu i straszeniu doktora Jędrzejewskiego. Nazwano go przestępcą, zapowiedziano oskarżenia karne, urządzono natychmiastowe przesłuchanie, na które nie dopuszczono pełnomocnika prawnego świadka. Po tym, jak doktor zażądał adwokata i zapowiedział, że nie będzie zeznawał bez niego, prokurator powinien wyznaczyć inny termin i zakończyć czynności – zamiast tego urządził farsę, zadając pytania „w powietrze", by wygenerować dla „bańki" newsa, że „teraz Jędrzejewski nie chce odpowiedzieć na żadne z kilkudziesięciu pytań". Choć więc, jak się jednocześnie okazało,

W organizacji paramafijnej czy – mówiąc językiem socjologii – „brudnej wspólnocie", którą jest Koalicja Obywatelska, opinia, że „stary zdziadział i już nas nie ochroni", ma wielką destrukcyjną moc

prokuratura od maja prowadzi śledztwa w sprawie 12 zgonów i sfałszowania 20 dokumentacji medycznych w Szpitalu Południowym, to premier Tusk osobiście publicznie atakuje Jędrzejewskiego i podważa jego wiarygodność. Jak wynika z pierwszych badań opinii publicznej – nieskutecznie.

Co zrobi Tusk dalej? Jeśli nie spełni publicznie złożonej obietnicy, że „polecą głowy" i winni poniosą odpowiedzialność karną, to grozi sondażowe załamanie, jak za czasów schyłkowego AWS czy upadku SLD po aferze Rywina. Jeśli spełni, to „grupa trzymająca władzę" poczuje się tym bardziej zwolniona z lojalności i zachęcona do szukania ratunku każdy na własną rękę. Przed tak trudnym wyborem „Kierownik" jeszcze nigdy nie stanął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



FOT. FILIP NAUMENKO/REPORTER

Wielki plagiator



Filip Memches

W roku 2023 Prawo i Sprawiedliwość straciło władzę „cieleśnie”. Ale zachowało ją jako „widmo”. Nawiedza zatem ono premiera i zmusza go do powielania polityki, którą uprawiało, gdy rządziło

Mnóstwo słów już napisano i powiedziano o tym, że gabinet Donalda Tuska nie zrealizował swojego programu „100 konkretów na 100 dni rządów”. Niby nic w tym nadzwyczajnego. To normalne, że politycy będąc w opozycji, obiecują gruszki na wierzbie, a potem – gdy u władzy przychodzi im się mierzyć z rzeczywistością – zmuszeni są weryfikować swoje plany. Niemniej przypadek Tuska jest szczególny. Można powiedzieć, że o ile kiedyś w praktyce rządzenia próbował on siebie kreować jako realną alternatywę dla Jarosława Kaczyńskiego, o tyle dziś z tego zostało już bardzo mało.

W rywalizacji politycznej odróżnianie się od przeciwnika ma istotne znaczenie wizerunkowe. To być może jeden z powodów, dla których w latach 2005–2007 Platforma Obywatelska dokonała programowego zwrotu. Do jesieni roku 2005 formacja ta bowiem deklarowała chęć współpracy z Prawem i Sprawiedliwością. Wtedy PO – tak jak PiS – opowiadała się za eliminacją postkomunistycznych patologii i budową nowego państwa w oparciu o konserwatywne wartości (warto w tym kontekście przypomnieć hasło „IV Rzeczpospolita”). Gdy jednak się okazało, że ze wspólnego rządzenia Platformy z Prawem i Sprawiedliwością nic nie wyszło (na życzenie tej pierwszej partii), nastąpiła zmiana. Choć PO wciąż prezentowała się jeszcze jako siła umiarkowanie konserwatywna, to zarazem stała się ugrupowaniem obrony układów okrągłostołowych przed ówczesną władzą PiS. Wypada też zauważyć, że Platforma zaczęła krytykować atlantycki wektor PiS-owskiej polityki zagranicznej, co przekładało się na oskarżenia pod adresem formacji Kaczyńskiego o wrogość wobec Unii Europejskiej oraz – tak, tak – Rosji.

Zwrot PO, o którym mowa, znalazł swoje odzwierciedlenie w rządzeniu tej partii razem z Polskim Stronnictwem Ludowym w latach 2007–2015. Choć Tusk jako premier w trosce o słupki sondażowe porzucił głoszony przez siebie liberalizm ekonomiczny (żeby nie wywoływać kosztownymi społecznie reformami antagonizmów), to jednak starał się pokazać, że jest kimś innym niż Kaczyński. Można tu przypomnieć sprawę podniesienia wieku emerytalnego. Prawo i Sprawiedliwość oprotestowało ten pomysł. A jednak w roku 2012 Tusk zdobył się na podjęcie niepopularnej, choć uargumentowanej ekonomicznie, decyzji. Trzeba też przypomnieć, że gdy PiS w roku 2014 zaproponowało wprowadzenie świadczenia „500+”, spotkało się to z dezaprobatą ze strony Platformy. Przekaz ugrupowania Tuska brzmiał: Państwa nie stać na takie prezenty. I był to sygnał, że PO rozminęła się z nastrojami społecznymi.

SIŁA PRAWICOWEGO DYSKURSU

Można odnieść wrażenie, że Tusk wracając do władzy w roku 2023, zrozumiał, że nie może już prowadzić takiej polityki, którą uprawiał, będąc premierem wcześniej. Przez osiem lat, jak rządziło Prawo i Sprawiedliwość, to szeroko pojęta prawica była trendsetterem w zbiorowej świadomości Polaków. Adresowany do „fajnopolaków” przemysł pogardy okazywanej wyborcom PiS, karykaturowanym jako „obciachopolacy”, przestał działać. I jeśli Prawu i Sprawiedliwości po dwóch kadencjach swojego rządzenia nie udało się zdobyć wystarczającej liczby głosów w wyborach parlamentarnych, żeby zachować władzę, to stało się tak nie dlatego, że nastroje społeczne przesunęły się na korzyść Platformy (formacja ta nie uzyskała przecież samodzielnej większości mandatów w Sejmie), ale z powodu błędów, które partia Kaczyńskiego popełniła w komunikacji z wyborcami. Wystarczyłoby bowiem, że PSL – ugrupowanie z rezerwą odnoszące się do lewicowej

eprasa.pl 5d267fd813

agendy kulturowej – nie weszło do gabinetu Tuska, a rząd „demokracji walczącej” by nie powstał. Nie bez znaczenia jest też wzrost poparcia społecznego dla sił na prawo od PiS.

Jedyną obietnicą składaną przez lidera PO – formacji w roku 2025 przemianowanej na Koalicję Obywatelską – i przez niego wdrażaną po przejęciu władzy okazały się czystki w instytucjach, zwłaszcza bezprawne przejmowanie mediów publicznych oraz – w ograniczonym zakresie – wymiaru sprawiedliwości. Walka z prawicowym „populizmem”, a więc negacja, to sedno programu Tuska. Do tego dochodzi antyamerykańska i prounijna polityka zagraniczna kontrastująca z proamerykańską i antyunijną opcją Prawa i Sprawiedliwości. Ale jednocześnie jesteśmy świadkami tego, że Tusk zdaje sobie sprawę z siły prawicowego dyskursu wśród Polaków. I wyciąga z tego wnioski. Idźmy po kolei.

POLITYKA MIGRACYJNA, „800+”, SMARTFONY W SZKOŁACH, CPK

Zacznijmy od polityki migracyjnej. Kiedy w roku 2021 państwo białoruskie uruchomiło falę „uchodźców” z Afryki i Azji forsujących granicę z Polską, Platforma odwoływała się do „praw człowieka”. Politycy PO grali w jednej drużynie ze wzmożonymi moralnie artystami i intelektualistami – ludźmi pokroju Agnieszki Holland, która dała wyraz swojemu stanowisku w filmie „Zielona granica” – oskarżającymi polską Straż Graniczną o dopuszczanie się mordów na nieszczęsnych egzotycznych przybyszach. Platforma grzała opowieść o PiS jako partii faszystów i ksenofobów. I kompletnie nie wykazywała się solidarnością z ówczesnymi władzami w Polsce, podejmującymi decyzje o odpieraniu ataków hybrydowych inicjowanych przez reżim w Mińsku, czego wymownym przejawem było głosowanie posłów PO przeciw budowie zapory na granicy polsko-białoruskiej. Działo się tak dlatego, że rządziło Prawo i Sprawiedliwość.

Wystarczyło jednak, że Tusk został premierem, a od razu wskoczył w buty „PiS-owca”. Gdy na początku roku 2024 jego gabinet dopiero nabierał tempa, postanowiono wzmocnić zaporę na granicy polsko-białoruskiej. Przy czym Tusk podnosząc kwestię sterowania przez tandem rosyjsko-białoruski nielegalnym napływem „uchodźców”, szermował retoryką antyimigracyjną. W oczach ludzi, którzy oskarżali PiS o faszyzm i ksenofobię, polityka nowej ekipy wobec przybyszów nasłanych przez reżim w Mińsku jawiła się jako zintensyfikowana kontynuacja tego, co robił poprzedni rząd.

Na marginesie warto odnotować, że z polityką migracyjną łączy się tzw. afera wizowa. W roku 2023 Platforma Obywatelska wytoczyła ciężką artylerię przeciw rządowi Prawa i Sprawiedliwości oskarżając go o to, że organizował za pośrednictwem VFS Global – indyjskiej firmy działającej w Rosji i na Białorusi – masowe ściąganie do Polski migrantów. Tymczasem okazuje się, że gdy u władzy jest PO, współpraca państwa polskiego z tym podmiotem trwa nadal. Oto na początku czerwca bieżącego roku portal Zero.pl ujawnił, że polskie placówki zagraniczne przy przygotowywaniu wniosków wizowych nadal korzystają z usług VFS Global.

Kolejna sprawa to świadczenie „800+” będące nie tylko przejawem rozdawnictwa socjalnego, lecz także ukłonem w stronę konserwatywnych wyborców, dla których wielodzietność jest wartością. I tak 800 zł miesięcznie na każde dziecko do 18. roku życia zaczęto wypłacać w styczniu 2024 r. Wcześniej – jak wiadomo – była to kwota 500 zł. Gdy jednak Platforma Obywatelska przejęła władzę, bezczelnie reklamowała podwyższenie świadczenia o 300 zł jako swoją inicjatywę i zarazem spełnienie swojej obietnicy wyborczej. A przecież ponad pół roku wcześniej zamienienie „500+” na „800+” zapowiedział rząd Prawa i Sprawiedliwości. Jak widać, Tusk uznał, że warto się podczepić pod coś, co w połowie poprzedniej dekady pomogło PiS zapunktować wśród wielu Polaków.

Dalej trzeba wymienić problem nadmiernego korzystania przez dzieci i młodzież ze smartfonów w szkołach. Psycholodzy alarmowali, że zjawisko to staje się plagą społeczną. Gdy u władzy było Prawo i Sprawiedliwość, ówczesny minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek chciał wprowadzić ograniczenie lub nawet zakaz używania przez uczniów smartfonów w szkołach. Wtedy w PO kpiono z tego pomysłu w stylu prymitywnych lewicowych progresistów – mówiono, że są one rodem z XIX w. Ale wystarczyło, że za rządzenie wzięło się ugrupowanie Tuska, a niedawno Barbara Nowacka jako minister edukacji narodowej postanowiła pójść w ślady Czarnka. Pytana w Radiu Zet przez Bogdana Rymanowskiego, jak to się stało, że zmieniła zdanie, odparła bez zażenowania, iż Polacy „dojrzeli” do zakazu korzystania ze smartfonów przez uczniów w szkołach i większość społeczeństwa to rozwiązanie popiera.

Wreszcie należy zauważyć, co się stało z Centralnym Portem Komunikacyjnym – jednym z flagowych projektów władzy PiS lat 2015–2023. Politycy Platformy dezawuowali to przedsięwzięcie – twierdzili, że stanowi ono przejaw gigantomanii i marnotrawstwa. Gdy sami zaczęli rządzić, przymierzali się do jego zamknięcia. Ale ostatecznie postanowili kontynuować prace nad CPK, tyle że przeprowadzili jego rebranding – teraz projekt ten nosi nazwę Port Polska. Jeśli przedsięwzięcie okaże się sukcesem, to ma on pójść na konto formacji Tuska. Oczywiście i w tym przypadku premier chce się przykleić do „PiS-owskiego” projektu, który przez wielu Polaków – i to bynajmniej nie tylko wyborców prawicy – chwalony jest jako wyraz patriotyzmu ekonomicznego.

GŁOSY Z LEWEJ STRONY TEŻ NIEZBĘDNE

Przykłady naśladowania polityki Prawa i Sprawiedliwości przez Donalda Tuska można jeszcze długo mnożyć. Oczywiście polityk ten stara się również nie zaniedbywać lewicowo-liberalnych wyborców, o czym świadczy choćby to, że jego gabinet forsuje transkrypcje zagranicznych aktów „małżeństw” jednopłciowych. Głosy tej części społeczeństwa są Tuskowi niezbędne. Niemniej premier walcząc z PiS, jednocześnie z dorobku tej partii czerpie garściami. Tyle że, oczywiście, do tego się nie przyznaje i wychodzi na to, że jest po prostu wielkim plagiatorem.

Skądinąd w związku z tym nasuwa się frapujący wniosek: w roku 2023 Prawo i Sprawiedliwość straciło władzę „cieleśnie”. Ale zachowało ją jako „widmo”. Nawiedza zatem ono Tuska i zmusza go do powielania polityki, którą uprawiało, gdy rządziło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Pani od czołgów



FOT. TOMASZ KUBIAK/ARTSERVICE/FORUM

Niektórzy już widzą ją w fotelu premiera. Inni wątpią, czy zdoła zdobyć zaufanie „starych" działaczy i samego Donalda Tuska. Niedawno została wiceministrem obrony narodowej. Kim jest Magdalena Sobkowiak-Czarnecka?

Dzisiaj jestem bardzo wzruszona, bo to jest sześć miesięcy trudnej pracy. Córeczko, wiem, że nie było mnie w domu w Dzień Matki" – tymi słowami zwróciła się Magdalena Sobkowiak-Czarnecka do swojego dziecka podczas podpisania umowy w ramach programu SAFE w Hucie Stalowa Wola. „Nie wybaczę tym, przez których czytasz i boisz się, czy mama nie pójdzie do więzienia. Do żadnego więzienia nie idę. Buduję bezpieczną i silną Polskę. Polskę" – zakończyła pełnomocnik rządu. Odpowiedzialna za unijną pożyczkę w rządzie Donalda Tuska Sobkowiak-Czarnecka miała prawdopodobnie na myśli tych, którzy zwracają uwagę, że tego rodzaju zadłużenie, zaciągane bez podpisu prezydenta pod ustawą, może mieć konsekwencje prawne. Co prawda, nikt 42-letniej wiceminister obrony narodowej za kraty wsadzać nie chce (przynajmniej na razie), jednak nie szkodzi to w budowaniu mitu „niezłomnej". I to jeszcze w kwestii, która – jak wynika z badań – powinna być według Polaków wyłączona ze sporu politycznego, czyli kwestii bezpieczeństwa.

Tego rodzaju wypowiedzi oraz fakt, że Magdalena Sobkowiak-Czarnecka w ostatnich tygodniach niemalże „wychodziła z lodówki", sprawiły, że zaczęła być postrzegana jako potencjalna kandydatka na nowego premiera. Nie po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, ale już teraz. „Mamy informacje, że na finiszu kampanii wyborczej w przyszłym roku jej twarzą – jak i całego rządu – może stać się Magdalena Sobkowiak. Jest ona dziś odpowiedzialna za program SAFE, wcześniej odpowiadała za relacje europejskie" – mówił w podcaście „Polityczny WF" Piotr Witwicki. Rząd Donalda Tuska potrzebuje nowego otwarcia, jednak kolejna rekonstrukcja mogłaby go nie przynieść. Trudno oczekiwać, że poparcie dla rządu wzrośnie po wymianie najbardziej nawet krytykowanych ministrów (np. minister zdrowia). Lepsza, dla Tuska, byłaby zmiana pozytywna. Pomóc w tym, według medialnych spekulacji, mogłaby właśnie pełnomocnik do spraw SAFE. „Najbardziej fantastyczna plotka głosi, że jeśli do zwycięstwa koalicji w przyszłorocznych wyborach konieczna byłaby zmiana premiera, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka ma być na krótkiej liście następców Tuska" – pisze „Newsweek". Kto jednak obserwuje polską politykę, na pewno pamięta, że jesienią 2019 r. niewielu wierzyło, że showman z TVN, Szymon Hołownia, wystartuje w wyborach prezydenckich. Tym bardziej wątpliwe było zwycięstwo Karola Nawrockiego w 2025 r. A jednak obie te rzeczy się wydarzyły.

PO TRUPACH DO CELU

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka jest nazywana w kuluarach „panią od czołgów", „Magdą od SAFE" lub „żelazną damą". Ma być nowym, lepszym modelem kobiecego polityka, obeznanego w sprawach unijnych. W tej roli widziano wcześniej nadzorującą fundusze UE Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, ale szefowa Polski 2050 nie podołała (przypomnijmy słynną aferę wokół „jachtów z KPO"). Sobkowiak-Czarnecka ma mieć łatwiej, bo obok przekazu prounijnego może pozować na tle sprzętu wojskowego, co porusza patriotyczną strunę. „Od tygodnia pani minister jest pod ochroną Żandarmerii Wojskowej, bo w wyznawcach PiS budzi skrajne emocje. Ale jest w tym również element kreowania wizerunku. Tak samo jak jej czerwone garnitury odbijające się na tle mundurów i stali pancernej" – pisał „Newsweek" na początku czerwca.

Urodziła się w 1984 r. w Poznaniu. Ukończyła kierunek gospodarka światowa na tamtejszym Uniwersytecie Ekonomicznym, studia podyplomowe z dyplomacji w Collegium Civitas oraz

eprasa.pl 5d267fd813

studia doktoranckie w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W jej CV można znaleźć m.in. kurs dziennikarstwa multimedialnego Agencji Reutera oraz trzymiesięczny program CEU Democracy Institute Leadership Academy w Budapeszcie. Pracę w mediach rozpoczęła w 2006 r. w studenckim Radiu RMI FM w Poznaniu. Dwa lata później związała się z Polsatem, a następnie przeszła do TVP. W latach 2015–2016 była korespondentką w Brukseli. Zbudowała sobie szeroką sieć kontaktów i do dziś jest z wieloma dziennikarzami na „ty". „Była skoncentrowana na sobie, szła po trupach do celu, nie stroniła od intryg" – wspomina w wypowiedzi dla „Newsweeka" jeden z byłych znajomych z mediów publicznych. Jej wyjazd do Brukseli miał odbyć się w oparach małego skandalu. „Dawni koledzy z TVP opowiadają, jak nie wiadomo skąd nagle wylądowała w Brukseli, zastępując tam wieloletnią korespondentkę TVP" – zauważa tygodnik. Padają sugestie, że to dzięki dobrym dojściom do polityków. „W Brukseli mniej widać. Spotkania dziennikarzy z politykami są chyba nawet bardziej towarzyskie niż w Warszawie i nie budzą takiego zdziwienia. I Magda z tego korzystała" – mówi „Newsweekowi" anonimowy informator. Portal Zero.pl również cytuje osoby z czasów Sobkowiak-Czarneckiej w TVP. „Toksyczna postać. Ale w polityce takie są potrzebne, prawda?" – stwierdza gorzko jedna z nich. Jak mantra przewijają się określenia „zdeterminowana", „bez kręgosłupa moralnego", „nastawiona na cel".

Z pracy w telewizji zrezygnowała po dojściu do władzy Zjednoczonej Prawicy. „Zawsze wychodziłam z założenia, że do widzów telewizji musi dotrzeć przede wszystkim prawda. Moje drogi z TVP – telewizją już nie publiczną, ale rządową – i prezesem Jackiem Kurskim się rozminęły" – opowiadała po latach w wywiadzie dla gazeta.pl. Została jednak w Brukseli. Dostała pracę w Komisji Europejskiej, gdzie m.in. pisała przemówienia komisarzom. Zajmowała się głównie tematem obronności. Po urodzeniu córki postanowiła wrócić do kraju, ale nie do mediów. Została doradczynią do spraw wizerunku i komunikacji prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. W 2020 r. była szefową jego kampanii prezydenckiej. Sukcesu nie odnieśli, ale pozostała przy ludowcach. O swoim szefie – jak czytamy na gazeta.pl – mówiła tak: „Uważam go za najbardziej obiecującego polskiego polityka. Przed nim wielka przyszłość. Uznaliśmy wspólnie, że warto połączyć siły. Moje doświadczenie z pracy w mediach, ale i w instytucjach europejskich – bo pracowałam w Komisji Europejskiej jako speechwriter unijnych komisarzy – jest tu przydatne". Sześć lat kreowała się raczej na umiarkowaną centrystkę. Jak twierdziła – „sprawa LGBT to zasłona dymna dla realnych problemów". Jakich? Sobkowiak-Czarnecka wymieniła podatek katastralny, emeryturę bez podatku oraz rosnące koszty energii. W jej otoczeniu wielu oczekiwało, że 2023 r. będzie dla niej szansą na dostanie się do Sejmu. Nie otrzymała jednak tzw. miejsca biorącego z Poznania. Według rozmówców z KO „zadziałali koledzy". Problemem dla starych wyjadaczy miało być to, że jest młoda i ambitna. Sobkowiak-Czarnecka zajęła się więc „odcinkiem żeńskim" i w czasie kampanii przed wyborami koordynowała ogólnokrajową akcję profrekwencyjną „Kobiety na wybory". Po zwycięstwie koalicji Donalda Tuska w 2023 r. pomóc jej miały kontakty w KO, szczególnie znajomość z Pawłem Grasiem. Współpraca z Adamem Szłapką, wtedy ministrem do spraw Unii Europejskiej, oznaczała współorganizację polskiej prezydencji w Radzie UE. W tym czasie wykuwano program SAFE. Na początku 2024 r. została powołana na funkcję podsekretarza stanu do spraw europejskich w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, nadzorującego przygotowania Polski do sprawowania prezydencji, a w październiku 2025 r. została Pełnomocnikiem Rządu do spraw Instrumentu na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy SAFE. Jednocześnie do 2025 r. była międzynarodowym sekretarzem PSL w Europejskiej Partii Ludowej.

TECHNOKRATYCZNY WYMIAR POLSKIEGO LIBERALIZMU

„Dowiozłam SAFE i mam nadzieję dowozić kolejne rzeczy" – stwierdziła na początku czerwca. Wielu odczytało to jako sygnał gotowości do realizacji innych zadań, w tym przejęcia funkcji premiera. Władysław Kosiniak-Kamysz pytany, czy Magdalena Sobkowiak-Czarnecka mogłaby być kolejnym premierem lub prezydentem, odparł, że tak. Wcześniej jednak Donald Tusk musiałby uznać, że jest dla swojego rządu zbyt dużym obciążeniem. „Platforma przeprowadzała kiedyś podobny manewr i zrobiła to wówczas w sposób skrajnie nieudolny. W miejsce Donalda Tuska, który budowany był jako polityk zdeterminowany i niebojący się podejmowania niepopularnych decyzji, przedstawiono panią Ewę Kopacz, jedną z łagodniejszych twarzy partii. Pani Sobkowiak-Czarnecka miałaby być pójściem w inną stronę, zobrazowaniem technokratycznego wymiaru polskiego liberalizmu, pokazującym trzonowi elektoratu bardziej merytokratyczne oblicze" – mówi w rozmowie z Zero.pl politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Rafał Chwedoruk.

Sobkowiak-Czarnecka w fotelu premiera (lub kandydatki na premiera po wyborach parlamentarnych w 2027 r.) mogłaby też stanowić dla szefa PSL argument za utworzeniem wspólnych list z KO. Ostatni sondaż CBOS pokazuje zaledwie 1,5 proc. poparcia dla PSL, co oznacza zarówno niewejście do Sejmu, jak i nieotrzymanie subwencji budżetowej. „Odkładając na bok wszystkie wątpliwości, popatrzmy na plusy. Jest nowa, nie opatrzyła się jeszcze wyborcom, nasz elektorat jest nią zachwycony, na razie ma tylko pozytywną historię »kobiety, która wydaje miliardy na czołgi«. To jest jej największy atut" – twierdzą rozmówcy „Newsweeka" z KO. Tusk miał szukać kogoś na swoje zastępstwo przed końcem kadencji. Plan z Barbarą Nowacką nie wypalił z powodu jej licznych, katastrofalnych decyzji podejmowanych w Ministerstwie Edukacji Narodowej.

Na dodatek niedawno Sobkowiak-Czarnecka otrzymała posadę wiceministra obrony narodowej. „Dla mnie to jest wyjątkowy moment. Przede wszystkim chcę podziękować panu premierowi Donaldowi Tuskowi, panu premierowi Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi za zaufanie i powierzenie kolejnej misji w tym gabinecie. To, że żyjemy w wyjątkowych czasach, myślę, że dla wszystkich jest jasne. Dzisiaj wszystkie nasze wysiłki kierujemy na to, żeby budować odporność naszej ojczyzny" – mówiła podczas uroczystości wręczenia nominacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813

Śmieciowe prawo



FOT. ADOBE STOCK



Radosław Wojtas

Miało być nowocześnie, ekologicznie i po europejsku. Jest jak u Barei. System kaucyjny działa od kilku miesięcy, a już zdążył zajść za skórę Polakom, stworzyć nowe rynki dla drobnych przestępców, uderzyć w małych handlowców i rozsierdzić oficerów Wojska Polskiego. Politycy zrobili z nas śmieciarzy i jeszcze każą nam za to płacić

Nie ma miesiąca, by nie mignął mi w Internecie artykuł o niebezpiecznym plastiku, który jest ponoć już wszędzie. Uciec przed nim nie sposób: mikroplastik jest nie tylko w glebie i oceanach, lecz także w naszych domach, w powietrzu, którym oddychamy, w jedzeniu, które spożywamy, i w napojach, które pijemy. Sprawiedliwie wdychają go w drodze do pracy kierowca pełnoletniego Passata, któremu nie wolno wjeżdżać w Strefę Czystego Transportu, kierowca Tesli, któremu wolno tam wjechać nawet buspasem, i operator czołgu, który na służbie powinien troskać się raczej o bezpieczeństwo swojego kraju, a nie całej planety. Teoretycznie więc „zielone" przepisy, takie jak dyskryminacja posiadaczy starych diesli i uprzywilejowywanie właścicieli elektryków, nie powinny go na poligonie obchodzić. Ale w państwie teoretycznym praktyka w żadnym razie nie nadąża za teorią.

Okazuje się bowiem, że w czołgach jeździ nie tylko mikroplastik, lecz także plastik wypełniony powietrzem. Może niedosłownie, ale – jak ujawnił niedawno „Dziennik Gazeta Prawna"– jednostek wojskowych w Polsce nie ominął obowiązek zbierania na kupeczkę kaucjonowanych śmieci. Wojsko protestuje, apelując o poważne traktowanie munduru i zwolnienie armii z tego zadania. Ale trochę na to poczeka.

PLASTIK NA ODSTRZAŁ

Na razie armia państwa graniczącego z reżimami Łukaszenki i Putina, na którego granice napiera fala nielegalnej migracji, najsilniejsza armia kraju wschodniej flanki NATO, z jednej strony zbroi się, by być gotowa na zagrożenie ze strony Rosji, a z drugiej w pocie czoła sortuje pusty plastik. „Dziennik Gazeta Prawna" donosi, że od października ubiegłego roku odpowiedzialność za zbiórkę opakowań kaucyjnych spoczywa bezpośrednio na dowódcach jednostek wojskowych. Wymusiło to na armii stworzenie od podstaw systemu logistycznego. Dowódcy jednostek z dnia na dzień i wbrew swojej woli stali się kierownikami punktów może nie skupu, ale na pewno zbiórki butelek i puszek. Zamiast ćwiczyć taktykę na poligonie, wojskowi głowią się nad instalacją skanerów kodów kreskowych.

Podpułkownik Piotr Płuciennik z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych mówił „Rzeczpospolitej", że wojsko podpisuje umowy z operatorami systemu kaucyjnego, którzy „bezkosztowo" dostarczają sprzęt, taki jak skanery, oraz zaplecze informatyczne. Słowo „bezkosztowo" bierzemy w gruby cudzysłów, bo realizacja zielonego obowiązku kosztuje polskich żołnierzy cenny czas. Skala wyzwania jest duża. Tylko w jednej jednostce, której przykład podają media, powstały 34 miejsca odbioru i 172 punkty zbiórki śmieci.

Armia odzyskuje kaucję i otrzymuje wynagrodzenie za zbiórkę manualną, jednak wojskowi postrzegają ten obowiązek jako absurdalne obciążenie, które odrywa ich od kluczowych zadań. Generał Leon Komornicki, były zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, nie owija w bawełnę, nazywając tę sytuację wprost „absurdem paraliżującym działanie armii". Oficer wskazuje palcem winnych. Jego zdaniem to w wojskowej administracji i biurze prawnym Ministerstwa Obrony Narodowej popełniono błędy na etapie legislacyjnym w latach 2023–2024. Komornicki apeluje o wyciągnięcie konsekwencji personalnych wobec odpowiedzialnych urzędników. I podkreśla, że cała sytuacja doskonale pokazuje destrukcyjny wpływ biurokracji na siły zbrojne.

eprasa.pl 5d267fd813

„DGP" informuje, że MON zauważyło problem dopiero po sygnałach napływających z garnizonów. Rozwiązanie ma zostać wprowadzone przy okazji prac nad ustawą o Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta. Czyli kiedy? Tak dokładnie to nie wiadomo. „Wiceminister obrony narodowej Paweł Bejda przekazał, że projekt zakłada wyłączenie z systemu kaucyjnego napojów kupowanych na użytek Wojska Polskiego i sił sojuszniczych. Prace legislacyjne jednak się przedłużają. Ustawa utknęła w konsultacjach, a jej wejście w życie, planowane na 2026 rok, jest opóźnione. W praktyce oznacza to, że żołnierze na razie nadal będą zbierać butelki" – podaje „DGP".

SYSTEM PLUSÓW UJEMNYCH

Na system kaucyjny nie narzekają chyba tylko politycy, którzy go wprowadzili, i bohaterowie artykułów opisujących trudne do zmierzenia szczęście Polaków z tego powodu, że z pracy, szkoły czy z plaży nie wracają z pustymi rękami, ale zawsze znajdą po drodze jakiś śmieć wart (oczywiście nie w postaci gotówki, lecz bonu), a to 50 gr, a to 10 gr, gdy trafimy pechowo na starszą butelkę. No i jeszcze policjanci z Tarnowskich Gór. Ci swego czasu pochwalili się w mediach społecznościowych sukcesem ujęcia mężczyzny, „który chcąc uzyskać zwrot za szklaną butelkę, przykleił kod kreskowy z innej. W ten sposób oszukał sklep i jego pracowników na kwotę 50 groszy". Post uzupełniały informacja o zagrożeniu karą do dwóch lat pozbawienia wolności oraz zdjęcia delikwenta posadzonego za kratami i butelki z przeklejonym kodem.

Jakież pole do popisu mają teraz dzielnicowi przy butelkomatach! Jeśli wierzyć mediom, system kaucyjny doprowadził do narodzenia się nowych rodzajów przestępczości. Wokół dużych hipermarketów i galerii handlowych zaczęły ponoć operować zorganizowane „gangi zbieraczy". Grupy te regularnie wykorzystują w swoim procederze masowego znoszenia opakowań osoby znajdujące się w kryzysie bezdomności, które przeszukują śmietniki w całym mieście. Bardziej innowacyjni „detaliści" opanowali kradzież metodą „na wędkarza" – przywiązują do butelki wędkarską żyłkę i wyszarpują plastiki zaraz po odczytaniu kodu i zwróceniu opłaty. Zaawansowani technicznie oszuści drukują podrabiane kody kreskowe, naklejając je na bezwartościowe śmieci. Ponoć – i znów, jeśli wierzyć mediom – zdarzają się już włamy po same tylko śmieci. „Fakt" opisał historię zuchwałego wtargnięcia na prywatną posesję. Złodzieje dostali się do pomieszczenia gospodarczego, w którym znajdowało się ok. 20 zgrzewek napojów. Nie dźwigali jednak płynów. Mieli je wylać do wiader stojących w tym samym miejscu i zabrać wyłącznie opakowania objęte kaucją. Zmarnowane napoje były warte kilkaset złotych, zrabowany plastik – ok. 60 zł.



Jak kraść, to miliony. Wtedy pewnie nie złapią. Za 50 gr to i za kratki wsadzą, i na Facebooku opiszą FOT. FACEBOOK.COM/KPPTARNOWSKIEGORY

Brzmi to wszystko, jakby ustawa wyszła spod pióra Barei, ale większości Polaków nie jest do śmiechu. „Zrobiliście z nas śmieciarzy!" – grzmimy, ale jednocześnie grzecznie upychamy puste puszki i butelki (niezgniecione!) po szafach, szafkach, piwnicach, komórkach, szopkach i garażach. Najbardziej cierpią lokatorzy wynajmowanych pojedynczych pokoi, kawalerek i mniejszych mieszkań czy mikroapartamentów (to w Warszawie). A także drobni przedsiębiorcy prowadzący małe sklepiki. Mogą do systemu przystąpić całkowicie dobrowolnie, jednak jest to decyzja z gatunku: możesz wybrać dowolny kolor, pod warunkiem że będzie to czarny. Jeśli sklep odmówi odbierania kaucjonowanych śmieci, to jego klienci szybko zorientują się, że wygodniej jest pojechać do dużego dyskontu, oddać nagromadzone opakowania i przy okazji zrobić tam pełne, weekendowe zakupy. System kaucyjny staje się kolejnym impulsem do przepływu klientów od osiedlowych sklepów do dużych, zagranicznych sieci. W małych sklepikach recyklomatów nie ma, wszystko odbywa się ręcznie, a brudne, niezgniecione, ociekające lepkimi resztkami słodkich napojów butelki czekają w workach poutykanych na zapleczach.

NABICI W BUTELKĘ

I gdyby jeszcze na tym naszym poświęceniu zyskiwała planeta, to by może brygada była bardziej uśmiechnięta. Ale pojawiają się już pierwsi śmiałkowie ze skrótami przed nazwiskami, którzy twierdzą, że nowy system wcale nie jest bardziej ekologiczny od starego, polegającego na zgniataniu butelek oraz puszek i wrzucaniu ich do żółtych worów odbieranych spod naszych domów. Analiza dr inż. Beaty Waszczyłko-Miłkowskiej oraz dr inż. Jolanty Kamińskiej-Borak z jednostki badawczej BioVeradi, oparta na 109 szczegółowych scenariuszach logistycznych, dowodzi jednoznacznie, że system kaucyjny w Polsce wręcz zwiększa emisję dwutlenku węgla w porównaniu z tradycyjnym systemem zbiórki. Z danych wynika, że w optymalnie działającym systemie gminnym, w którym śmieciarka odbiera posegregowane odpady bezpośrednio z posesji, ślad węglowy związany z zagospodarowaniem jednej plastikowej butelki PET wynosi ok. 4 g CO_2. Tymczasem wdrożenie systemu kaucyjnego winduje tę emisję do poziomu od 11 g aż do 22 g CO_2 na każdą butelkę. Co więcej, nawet w utopijnym scenariuszu, w którym obywatele całkowicie zrezygnowaliby z używania samochodów do oddawania butelek, ślad węglowy systemu kaucyjnego nadal przewyższa efektywność zbiórki gminnej. O tym, że od utopii jesteśmy daleko, niech zaświadczy tu tylko jeden przykład. Jak podał portal superbiz.se.pl, zbierane w Lublinie puszki wywożono aż do Niemiec. Operator twierdzi, że to dlatego, iż „w Polsce nie jest prowadzony recykling puszek aluminiowych, który umożliwia wytworzenie nowych puszek napojowych".

Może jest mniej ekologicznie, mamy więcej obowiązków, ale za to zapłacimy drożej za odbiór pozostałych śmieci, bo system kaucyjny wyssał najbardziej wartościowe frakcje. Skoro nie ma zysku ze sprzedaży surowca wtórnego, to koszty obsługi systemu odpadowego trzeba jakoś wyrównać. Kto za to zapłaci? Oczywiście my. Ale nie bądźmy samolubni. Jak ktoś płaci, to ktoś bierze. W przyrodzie nic nie ginie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Clarice Starling, młoda agentka FBI, prowadzi z Hannibalem niepokojącą psychologiczną grę FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pakt z diabłem



Piotr Gociek

„Milczenie owiec" wróciło do kin. Oto mistrzowska lekcja, jak nakręcić film świetny, przerażający i głęboko niepokojący

Kto nie przeżył, nie pamięta – ja wciąż wspominam, jak wielkim szokiem było pojawienie się w księgarniach książki, a w kinach filmu „Milczenie owiec". Nawet niemal dekadę później, gdy w Radiu Plus trafiłem do pokoju z doborową załogą (Staszek Klawe, Andrzej Paulukiewicz, Paweł Zuchniewicz), toczyły się tam dyskusje na temat przesłania powieści Thomasa Harrisa i zaszytej w niej symboliki chrześcijańskiej. No i spór: czy Harris przekręca, wyszydza i dekonstruuje czy raczej pozostaje wewnątrz chrześcijańskiego paradygmatu.

Dzisiaj „Milczenie owiec" (1991) w reżyserii Jonathana Demme'a obejrzeć mogą na dużym ekranie ci, którzy znają ten film jedynie z telewizora. Wciąż robi niezwykłe wrażenie, a zapewniam, że gdy trafiał na polskie ekrany w styczniu 1992 r., było ono jeszcze większe. Raz na jakiś czas udaje się w Hollywood sztuka niezwykła – wśród rutynowo produkowanej masówki pojawia się film, który pozostając wielkim komercyjnym hitem, staje się jednocześnie dziełem obsypywanym nagrodami, w dodatku stając się potem przedmiotem rozlicznych naukowych analiz. Takie było „Milczenie owiec" – trzeci film w historii nagrodzony pięcioma najważniejszymi Oscarami (film, reżyseria, scenariusz, najlepszy aktor i aktorka) oraz wyróżniony Srebrnym Niedźwiedziem na festiwalu filmowym w Berlinie.

Oczywiście nie byłoby tego sukcesu, gdyby nie literacki pierwowzór. Chociaż powieść Thomasa Harrisa ukazała się w USA w roku 1988 (w Polsce w roku 1990 w Srebrnej Serii wydawnictwa Amber), to można śmiało postawić tezę, że stała się, wraz z ekranizacją, jednym z fenomenów definiujących lata 90. Na naszych oczach gatunek thrillera i kryminału zmieniał się nieodwracalnie. Miejsce klasycznych dochodzeń policyjnych, opowieści obyczajowych z życia stróżów prawa, zimnowojennych powieści szpiegowskich i conspiracy thrillers w stylu Roberta Ludluma zaczęły zajmować opowieści, które były w istocie psychologicznymi horrorami. Pamiętajmy, że w 1988 r. powieść „Milczenie owiec" zdobyła Bram Stoker Award dla najlepszego horroru, zwykle zarezerwowaną dla twórców takich jak Stephen King czy Robert McCammon. Aby budzić przerażenie, nie trzeba bowiem fantazjować

eprasa.pl 5d267fd813

– wystarczy wiarygodnie opisać rzeczywistość. Potem makabra została strywializowana, bo seryjni mordercy zaczęli nagle popkulturę zaludniać masowo.

ŹRÓDŁO ZŁA

Thomas Harris „Czerwonym smokiem" oraz „Milczeniem owiec" wprowadził do popkultury niepokojącą postać seryjnego mordercy kanibala, który dopuszczając się przerażających czynów, jest jednocześnie postacią charyzmatyczną, fascynującą, wszechstronnie edukowaną i zdolną do głębokiej autoanalizy. Oto człowiek, który będąc świadomy natury zła, jednocześnie świadomie wybiera zło. Dlaczego? Niepotrzebnie po latach uległ Harris pokusie, by dopisywać w prequelach Hannibalowi Lecterowi przeszłość, młodzieńcze traumy i rozmaite doświadczenia formacyjne. Postać ta właśnie dlatego była tak przerażająca w „Milczeniu owiec", bo nie rozumieliśmy źródła tego zła. Mogliśmy natomiast spekulować. Stąd jeden z powodów, dla których ta opowieść tak głęboko zapadła w masową wyobraźnię odbiorców, stąd także późniejsze rozliczne analizy krytyczne i naukowe.

Clarice Starling, młoda agentka FBI, prowadzi podwójną walkę. Stara się udowodnić swoją wartość starszym i bardziej doświadczonym kolegom, którzy kruchą, drobną kobietę lekceważą. Trop feministyczny także walnie przyczynił się do sukcesu „Milczenia owiec", podobnie jak nieodłączną częścią sukcesu filmu „Obcy" („Alien" 1979) Ridleya Scotta i jego kontynuacji stała się Ripley, grana przez Sigourney Weaver.

Clarice Starling jednocześnie toczy wewnętrzny bój o spokój ducha. Nękana jest obrazami z młodości, gdy podczas wiosennego zarzynania owiec obudziła się pośrodku nocy. „Obudziłam się i usłyszałam krzyk owiec. Obudziłam się w ciemności i gdzieś obok przeraźliwie beczały owce" – opowiada Lecterowi podczas jednego z kluczowych dialogów książki i filmu. „Nie mogłam nic dla nich zrobić". Lecter odpowiada: „Nadal budzisz się czasami w środku nocy, prawda? Budzisz się w kamiennej ciemności i w uszach masz krzyk owiec. Sądzisz, że jeśli uda ci się własnoręcznie złapać Buffalo Billa i uratować Catherine, to owce umilkną. Sądzisz, że je także uda się uratować i nie będzie budzić cię po nocy ich krzyk? Tak? Clarice?".

RANY DUSZY

Szlachetne dzieło ratowania niewinnych jest więc drogą do zamknięcia ran we własnej duszy. Tyle że owo szlachetne dzieło sprowadza agentkę FBI do podziemia, w którym trzymany jest potwór. I to wejście w komitywę z potworem okazuje się kluczem do rozwiązania kryminalnej zagadki. Czy można negocjować ze złem w imię dobra? A może to tylko wybór między złem mniejszym i większym? A może sięgnąć powinniśmy do psychologii analitycznej Carla Gustava Junga i ujrzeć w Clarice rozmawiającej z Lecterem jej negocjacje z własnym Cieniem?

Można jednak spojrzeć na tę niepokojącą psychologiczną grę między Clarice a Hannibalem w sposób najprostszy i najbardziej oczywisty: oto Szatan, który kusi, oto nieuświadomiona faustowska umowa – w zamian za twą duszę dam ci to, o czym marzysz najbardziej. Zatem… czy Clarice jest rzeczywiście uzdrowiona i znów poskładana w całość w ostatniej scenie książki, gdy „śpi głęboko i słodko, spowita w milczenie owiec", czy może została zainfekowana złem, z którym negocjowała – tyle że o tym nie wie? Te zawieszenia, te niedopowiedzenia decydują o wielkości wywodu Thomasa Harrisa ubranego w formę poczytnego thrillera. Brak wyjaśnienia źródła zła w Hannibalu, brak domknięcia jego losów, brak jednoznaczności w zwycięstwie Clarice nad Buffalo Billem… Stop. Ale przecież to nie Bill był głównym przeciwnikiem bohaterki w „Milczeniu owiec", tylko Hannibal Lecter. Ten zaś zniknął bez wieści. Zła raz na zawsze pokonać się nie da. I co dalej, Clarice? Kiedy się obudzisz?

Jak wspomniałem wcześniej: prequele rozmywają jedynie siłę przekazu „Milczenia owiec", niepotrzebnie próbują rozjaśnić tajemnice Lectera. Sequel to jedno z najbardziej kontrowersyjnych dokonań w dziejach literatury popularnej. Bo jakże można było uczynić szczęśliwą parę z łowcy i ofiary, z Szatana i jego ofiary? Czyżby zło zawsze wygrywało? A może inaczej: Kto zaczyna paktować z diabłem, nawet ze szlachetnych pobudek, wkracza na drogę, z której nie ma powrotu?

POZIOM KLASY MISTRZOWSKIEJ

„Milczenie owiec" ponownie na dużym ekranie daje okazję widzowi wychowanemu na krzykliwie kolorowych przeglądarkach efektów komputerowych – czyli na współczesnych filmach – doznać doświadczenia prawdziwie kinowego. Wszystko jest tu znakomite – od scenariusza świetnie destylującego treść książki, przez pewną reżyserię Jonathana Demme'a, sugestywną muzykę Howarda Shore'a i świetne zdjęcia Taka Fujimoto, po kapitalne kreacje aktorskie Jodie Foster i Anthony'ego Hopkinsa. Od typowej rąbanki dostępnej dziś w streamingu różni go także fakt, że odrażające obrazy (wspomnijmy wizytę Clarice w więzieniu Hannibala oraz wnętrze domu Buffalo Billa) nie służą jako efektowne ozdobniki, nie mają być zaprogramowanym przez algorytmy „szokiem raz na 10 minut", lecz wplecione są w opowieść, tworząc jej integralną część. Tak, „Milczenie owiec" jest horrorem, i jest to ćwiczenie z horroru na poziomie klasy mistrzowskiej.

Jak w przypadku wszystkiego, co oryginalne, niepokojące i intrygujące we współczesnej kulturze, musimy spieszyć się z podziwianiem „Milczenia owiec", nim tłum woke nie wpadnie na pomysł, by ten film ostatecznie unieważnić (mówiąc językiem YouTube: scancelować). Pojawiły się wszak głosy, że jest on krzywdzący dla środowiska trans, gdyż w czarnych barwach przedstawia seryjnego mordercę, osobnika płci męskiej, który by stać się kobietą, zabija otyłe niewiasty i szyje sobie z ich skóry własną „nową skórę". Ciekawe, czy uważają też przedstawienie Hannibala Lectera jako geniusza zła za krzywdzące dla poczciwych kanibali.

„Milczenie owiec" ponownie na dużym ekranie daje okazję widzowi wychowanemu na krzykliwie kolorowych przeglądarkach efektów komputerowych doznać doświadczenia prawdziwie kinowego

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Inna bajka

FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS



Krzysztof Masłoń

Tego, co po unicestwieniu przez Gombrowicza robi jeszcze Słowacki w spisach obowiązkowych lektur szkolnych, wytłumaczyć niepodobna i najświatlejsza ze światłych, ministra Nowacka Barbara, choć tak bardzo się stara, odpowie za to przed Najwyższym Trybunałem Rewolucyjnym Edukacji. Powiedzmy, że polskiej.

Tego romantycznego wierszokletę na nieszczęście upodobał sobie będzie przed stu laty niejaki Józef Piłsudski, dość zgodnie przez nasz naród – naturalnie poza Rafałem A. Ziemkiewiczem – uważany za ojca założyciela nowoczesnej polskiej państwowości, genialnego polityka i wodza. Miał on ten zwyczaj, że ze Słowackim i wstawał, i kładł się spać. Ściągnął poetyckie truchło do kraju, pochował je na Wawelu i orzekł, że twórca „Beniowskiego" królom był równy. Zależy którym. W każdym razie przez lata wbijano naszej dziatwie do głów, że Juliusz Słowacki wielkim poetą był, i choć racjonalnie myślący autor „Ferdydurke" obśmiał tę diagnozę, to zakorzeniła się ona między Bugiem a Odrą. Rozumiałbym jeszcze, że nad Ikwą czy Wilią. Ale w Polsce Centralnej?

Gombrowiczowski Gałkiewicz oczywiście miał rację: Słowacki już przed wojną nikogo nie zachwycał, a co dopiero dzisiaj, gdy do poezji przykładamy utylitarną miarę i dlatego ze zrozumieniem przyjęliśmy swego czasu prognozę, którą Donald Tusk, znany zwolennik porozumienia między zwalczającymi się Polakami, zaadresował do byłego prezydenta Andrzeja Dudy, któremu życzliwie radził:

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy.
I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta.

No, Miłosz jest tu absolutnie na miejscu, a gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, to mu niemiłościwie i najdłużej panujący w III RP premier, robiący wtedy, gdy recytował noblistę za opozycjonistę, wyjaśnił, że chodziło mu o to, by pokazać, „co czeka każdą władzę, która sprzeniewierzy się ojczyźnie". Na wszelki wypadek warto prezesowi Rady Ministrów, skądinąd nie za bardzo znanego z miłości do literatury, podpowiedzieć dogłębną lekturę innej książki, tym razem prozatorskiej – „Wieszania" Jarosława Marka Rymkiewicza. Ale to, rzecz jasna, inna bajka.

Plączę się w dygresjach, a chodzi mi przecież o to, by raz na zawsze usunąć rymopisa z Krzemieńca ze szkolnych programów, podręczników i wypisów. O szkodliwości megalomańskich i szowinistycznych bredni ukrytych w takim np. „Kordianie" nie ma sensu się rozwodzić. „Polska Winkelriedem narodów" – słyszeliście? Na pewno. I dosyć na tym. Ale w takiej pozornie niewinnej historyjce o zgubnych skutkach zbierania malin ujętej w wersy „Balladyny" umykają kwestie zagrażające wręcz majestatowi Rzeczypospolitej. Trzeciej. A chodzi o Grabca. Nie jest on może najważniejszą postacią „Balladyny", budzi jednak duże emocje społeczne. W końcu to nie o Kirkorze rozpisują się internauci, a o tym synu zakrystiana, tak przedstawiającym się zakochanej w nim Goplanie:

W naszym kościółku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił, kiedy golił, a pił, kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiewał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił,
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda.

Wystarczy tego dobrego. A raczej złego, bo Grabca hejtują: „Kocia morda obstawił rodziną pół Legionowa".

Rany boskie, toż to przecież nie ten Grabiec! Ale czy aby na pewno? Romantycy znani byli w końcu ze zdolności profetycznych i kto wie, czy Słowacki nie wyprorokował losów przyszłego szefa kancelarii premiera, a poprzednio legionowskiego radnego, starosty, zastępcy prezydenta miasta, a ponadto wiceministra czegoś tam, platformerskiego rzecznika, a od niedawna także szefa – ho, ho – samego Komitetu do spraw Pożytku Publicznego. Do tego mającego jakiż bogobojny background, bo i AWS-owski, i wykształcenie (filozoficzne!) w Akademii Teologii Katolickiej. Wprawdzie jego legionowski proboszcz zarzucił mu lat temu parę kłamstwo, gdy ten rzekomo cytował jego poparcie dla przyjmowania uchodźców, Grabiec jednak tłumaczył się, że uczynił to – podobno – w dobrej wierze. Co więcej, zadzwonił nawet do Parafii Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Znalazł numer!

Z całą pewnością Jan Stanisław Grabiec nie zasługuje na to, by jego dobre imię szargane było przez pismaków, którzy nawet na Nobla za swoje gryzmoły nie zasłużyli. A to, że Słowacki żył w czasach przednoblowskich, nie ma nic do rzeczy. Spostponował prymusa gwardii Donalda Tuska i już. Kategorycznie zatem domagam się usunięcia romantycznego poeciny z edukacji szkolnej. Tylko nie wiem, dlaczego natrętnie przypomina się zwrotka „Szajby" Wojciecha Młynarskiego:

Cała klasa ma normalnie
Czoła myślą nieskażone
A ten się do wiedzy garnie
Lekcje zawsze ma zrobione.

No właśnie. Kto powiedział, że myślenie ma przyszłość? Przeciwnie, w Szkole Jutra i Ty – Drogi Uczniu – możesz zostać Grabcem. Postaraj się. Dziś jeszcze będziesz walczyć z dzikami łażącymi po twoim mieście, a już jutro wytkniesz błędną politykę prezydentom Stanów Zjednoczonych i, a co tam, Polski. Byle nie zapomnieć w co drugim zdaniu wspomnieć wiekopomne mądrości swego demiurga.

Ale bądź ostrożny, Drogie Dziecko (copyright Andrzej Seweryn), nie przeginaj. Goplana zamieni cię w wierzbę, a wtedy już tylko będziesz łzy ronił. Jako król dzwonkowy wzbudzać będziesz jedynie politowanie, aż w końcu Balladyna pozbawi cię żywota.

Horribile dictu! ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5d267fd813

Nasz Europejczyk



Remigiusz Włast-Matuszak

„Vaterland" („Ojczyzna") Pawła Pawlikowskiego to historyczne, pseudodokumentalne nudziarstwo. Z miałkiego, kiepskiego scenariusza nie nakręci się interesującego filmu



Paweł Pawlikowski odbiera nagrodę za najlepszą reżyserię (film „Ojczyzna") na 79. festiwalu w Cannes, 23 maja 2026 r.

FOT. ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Zacznijmy od innych. W 2019 r. Agnieszka Holland zrealizowała film pt. „Mr. Jones" w angielskiej wersji językowej z drobnymi dialogami po walijsku, ukraińsku i rosyjsku. Akcja filmu rozgrywała się w Wielkiej Brytanii i na sowieckiej Ukrainie w latach 1932–1933 – w okresie wielkiego głodu. Brytyjski dziennikarz samowolnie udaje się na Ukrainę i poznaje prawdę o przymusowej kolektywizacji i milionach ofiar. Film został uznany (?!) za „polski" i zdobył liczne nagrody na krajowych (wyłącznie) festiwalach filmowych. Produkcja była nudnym streszczeniem długiego serialu telewizyjnego i w dodatku miała aż trzy zakończenia, a sceny seksu w moskiewskim hotelu dla „inostranców" były wprost żenująco nieudolne.

W 2022 r. Małgośka (rocznik 1973) Szumowska zrealizowała „Infinite Storm" – drugi „polski" film w języku angielskim z Naomi Watts w roli głównej. O „społecznej" ratowniczce górskiej w Appalachach (USA) ratującej samobójcę. To wysoce artystyczne nudziarstwo zobaczyło w Polsce w jednym z tygodni emisji kinowej ledwie 18 662 widzów, a za granicą dzieło Szumowskiej w ogóle nie znalazło dystrybutora. Niezrażona artystka „nakręciła" film „All Inclusive" z Jakubem Majmurkiem, lewicowym publicystą w roli głównej. Film nie wszedł na ekran, a jedynie lewacka, komercyjna telewizja emitowała go w godzinach nasennych.

Europejską ścieżką wytyczoną przez Holland i Szumowską pospieszyła Agnieszka Smoczyńska, realizując film pt. „The Silent Twins" w języku angielskim, z brytyjskimi aktorami, dziejący się głównie w Londynie. Jest to ociekająca poprawnością polityczną historia z lat 80. XX w. o czarnoskórych bliźniaczkach, które na złość rodzinie udają nieme, a ponieważ uczestniczą we włamaniach i podpaleniach, sąd skazuje je na pobyt w zakładzie psychiatrycznym. O ich losie dowiaduje się dziennikarka z „Gazety Wyborczej", och, przepraszam, z lewicowych angielskich mediów, i w 2000 r. doprowadza do uwolnienia bliźniaczek. Film wbrew regulaminowi Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni został uznany za „polski" i nagrodzono go Złotymi Lwami 2022 r. Publiczność jak zwykle nie poznała się na geniuszu reżyserki i podle zignorowała film.

Jest jeszcze Jan Komasa (powinowaty Agnieszki Holland) ze swoimi angloję-zycznymi intelektualnymi niewypałami z 2025 r.: „Good Boy" („Dobry chłopiec") i „Anniversary" („Rocznica"). One miały również małą oglądalność.

A teraz „nasz" Europejczyk, określany mianem twórcy „transnarodowego" (no litości, kawiorowe lewactwo walczy o „intelektualny" neologizm dekady?!). Chodzi o Pawła Pawlikowskiego (rocznik 1957). Pochodzi on z warszawskiej rodziny polsko-żydowskiej i w wieku lat 14, wraz z matką, wyemigrował do Wielkiej Brytanii. W 1990 r. wrócił do kraju i zrealizował swój pierwszy dokumentalny film pt. „Z Moskwy do Pietuszek…". Z kolei rok później powstał jego inscenizowany dokument pt. „Podróż Dostojewskiego" – no i mamy kanwę oraz pierwowzór „Vaterlandu" („Ojczyzny") nagrodzonego tegoroczną Złotą Palmą w Cannes za reżyserię (wraz z dwoma innymi twórcami).

ZABILI WIĘCEJ ŻYDÓW NIŻ NIEMCÓW

Przypomnijmy, iż Pawlikowski w 2013 r. zrealizował film pt. „Ida". Reżyser, dokumentalista, zilustrował swoim filmem wszystkie antypolskie tezy publikowane przez prof. Jana Tomasza Grossa. Jedna z nich głosi, że Polacy w trakcie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców. Wtórują mu prof. Jan Grabowski i prof. Barbara Engelking-Boni podsumowujący swoje kłamstwa w dwutomowym „dziele" pt. „Dalej jest noc". Wśród pomniejszych autorów można wymienić Annę Bikont. W swojej książce „My z Jedwabnego" pluje ona na Polaków, jak tylko może. Mam nadzieję, że prezydent Karol Nawrocki wyda w 2027 r. dekret o wznowieniu ekshumacji w stodole w Jedwabnem, gdzie zostaną dokładnie policzone czaszki ofiar, niemieckie łuski i kanistry po niemieckiej benzynie.

„Ida" w latach 2013 i 2014 została zaprezentowana na kilkunastu międzynarodowych festiwalach. Lewicowi krytycy piali z zachwytu. Były Złote Lwy oraz Złote Orły (i tylko 120 tys. widzów w polskich kinach na początku). Przypomnijmy, że w 2015 r. kinowa oglądalność filmu „Bogowie" Łukasza Palkowskiego przekroczyła 2 mln widzów. „Ida" zdobyła Oskara Akademii Filmowej w Los Angeles. Po takiej klace film sprzedano do 58 kra-

eprasa.pl 5d267fd813

jów, był przebojem we Francji, Holandii, a nawet w Argentynie i Nowej Zelandii. Przyniósł producentom i dystrybutorom ponad 12 mln dol. czystego zysku. Wszyscy kulturalni i opiniotwórczy widzowie na świecie zobaczyli na własne oczy, jak Polacy w czasie wojny mordowali Żydów, a zwłaszcza żydowskie dzieci.

Moi znajomi na Zachodzie z czasem zajęli wysokie stanowiska w korporacjach. Odzywają się do mnie sporadycznie, bo jestem tylko ubogim pismakiem, ale po triumfach „Idy" w ich krajach (Niemcy, Holandia) i pomimo swoich lewicowych poglądów zaczęli żywić do mnie duże pretensje: Dlaczego kręcimy takie antypolskie filmy pokazujące, jak mordowaliśmy Żydów? Tej opinii, którą wyrobił nam i ugruntował Paweł Pawlikowski swoją „Idą", już nie można odkręcić. Dla mainstreamu na Zachodzie jest to pewnik nie do obalenia.

Decyzją Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Reduty Dobrego Imienia film „Ida" przed projekcjami w TVP został poprzedzony planszą z tekstem wyjaśniającym prawdziwy kontekst historyczny niemieckiej okupacji w Polsce. Wywołało to ostre protesty demoliberalnych artystów. Po odejściu z TVP Jacka Kurskiego „Ida" była prezentowana już bez owej planszy.

Na fali czołobitności wobec Pawlikowskiego jego następny film pt. „Zimna wojna" z 2018 r. wywołał już niekończące się zachwyty. Natomiast w 2023 r. media zaczęły zachwalać nowy film reżysera pt. „The Island" o dramatach intelektualnych, jakie przeżywa kilka osób na samotnej wyspie. Epidemia COVID-19 i strajk ekonomiczny amerykańskich scenarzystów filmowych spowodowały, że producenci wycofali się z finansowania filmu i projekt upadł.

Nagle jednak wiosną 2026 r. gruchnęły wieści o tym, że Pawlikowski kończy realizację filmu „Vaterland" o Thomasie Mannie. No i faktycznie film został zgłoszony na 79. Festiwal w Cannes. Klaka prasowa była niebywała i Pawlikowskiego nagrodzono Złotą Palmą za reżyserię (ex aequo z innymi twórcami).

„WATA FILMOWA"

Premiera w polskich kinach zapowiedziana została na 19 czerwca br., ale już od 5 czerwca w całej Polsce odbywają się projekcje przedpremierowe. Pobiegłem na taką projekcję do małej sali (100 miejsc) w jednym z „multikin". Wchodząc na minutę przed projekcją, ze zdziwieniem zobaczyłem pustą salę! Dopiero w trakcie 25 minut niekończących się reklam i zwiastunów wchodzili widzowie, tak że w sumie na seansie znalazło się jakieś 60 osób. Film, jak to u Pawlikowskiego, był czarno-biały, w dodatku na kwadratowym formacie ekranu. Polskie napisy niemiecko-angielskiej wersji językowej, małe i umieszczone u samego dołu ekranu, znacząco utrudniały odbiór obrazu. Publiczność była zupełnie martwa, dosłownie żadnych reakcji. Cisza i narastające zniecierpliwienie. Kiedy zacznie się akcja? Kiedy w końcu coś się wyjaśni?

I oto mamy powojenne zniszczone Niemcy 1949 r. miesiąc przed powstaniem RFN i powołaniem przez Sowietów DDR, czyli po polsku NRD. Literacki noblista z 1929 r. Thomas Mann w towarzystwie swojej córki Eriki (byłej amerykańskiej korespondentki wojennej) jedzie wspaniałą limuzyną (De Soto? Buick?) przez Frankfurt nad Menem do okupowanego przez Sowietów Weimaru na uroczystości z okazji 200. rocznicy urodzin poety Johanna Wolfganga von Goethego. Mamy drobne epizody związane z realiami kapitalistycznych okupowanych Niemiec oraz komunistyczną propagandę i indoktrynację w strefie sowieckiej. Ale to zbyt mało, by nie zacząć się nudzić. Tak zwana wata filmowa, będąca zmorą polskich filmów, dopadła również Pawlikowskiego. Przez wiele minut oglądamy, jak samochód jedzie drogami w Niemczech, jedzie sobie, jedzie, mamy widoczki, mamy zbliżenia Thomasa Manna, mamy zbliżenia Eriki, radio gra amerykańskie powojenne przeboje. Po kilka minut trwają też przemówienia Manna na akademiach we Frankfurcie nad Menem i później w „sowieckim" Weimarze. Noblista i opowiadający o nim Pawlikowski usiłują przybliżyć nam pojęcia moralności i filozofii humanistycznej zarówno Goethego, jak i Manna, całą „dialektykę faustowską" itd. Całości „waty filmowej" dopełniają chóry dziecięce śpiewające przyszły hymn DDR oraz popisy męskich chórów Armii Czerwonej. Rozumiem, że w trakcie uroczystego obiadu chór wykonuje jedną dumkę i oglądamy zbliżenia chórzystów w mundurach, ale za chwilę przy deserze mamy drugi popis wokalny. Przyjazdy do hoteli, wyjazdy z nich i znowu droga, gdzie Erika i jej ojciec odwiedzają zniszczony kościół, w którym organista naprawia piszczałki, a potem gra Johanna Sebastiana Bacha. Mann płacze ze wzruszenia, trzymając Erikę za rękę. Znowu są w swoich kulturalnych Niemczech, szczęśliwi i pogodzeni. (Thomas Mann zmarł w 1955 r. w Zurychu, a Erika w 1969 r., również tam).

Ekran ściemnił się kolejny raz i czekałem na puentę, filmowy epilog, ale to właśnie był epilog. Zaczęły się napisy końcowe (ponad pięć minut!), światła na widowni nie zapalono, a publiczność wręcz rzuciła się po stromych schodach w dół do wyjścia. Byłem zdziwiony brakiem oklasków (W Cannes ponoć festiwalowa publika biła brawo przez siedem minut!). Po wyjściu patrzyłem, czy przed salą nie ma głośno płaczących dziennikarzy – tak jak to było (?) w Wenecji po seansie „Zielonej granicy". Niestety, wszyscy zniknęli.

Jedną z nielicznych rzeczy, którą mogę się pochwalić w życiu, to trafność przewidywania frekwencji na polskich filmach. Przez ostanie 10 lat zaledwie trzy razy zaniżyłem ocenę frekwencji danej produkcji. Oglądalność „Vaterland" przy olbrzymiej reklamie i demoliberalnej klace nie przekroczy według mnie 120 tys., no może 140 tys. widzów. Więcej nie będzie, bo w rodzinnych rozmowach o filmie nikt brata czy szwagierki nie okłamie i nie pośle na historyczne, pseudodokumentalne nudziarstwo, by nie ryzykować późniejszych wymówek i kwasów. Po prostu z miałkiego, kiepskiego scenariusza nawet Pawlikowski nie nakręci interesującego filmu.

Oczywiście „Vaterland" zdobędzie we wrześniu na 51. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni Złote Lwy, a wiosną 2027 r. Dariusz Jabłoński w Teatrze Polskim u Andrzeja Seweryna wręczając nagrodę Złotego Orła i ściskając Pawlikowskiego, wygłosi przemówienie wzywające wszystkich „polskich patriotów" do głosowania na „uśmiechniętą koalicję". Sądzę, że reżyser Pawlikowski powinien dołączyć do tego apelu, by nie dopuścić, żeby „faszole" wygrali wybory w 2027 r. i pogrążyli „ten kraj" w upiornym mroku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO

Bez emocji

Jestem żałosny" – mówi król wyglądający wyjątkowo żałośnie. Tak, wiemy, wiemy. „Na koniec wszyscy zostaniemy potworami" – mówi rycerz w depresji. „Tylko jeśli porzucimy swoje zasady" – odpowiada szlachetny rycerz. Takie właśnie, kiepsko napisane i do bólu banalne dialogi sprawiają, że „Ród Smoka" jest tylko bladym cieniem „Gry o tron". Niby wszystko się zgadza: są smoki, intrygi, walka o koronę, ale jak ma wzruszać, skoro nie wzrusza.

Fani serii czekali przez dwa sezony, aż dostaną wielką bitwę morską kluczową dla Tańca Smoków (tak zwano w Westeros wojnę domową między Targaryenami, owa bitwa zaś przeszła do historii jako Bitwa w Gardzieli). Miała być wielką atrakcją finału sezonu drugiego, ale przesunięto ją na początek trzeciego, więc dopiero teraz dostajemy pół godziny wysokooktanowej rozrywki (cała druga połowa pierwszego odcinka). Pokłady statków śliskie są od krwi, okręty taranują się nawzajem i ostrzeliwują, w góry płynie ogień piekielny, znaczy płomień smoczy. Najbardziej emocjonujący jest jednak pościg flagowego statku Triarchii za okrętem Corlysa Velaryona i przeprawa przez wąski, skalisty przesmyk.

Natomiast okręt, którym jest ten spin-off „Gry o tron", płynie – jak się wydaje – już tylko siłą rozpędu. Nie wystarczą wielkie budżety reklamowe i fanowski zgiełk na portalach, gdzie analizuje się każde ujęcie i każdą różnicę między materiałem wyjściowym (książka Martina „Ogień i krew") a serialem. Błędy zostały popełnione już wcześniej, w źle skonstruowanym sezonie pierwszym. Dopisywanie nowych postaci, wątków lesbijskich i zamiana części męskich bohaterów na „silne postacie kobiece", a nade wszystko kosztowna nuda – oto znaki rozpoznawcze serialu. Gdyby za każdym razem, kiedy bohaterki „Domu Smoka" narzekają na wstrętnych mężczyzn, którzy nie chcą dopuścić ich do władzy, płonął jeden okręt, spaliłoby się ich więcej niż w całej Bitwie w Gardzieli. Kto tęskni za światem Westeros, niech wróci do miniserii „Rycerz Siedmiu Królestw" – może nie ma w niej rozmachu, ale jest za to serce. ©℗



★★★★★★

SEZON 3 „RÓD SMOKA" („HOUSE OF DRAGON")
USA 2026

GRA TYGODNIA: „GOTHIC REMAKE"

Twórcom remake'u udało się zachować ducha „Gothica" i to jest w zasadzie najważniejsza informacja dla tych, którzy przed laty w Górniczej Dolinie stracili setki godzin. Nostalgia to najsilniejszy środek znieczulający. A jest przed czym znieczulać. Mamy tu bowiem „Gothica" nie tylko ze wszystkimi jego zaletami, lecz także wadami. Nadal niepowtarzalny klimat, humor i ciekawa fabuła ścierają się np. z drewnianym modelem walki. Dostaliśmy produkt w kiepskim stanie technicznym, w którym roi się od irytujących błędów. Ale fanom pierwowzoru się podoba. Znieczuleni. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:** RPG, TPP*
- ***Platforma:** PS5, XSX, PC*
- ***Producent, wydawca:** Alkimia Interactive, THQ Nordic*

eprasa.pl 5d267fd813

Pszczoły przeżyją

tv smart



★★★★★★

REŻ. YÓRGOS LÁNTHIMOS „BUGONIA” IRLANDIA/ KANADA/USA/ W. BRYTANIA/ KOREA PŁD. 2025

wyst. Emma Stone, Jesse Plemons, Aidan Delbis

Kto jest winny zła, bezkarnie panoszącego się na świecie? Wiadomo, kosmici. Wykorzystując fakt, że są podobni do ludzi, perfidnie rozkładają naszą cywilizację od środka. Wprawne oko może ich jednak zidentyfikować. W średnim wieku wyglądają młodo, zarabiają góry pieniędzy, używają nowomowy obficie inkrustowanej banałami o wyzwaniach, optymalizacji zatrudnienia, zarządzaniu oczekiwaniami i potrzebie różnorodności. Ziemianie, ogłupiani reklamami tudzież pozorowanym konfliktem lewica/prawica, nie widzą, że obcy dążą do przejęcia kontroli nad zasobami planety. A może jesteśmy obiektem galaktycznego eksperymentu?

Na szczęście oddolnie tworzy się ruch oporu przeciw zniewoleniu. W okolicach Atlanty Teddy i Don porywają szefową koncernu farmaceutycznego, sprawiającą wrażenie kosmitki. Wierzą, że w ten sposób skłonią imperatora Andromedy do zaprzestania ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy. Michelle, otrząsnąwszy się z szoku, próbuje wynegocjować swoje uwolnienie. Sądzi, że ma do czynienia z poczciwymi foliarzami. Pudło! Teddy, mózg operacji, to psychol z najwyższej półki. Według niego mężczyzna może osiągnąć trzeźwość umysłu, pod warunkiem że się wykastruje.

Moda na porwania, która zawładnęła wyobraźnią filmowców, daje do myślenia. Lánthimos, certyfikowany wywrotowiec i prowokator, robi wszystko, byśmy nie sympatyzowali z porwaną ani z porywaczami. Momentami można odnieść wrażenie, że nakręcił remake koreańskiej czarnej komedii „Save the Green Planet” po to, by dać wyraz obrzydzeniu, jakie wzbudza w nim gatunek *Homo sapiens*. Mniemam, że finał nie przypadnie do gustu nawet widzom o proekologicznym nastawieniu.

Aktorzy w geniusz greckiego reżysera wierzą, choć płacą za to wysoką cenę. Emma Stone, niemiłosiernie sponiewierana w „Biednych istotach”, tym razem pozwoliła się ogolić na łyso i torturować. Może nominacja do Oscara jest wystarczającą rekompensatą? Znając przywiązanie branży do schematów, tuszę, że Jesse Plemons do końca świata będzie grał agresywnych świrów. Mizantrop Lánthimos ogłosił, że zawiesza karierę. Z wyjątkiem garstki masochistów nikomu nie jest z tego powodu przykro. ©℗

Wiesław Chełminiak

NIEBIAŃSKA PLAŻA

Historia z życia wzięta, choć sprawia wrażenie baśni z mchu i sardyńskich paproci. Nabab z Mediolanu chce uczcić millennium zbudowaniem luksusowego ośrodka wypoczynkowego. Stary pasterz odmawia jednak sprzedaży ojcowizny, blokując dostęp do plaży. „Mój dom nie ma ceny” – odpowiada na kolejne, coraz korzystniejsze oferty. Inwestor podburza przeciwko niemu sąsiadów. Ci swoich gruntów już się pozbyli i liczą na przekształcenie wioski w kurort. Gburowaty Efisio stopniowo wyrasta na herosa, a dobroduszna komedia zmienia się w odę na cześć wolności i naszości. Miło, że przyszła kryska na aroganckich deweloperów. Włochów masowa turystyka męczy, chociaż z niej żyją. Ergo, kompleks sięgający epoki Risorgimenta, gdy północ Italii wzbogaciła się kosztem południa, odżywa niczym karczoch kolczasty po ulewnym deszczu. ©℗



KINO

★★★★★★

REŻ. RICCARDO MILANI „TAKIE JEST ŻYCIE” („LA VITA VA COSÌ”) WŁOCHY 2025

wyst. Giuseppe Ignazio Loi, Virginia Raffaele, Diego Abatantuono



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Czterdzieści skarbów

GDZIE? Muzeum Kinematografii w Łodzi
KIEDY? do 31 grudnia

10 maja 1986 r. otwarto wystawę „Reymont – Ziemia obiecana – Wajda” i tak rozpoczęła się historia Muzeum Kinematografii w Łodzi. Po czterech dekadach muzeum świętuje swój jubileusz okolicznościową ekspozycją „40 skarbów na 40-lecie Muzeum Kinematografii”.

Zbiory muzeum liczą dziś aż 90 tys. obiektów. – Kolejne generacje specjalistów zatrudnionych w Muzeum budowały jego zasoby materialne. Kamery, projektory, filmy na taśmie, scenariusze, projekty scenograficzne, dokumenty produkcyjne, kostiumy i rekwizyty są w kolekcji równie ważne, co archiwa i prywatne pamiątki po artystach tworzących polskie kino – mówi Marzena Bomanowska, dyrektorka Muzeum.

Jak z tego ogromu wybrać garść eksponatów na wystawę jubileuszową? Najlepiej z pomocą ludzi kina. To oni, nie kuratorzy, dokonali selekcji. – To reżyserzy, aktorzy, scenografowie, operatorzy, montażyści, kompozytorzy, producenci, filmoznawcy, twórcy plakatów i muzealnicy. Poprosiliśmy ich o wyłuskanie z kolekcji jednego interesującego dla nich obiektu oraz o uzasadnienie wyboru – mówi Marzena Bomanowska. ©℗



FOT. MUZEUM KINEMATOGRAFII W ŁODZI

eprasa.pl 5d267fd813



KRZYSZTOF MASŁOŃ

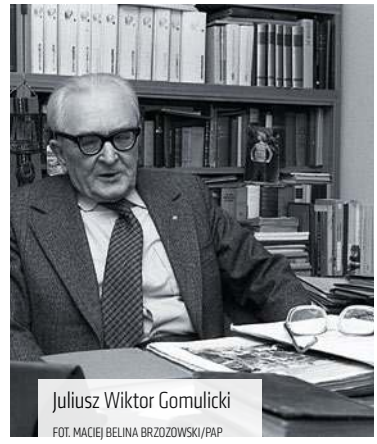
MOJA PÓŁKA

Sto tysięcy książek

W „Wielkich i dziwakach” Wojciech Wiśniewski opowiada o sobie i o tych, nierzadko sławnych, ludziach, których poznał w swoim długim życiu, a dla których literatura i książka były czymś niesłychanie ważnym, może najważniejszym. Na przykład Juliusza Wiktora Gomulickiego, legendarnego varsavianistę, bibliofila, znawcę i edytora Norwida, jego ojciec – Wiktor Gomulicki, autor przecudownych „Wspomnień niebieskiego mundurka” – nauczył czytać, gdy chłopiec miał cztery lata. Wyszukiwał mu odpowiednią dla jego wieku literaturę, a gdy dziecko ukończyło lat osiem, już samo sięgnęło po Shakespeare’a. „Na dziewiąte urodziny dostał w prezencie gruby tom dzieł tego dramaturga w tłumaczeniu Ulricha. Ponoć największe wrażenie wywarł na nim „Sen nocy letniej” – sztuka, którą widział na scenie w Krakowie. Jako 10-latek otrzymał od ojca „Dzieje literatury polskiej” Aleksandra Brücknera. Czytał je długo i uważnie i – jak wieść niesie – zawsze miał pod ręką”.

Andrzej Dobosz utrzymuje – jakże słusznie – że dobry polonista powinien przeczytać co najmniej 10 tys. książek. Tymczasem Juliusz Wiktor Gomulicki powiedział autorowi „Wielkich i dziwaków”, że na swoim koncie miał ich ponad 100 tys. I z całą pewnością się nie przechwalał.

Do końca swego życia (zmarł w roku 2006 w wieku 97 lat) pracował Gomulicki nad analizą twórczości Norwida, uważając się w tej dziedzinie za absolutną alfę i omegę. Nic dziwnego zatem, że wywiad z nim Wojciech Wiśniewski zatytułował „Papież norwidologów”. Choć początki ich



Juliusz Wiktor Gomulicki

FOT. MACIEJ BELINA BRZOZOWSKI/PAP

znajomości były dla adepta sztuki dziennikarskiej mocno niefortunne, ponieważ ów „papież” wyrzucił go z mieszkania. Idąc na umówiony wywiad, wziął mianowicie ze sobą wydaną w Londynie i sprezentowaną mu tam książkę „Norwid żywy”. Do tego zarekomendował ją jako „niezwykłą”. W odpowiedzi Gomulicki nazwał autorów dzieła bandą dyletantów, wypomniał niewybaczalny fakt, że zacytowali go ledwie cztery razy, a następnie otworzył drzwi, mówiąc: „Żegnam!”.

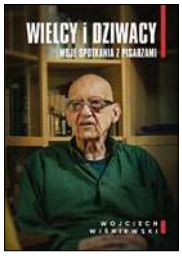
No cóż, byli tacy odważni prześmiewcy, którzy pisali: „Gomulicki to zwolennik kultu jednostki. Liczy się dla niego tylko jego ojciec, a na drugim miejscu on sam”. A egotystów wśród ludzi pióra nigdy nie brakowało. Jeden z nich, dziś coraz bardziej zapominany, Bohdan Czeszko, któremu autor „Wielkich i dziwaków” w trakcie przeprowadzanego wywiadu zadał pytanie: „Do którego bohatera stworzonego przez pana ma pan największy sentyment? Który najbardziej się panu podoba?”, odpowiedział: „Ja sam”.

W swojej wspomnieniowej książce przywołuje Wojciech Wiśniewski tak znanych pisarzy, jak Marian Brandys, Edward Redliński, Ernest Bryll. Przywołuje Annę Świrszczyńską, Erwina Kruka, Bogdana Wojdowskiego. Pisze o nich z podziwem, czułością i, przede wszystkim, wdzięcznością za wszystkie dobre chwile spędzone nad lekturą ich książek. Ale w konkretnych sprawach nie kryje krytycznego do nich stosunku, co może najbardziej jest widoczne w opowieści o Stanisławie Dygacie i swojej osobistej przygodzie z jego „Jeziorem Bodeńskim”. A cytaty z tekstów tego subtelnego prozaika z roku 1953 są porażające. W „Przeglądzie Kulturalnym” narzekał Dygat np., że: „Satyra nasza wciąż jeszcze płazuje naskórek wroga, a nie bije pełnym ostrzem w środek łba”.

Ponad ćwierć wieku temu wydał Wojciech Wiśniewski, kilka razy później wznawiany, „Smak dzieciństwa”. Marek Nowakowski zobaczył w tej książce „żywą, soczystą powieść o latach idyllicznego dzieciństwa w dawnej, już nieistniejącej Warszawie”. Dziś granice tego nieistniejącego świata przesunęły się i nie chodzi już tylko o Warszawę. „Wiśniewski to gracz i żongler – powiada w posłowiu do „Wielkich i dziwaków” Piotr Wojciechowski – jego proza jest migotliwie zmienna, refleksyjna i dygresyjna, emocjonalna i kpiarska […]. Ta opowieść pociąga dlatego, że nie jest podana na talerzu. Jest odsłanianiem tajemnic. Głębiny jego opowieści o spotkaniach z Wielkimi polskiej literatury są głębinami ukrytymi”.

Dziewięćdziesięciotrzyletni autor „Wielkich i dziwaków” wyznaje: „W całym moim życiu wystarczyły mi książki i kino. No i muzyka. Teraz najczęściej słucham Jana Sebastiana Bacha, zwłaszcza jego suity francuskie i angielskie na fortepian. Minimalizm – uważam, że to najlepszy pomysł na życie”.

Godny popularyzacji. ©℗



★★★★★★

WOJCIECH WIŚNIEWSKI „WIELCY I DZIWACY. MOJE SPOTKANIA Z PISARZAMI” WYDAWNICTWO LTW, DZIEKANÓW LEŚNY 2026

eprasa.pl 5d267fd813



PIOTR GOCIEK

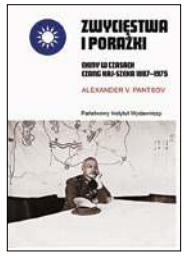
POCZYTANKI

Smak zdrady

Chiny w czasach Czang Kaj-szeka 1887–1975" – czytamy w podtytule książki. Niemal stulecie zamknięte na kilkuset stronach? Wyborny znawca współczesnych dziejów Chin, a w szczególności chińskiego komunizmu, kluczową postacią opowieści czyni chińskiego przywódcę. Jest to więc jednocześnie biografia Czang Kaj-szeka, opowieść o wojnie o duszę Chin, skrócona historia regionu i analiza geopolityczna. Karkołomne zadanie, ale Pantsov wychodzi z tych zmagań obronną ręką.

„Zwycięstwa i porażki": to książka, którą czyta się świetnie, przewracając kartki jak w dobrym thrillerze. Thriller ten niestety ma smutne zakończenie: komuniści Mao podbili wszak Chiny, a Czang ewakuował się na Tajwan, gdzie powstała maleńka Republika Chińska kontynuująca tradycję dawnej państwowości. W thrillerze tym brak bohaterów jednoznacznie pozytywnych: Czang Kaj-szek miał swoje na sumieniu, rządził krwawo i bezwzględnie, jednak na tle innych przywódców tamtych czasów – nie tylko wspomnianego Mao, lecz także Stalina czy Hitlera – okazuje się niemal gołąbkiem. Był „podstępnym i okrutnym władcą" – pisze Pantsov, ale zarazem „bojownikiem o wyzwolenie narodowe, patriotą [...], twórcą nowych republikańskich Chin, bohaterem II wojny światowej i wiernym sojusznikiem państw koalicji antyhitlerowskiej".

Bez wątpienia był postacią tragiczną, tak jak tragiczne były losy Chin w XX stuleciu. Japońska okupacja, komunistyczna rewolucja, knowania Moskwy (mało znany temat, ale Pantsov kreśli i ten obraz), no i przede wszystkim miliony, miliony ofiar. Do tego wątek znany nam doskonale z polskiej historii: zdrada Zachodu, cóż z tego, że wymuszona przez ówczesną Realpolitik. Obiecywali Anglicy Chińczykom otwarcie drugiego frontu w Birmie, zrobili to w Europie. Sprzedali chińskiego sojusznika, pozostawiając go na pastwę komunistów, bo kalkulowali, że to Stalin jest im niezbędny do pokonania Japonii. Fatalne były to błędy, Tokio poddało się bez pomocy Sowietów, a komunistyczne Chiny okazały się państwem potworem i wielkim problemem geopolitycznym XX w. – a jeszcze większym wieku XXI. ©℗

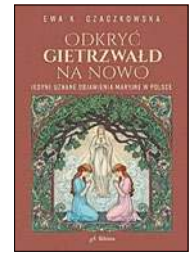


★★★★★★

ALEXANDER V. PANTSOV „ZWYCIĘSTWA I PORAŻKI" PIW 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Opowieść o jedynych w Polsce uznanych przez Kościół oficjalnie objawieniach maryjnych. W ciągu 82 dni Matka Boża objawiła się 187 razy – było to w czasach ostrych pruskich represji wobec Polaków i języka polskiego.



EWA K. CZACZKOWSKA „ODKRYWAĆ GIETRZWAŁD NA NOWO" BIBLOS

Jakie były zalety i wady husarskiej zbroi, jak skrzydlaci rycerze walczyli z rajtarami, Kozakami czy piechotą zbrojną w muszkiety, jak zmieniała się taktyka w obliczu różnych okoliczności? Nowa książka znawcy tematu.



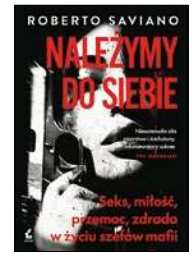
RADOSŁAW SIKORA „HUSARIA W WALCE" ZONA ZERO

Dla tych, którzy kojarzą Howarda z opowiadaniami o Conanie czy Kullu, może to być niespodzianka, ale przecież mistrzowie epoki pulp magazines poruszali się sprawnie między gatunkami. Oto jego opowieści grozy.



ROBERT E. HOWARD „DŁAWIĄCY HORROR" ZYSK I S-KA

Autor słynnej „Gomorry" o seksie i miłości w świecie mafii. Brzmi tabloidowo, ale za barwnymi obrazami zazdrosnych bossów, zakochanych bez pamięci kilerów i nieuleczalnych hazardzistów kryje się prawda o ludzkiej naturze. ***Piotr Gociek***



ROBERTO SAVIANO „NALEŻYMY DO SIEBIE" SONIA DRAGA

KOMIKS TYGODNIA:
BĘDZIE IMPERIUM

Jeden z najoryginalniejszych twórców polskiego komiksu w opowieści, która imponuje wszystkim: ale przede wszystkim scenariuszem, który zawstydziłby Jodorowskiego. Pastuszek Wojtuś obdarzony mocą przez przybysza z kosmosu odmienia historię, budując Wielkie Imperium Lechickie.



KAROL KALINOWSKI „PALCE Z KWARCU" KULTURA GNIEWU 2026

Surrealistyczny sen, ekwilibrystyczna żonglerka żartami z popkultury i historii – koktajl jak żaden inny. ***Piotr Gociek***

eprasa.pl 5d267fd813

debata DO RZECZY

Z wierności wobec wiecznego Rzymu



Sergiusz Muszyński

Jedność eklezjalna, o którą tak troszczą się krytycy Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, nie opiera się na ślepym i bezwzględnym słuchaniu się przełożonych, niezależnie od tego, co nakazują. Jak stwierdził Pius XI w encyklice „Mortalium animos", jej fundamentem jest przede wszystkim jedność w wyznawaniu prawdziwej religii

2 lutego 2026 r., w święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny, ks. Davide Pagliarani, przełożony generalny Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, publicznie ogłosił decyzję o powierzeniu biskupom FSSPX dokonania nowych konsekracji biskupich. Ceremonię zapowiedziano na 1 lipca tego roku, czyli święto Najdroższej Krwi Pana Jezusa. Podobnie jak w 1988 r. konsekracje mają na celu zapewnienie przetrwania Tradycji katolickiej w dobie postępującego kryzysu modernistycznego.

W odpowiedzi na ten krok niemal natychmiast uaktywnili się krytycy Bractwa. Zadziwiający sojusz połączył tak pozornie odległe środowiska, jak kręgi liberalno-postępowe oraz tych, którzy związani są z instytutami odprawiającymi tradycyjną Mszę „w pełnej jedności". Wszyscy ci adwersarze FSSPX nierzadko z lekkością szermują oskarżeniami o schizmę, obwieszczając przy tym rzekomą ekskomunikę. Istota ich argumentacji sprowadza się w pierwszej kolejności do odmieniania przez wszystkie przypadki słowa „posłuszeństwo" lub skrajnego pozytywizmu w wykładni norm kanonicznych.

ZBIEŻNOŚĆ Z KRĘGAMI MODERNISTYCZNYMI

Polemika, która wytworzyła się wokół tego wydarzenia, doskonale obrazuje panujące drastyczne różnice zdań odnośnie do sytuacji we współczesnym Kościele. Z jednej strony, Bractwo wskazuje na bezprecedensowy kryzys, w którym od kilku dziesięcioleci znajdują się widzialne struktury Mistycznego Ciała Chrystusa. Z drugiej zaś, jego polemiści (od prawa do lewa) w tych nadzwyczajnych warunkach powołują się na zasady obowiązujące w normalnych okolicznościach. Oznacza to, że nawet jeśli powierzchownie dostrzegają część problemów, to w istocie nie rozumieją bezprecedensowej skali kryzysu, w który wpędził nas Sobór Watykański II. Wydaje się więc, że część pozornie konserwatywnych komentatorów w swojej diagnozie stanu Kościoła przejawia zadziwiającą zbieżność z kręgami jednoznacznie modernistycznymi. Stąd też środek nadzwyczajny, którym są konsekracje – choćby bez zgody Rzymu – wydaje im się działaniem zbyt daleko idącym.

Niewątpliwie obietnica Pana Jezusa jest jednoznaczna: bramy piekielne nie przemogą Kościoła (Mt 16, 18). Jednak fakt, że nie przemogą, nie oznacza, iż nie będą próbować. Dowodzą tego wydarzenia z przeszłości, kiedy to Kościół musiał

eprasa.pl 5d267fd813


FOT. FSSPX.DE

mierzyć się z licznymi perturbacjami, z których to jednak ostatecznie zawsze wychodził zwycięsko. Trudności przychodziły zarówno z zewnątrz, jak i z samego wnętrza Kościoła. Wszyscy są świadomi skali kryzysu, rozpoczętego przez wystąpienie heretyka Marcina Lutra (1517), na którego skutek znaczna część Europy odpadła od prawdziwej wiary. Podobnie w IV w. wierni katolicy na czele ze św. Atanazym musieli stawiać opór swoim pasterzom sprzyjającym arianizmowi. Znane są także przypadki wielu ważnych hierarchów, w tym samych papieży, którzy okazywali się ewidentnie niegodni sprawowanych przez siebie urzędów.

Niemniej kryzys, w którym Kościół znajduje się obecnie, pozostaje wyjątkowy na tle tych z przeszłości. Wbrew mniemaniu części komentatorów nie polega on w pierwszej kolejności na masowej apostazji, z którą mamy do czynienia w państwach należących niegdyś do cywilizacji chrześcijańskiej. O ile jest to zagadnienie niezwykle istotne i posiada związek z trwającym kryzysem, o tyle pozostaje jednak wtórne wobec jego zasadniczego wymiaru. Tym z kolei jest aspekt ściśle doktrynalny, który dotyka nie tę lub inną część Kościoła, ale – choć w różnym zakresie – obejmuje go w całości, począwszy od samej góry w Rzymie. Nie było bowiem jeszcze w historii Kościoła takiej sytuacji, aby doktryny jednoznacznie i w sposób ostateczny potępione przez papieży (takie jak wolność religijna) były konsekwentnie przedstawiane w nauce ich następców jako „doktryna katolicka". Podobnie nie doświadczyliśmy nigdy przedtem takiego stanu rzeczy, aby w miejsce uświęconego rytu sięgającego Tradycji apostolskiej Stolica Apostolska wprowadziła nowy obrządek, zewnętrznie przypominający bardziej protestanckie nabożeństwo niż katolicką Mszę. Wysocy hierarchowie kościelni, łącznie z samymi papieżami, uczestniczą w publicznych aktach indyferentyzmu religijnego. W kościołach obchodzi się dni islamu i judaizmu, a więc celebruje się „wartość" fałszywych kultów, a przedstawiciele grup odstępczych, niegdyś określanych jako heretyckie, głoszą nauki w katolickich świątyniach. Wbrew m.in. nauce Piusa XII z „Mystici Corporis Christi" naród żydowski jest uznawany za nadal „wybrany", a głoszenie jego przedstawicielom dobrej nowiny stało się niemile widziane. Osoby trwające w grzechu śmiertelnym, jakimi są rozwodnicy w nowych związkach, dopuszcza się oficjalnie przez Rzym „po rozeznaniu" do Komunii Świętej. Zezwala się na błogosławieństwa „pozaliturgiczne" par, które żyją w relacji uznawanej dotąd za przeciwną naturze. Z dekady na dekadę coraz więcej aspektów życia kościelnego ulega niewyobrażalnym niegdyś przeobrażeniom. „Cóż więc zostanie nietkniętego w Kościele, co by nie miało być przez nich i w zgodzie z ich zasadami zreformowane?" – pytał św. Pius X, potępiając reformistyczne postulaty modernistów. I rzeczywiście, po Soborze Watykańskim II nie sposób wskazać sfery, której nie dotknęłyby drastyczne modyfikacje. Począwszy od Mszy Świętej, poprzez stosunek do fałszywych religii, dyscyplinę kościelną, a nawet sam ustrój Kościoła (kolegializm i synodalność) – wszystko to zostało poddane gwałtownej rewolucji. Modernizm swobodnie rozprzestrzenia się w Kościele, a reformy inspirowane tą herezją narzucane są wszystkim wiernym jako nowe oblicze rzekomej „doktryny katolickiej".

NIEDOPUSZCZALNA OBOJĘTNOŚĆ

Oczywiście wspomniany kryzys nie manifestuje się dokładnie tak samo w przeciętnej wiejskiej parafii na wschodzie Polski, jak w monachijskiej katedrze kard. Reinharda Marxa. Nie zmienia to jednak faktu, że w żadnym z tych miejsc sytuacja nie wygląda tak, jak powinna. Żadna wspólnota parafialna nie przypomina już tego, jak to stanowiło normę jeszcze kilkadziesiąt lat temu, przed 1962 r. Pomijając nawet zasadniczy problem nowej liturgii, wiele innych aspektów życia kościelnego zmieniło się od tego czasu nie do poznania. Nie można przejść obojętnie wobec praktyk, które są oficjalnie dopuszczalne przez współczesne normy dyscyplinarne. Mowa choćby o zezwoleniu na przyjmowanie Komunii Świętej na stojąco lub udzielaniu jej na rękę, nierzadko przez osoby świeckie jako „szafarzy" Eucharystii. W czasach gdy Kościół był zdrowy, tego rodzaju dyscyplina byłaby uznana za przeciwny wierze, niedopuszczalny brak szacunku wobec Najświętszego Sakramentu, traktowanego w istocie jak zwykły chleb. Nawet jeśli sami nie przyjmujemy Komunii Świętej w ten sposób, to niedopuszczalne jest zachowywać obojętność wobec faktu, że inni wierni, błędnie pouczeni przez swoich pasterzy, w ten sposób postępują.

To samo dotyczy aspektu stricte nauczycielskiego we współczesnym Kościele. „Zreformowana" formacja, której udziela się klerykom, ma coraz mniej wspólnego z tym, jak dawniej przygotowywano przyszłych duchownych do posługi. Czy to, czego uczy się we współczesnych seminariach, daje nam – jako wiernym – rzeczywistą gwarancję otrzymania w parafii w pełni katolickiego nauczania? W jednym z przemówień Pius XII uznał powyższe za podstawowe prawo świeckich katolików, którego mogą oni otwarcie żądać od hierarchii kościelnej. Innym aspektem jest wolność głoszenia tego, co jest rzeczywiście katolickie,

eprasa.pl 5d267fd813

bez modernistycznego retuszu. Trudno sobie wyobrazić, aby przeciętny wikary na polskiej parafii mógł swobodnie wypowiadać się o wolności religijnej, tak jak naucza Pius IX w „Quanta cura", lub przypominać za Piusem XII, że „przez śmierć Odkupiciela przestał istnieć Stary Zakon" („Mystici Corporis Christi"). Jak zareagowałby kard. Grzegorz Ryś, gdyby któryś z jego duchownych głosił z ambony nauczanie tych wielkich papieży? Podobnie niemożliwe wydaje się, aby typowy proboszcz mógł swobodnie wygłosić kazanie, w którym skrytykowałby powszechne dzisiaj ceremonie ekumeniczne, przywołując naukę Piusa XI z „Mortalium animos". Nie mam najmniejszej wątpliwości, że to – jak i głoszenie wielu innych nauk, wynikających po prostu z ortodoksji katolickiej – spotkałoby się z surową reakcją miejscowego biskupa. Tymczasem przestrzeganie przed błędami i potępianie zgorszeń jest nieodzowne dla zachowania przez wiernych czystości wiary. W tym kontekście szeroko komentowane słowa ks. Davide Pagliaraniego, że „w zwykłej parafii wierni nie znajdują już środków potrzebnych do zapewnienia sobie wiecznego zbawienia", po prostu oddają rzeczywisty stan rzeczy.

Czy więc rację mają ci, którzy mimo stanu współczesnego Kościoła odrzucają przedmiotowe konsekracje jako akt sprzeczny z zasadą posłuszeństwa? Otóż jedność eklezjalna, o którą tak troszczą się krytycy Bractwa, nie opiera się na ślepym i bezwzględnym słuchaniu się przełożonych, niezależnie od tego, co nakazują. Jak stwierdził Pius XI w encyklice „Mortalium animos", jej fundamentem jest przede wszystkim jedność w wyznawaniu prawdziwej religii. Posłuszeństwo to ważna cnota, ale jej praktykowanie ma na celu służyć wierze, a nie sprzyjać jej niszczeniu. Z tego powodu, jak poucza nas Tradycja katolicka, w wymiarze ziemskim ono nigdy nie jest bezwzględne. Ta zasada dotyczy także najwyższego przełożonego, którym w życiu doczesnym jest papież. Potwierdzają to liczne autorytety, takie jak św. Tomasz z Akwinu, Francisco de Vitoria, Korneliusz a Lapide, Franciszek Suárez czy św. Robert Bellarmin. Doktor Anielski w tym kontekście posługuje się przykładem św. Pawła, który otwarcie sprzeciwił się pierwszemu papieżowi, którym był św. Piotr. Najwyższym prawem Kościoła, któremu wszelkie normy kanoniczne muszą być ściśle podporządkowane, jest i zawsze będzie zbawienie dusz. Leon XIII stwierdza jednoznacznie w „Diuturnum illud": „Jeden jest tylko powód uwalniający ludzi od posłuszeństwa, mianowicie gdyby żądano od nich czegoś przeciwnego prawu naturalnemu albo Bożemu, tam bowiem, gdzie zachodzi pogwałcenie prawa natury lub woli Bożej, zarówno sam rozkaz, jak i wykonanie go byłoby zbrodnią".

Bez wątpienia nowe konsekracje biskupie w FSSPX stanowią formę nieposłuszeństwa papieżowi. Niemniej, w obliczu nadzwyczajnego stanu, w którym znajduje się współczesny Kościół, to nieposłuszeństwo należy uznać za w pełni uzasadnione

CO NA TO PRAWO KANONICZNE?

Konsekracje, o które toczy się tak gorący spór w Kościele, nie stanowią żadnego wyjątku od tej zasady. W żadnym razie nie są one „schizmatyckie", ponieważ nie łączą się z próbą przekazania nowym biskupom władzy rządzenia, co jest wyłączną kompetencją papieską. Sprowadzają się do udzielania konsekrowanym duchownym pełni kapłaństwa, która wynika z najwyższego stopnia święceń, bez uzurpowania sobie jakiejkolwiek jurysdykcji. Jednoznacznie wynika to z nauczania Piusa XII, który (w zgodzie z odwieczną doktryną katolicką) w swoich encyklikach ściśle rozdziela władzę święceń od władzy jurysdykcyjnej. Aż do 1951 r. za tego rodzaju konsekracje, jeśli (jak w tym przypadku) nie łączyły się z próbą przekazania nowemu biskupowi rządów nad Kościołem, prawo kanoniczne przewidywało jedynie karę suspensy. Bezpodstawne jest więc łączenie takiego aktu w sposób automatyczny i każdorazowy ze schizmą. Z kolei współczesne przepisy uwalniają odpowiedzialnych za ten czyn od kary (kan. 1323 n. 4 i n. 7), o ile jest wykonywany w stanie wyższej konieczności bądź gdy sprawcy o jego istnieniu są przynajmniej uczciwie (choćby błędnie) przekonani. Fakt, że na obecnym etapie wskazane konsekracje stały się niezbędne, a więc ów stan konieczności zachodzi, jest oczywisty w świetle przedstawionej oceny sytuacji w Kościele. Bez biskupów nie będzie bowiem kolejnych pokoleń kapłanów, którzy na następne dziesięciolecia zagwarantują wiernym dostęp do tradycyjnego nauczania oraz sakramentów sprawowanych w sposób, w który Kościół je zawsze sprawował.

Należy przy tym podkreślić, że powyższego nie gwarantują nam wspólnoty, gdzie odprawia się Mszę Świętą w tzw. pełnej jedności. O ile z pewnością zrzeszają one wielu pełnych dobrej woli kapłanów, o tyle sytuacja sprzed kilku lat związana z motu proprio „Traditionis custodes" dowodzi, jak nietrwały może okazać się ich byt w przyszłości. Innym aspektem sprawy jest fakt, że po publikacji tego dokumentu przełożeni wskazanych instytutów oficjalnie potwierdzili swoją akceptację dla Soboru Watykańskiego II i nauczania posoborowego Magisterium. Czy rzeczywiście więc te grupy gwarantują nam przekazywanie depozytu w sposób niezmieniony względem tego, co było w Kościele do 1958 r.? Z kolei samo „Traditionis custodes" precyzuje, że Msze Święte w ramach tzw. indultu przeznaczone są jedynie dla tych, którzy przyjmują w całości nowe nauczanie oraz nie żywią wątpliwości wobec godziwości Novus Ordo Missae.

Jak więc należy ocenić wskazane konsekracje? Bez wątpienia stanowią one formę nieposłuszeństwa papieżowi. Niemniej, w obliczu stanu, w którym znajduje się współczesny Kościół, to nieposłuszeństwo należy uznać za w pełni uzasadnione. W istocie stanowi ono prawdziwe posłuszeństwo względem wyższej zasady, obejmującej integralne przylgnięcie do depozytu nieskażonej wiary katolickiej. Powiem więcej – czyn ten należy rozpatrywać w kategorii obowiązku sumienia władz FSSPX oraz dotychczasowych biskupów tego zgromadzenia, a zarazem manifestację ich jedności z wiecznym Rzymem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813

debata DO RZECZY

Ostrzeżenie kardynałów



Paweł Chmielewski

1 lipca w tradycjonalistycznym Bractwie Kapłańskim św. Piusa X wyświęceni zostaną biskupi. Leon XIV na to nie pozwolił, ogłaszając, że nieposłuszeństwo będzie oznaczać ekskomunikę. Bractwo twierdzi jednak, że kryzys Kościoła katolickiego jest tak poważny, że nie może posłuchać papieża

W normalnym biegu rzeczy sprawa byłaby prosta: przecież to do papieża należy najwyższa władza w Kościele katolickim. Jak świadczy Pismo Święte, Jezus Chrystus przekazał tę władzę osobiście św. Piotrowi i w związku z tym sprawuje ją każdy z jego następców – niezależnie od tego, czy jest osobiście godny urzędu czy ewidentnie nie… Tę prawdę, którą Kościół zawsze wyznawał, uroczyście potwierdził w 1870 r. Sobór Watykański I. Biskupi obradujący pod przewodnictwem Piusa IX ogłosili, że papież może w niektórych przypadkach wypowiadać się nieomylnie na tematy doktrynalne i moralne, a poza tym przysługuje mu powszechna jurysdykcja – innymi słowy, że może rządzić w Kościele według swojej woli, oczywiście w granicach Bożego porządku. Do zakresu tych rządów należy również nominowanie biskupów. Jeżeliby jakiś biskup udzielił święceń wbrew zakazowi papieża, to jego działanie będzie wprawdzie skuteczne od strony formalnej – wyświęcany faktycznie stanie się biskupem – ale będzie nielegalne i związane z automatyczną karą. Leon XIV przypomniał o tym Bractwu św. Piusa X (FSSPX) bardzo wyraźnie, wskazując, że w przypadku przeprowadzenia święceń biskupi z Bractwa zostaną wyłączeni ze wspólnoty Kościoła katolickiego.

Jak powinien na to patrzeć zwykły katolik? Cóż, powtórzę raz jeszcze: w normalnym biegu rzeczy sprawa byłaby prosta. Problem tylko w tym, że bieg rzeczy nie jest normalny już od dawna. Od czasów Soboru Watykańskiego II Kościołem katolickim wstrząsają bardzo głębokie dyskusje dotyczące najpoważniejszych spraw doktrynalnych i moralnych. Nie brakuje kardynałów i biskupów, którzy wprost mówią o szerzących się herezjach. Samym tekstom soboru można zarzucić co najmniej poważne niejednoznaczności, bo też Vaticanum II zamiast wypowiadać się w sposób doktrynalnie jednoznaczny, uwikłało się w język polityczny. Toczą się też ostre spory o liturgię, którą Kościół zmienił w latach 60. i 70. nagle i na skalę całkowicie bezprecedensową. W ostatnich latach oliwy do ognia dolał pontyfikat papieża Franciszka. Jorge Mario Bergoglio ogłosił wiele dokumentów, dość powszechnie oskarżanych przez konserwatystów o niezgodność z Tradycją.

Nie brakuje kardynałów i biskupów, którzy wprost mówią o szerzących się herezjach

W tej sytuacji proste stwierdzenie, że w sporze wokół konsekracji w FSSPX rację ma Leon XIV, w oczach wielu katolików nie jest wcale takie oczywiste. Wierzący dobrze wiedzą, że co do zasady bunt wobec papieża jest niewłaściwy, ale nie chcą pogodzić się z sytuacją, w której ekskomunikuje się biskupów Bractwa (choćby i słusznie od strony czysto legalnej), ale jednocześnie nie nakłada się żadnych kar na tych hierarchów, którzy głoszą otwarte herezje, np. w kwestiach doktryny moralnej (patrz: niemieccy biskupi z ich poglądami na LGBT).

PATOWA SYTUACJA

Żeby nadwyrężyć własne zaufanie do autorytetu, nie trzeba patrzeć na Watykan. Zdaniem licznych wiernych, którzy kochają tradycyjną liturgię i są posłuszni wobec niezmiennej nauki Kościoła, sytuacji nie poprawia postawa ich własnych biskupów. Zarówno w Polsce, jak i w innych krajach świata, w których funkcjonuje Bractwo, pasterze odcinają się od tego zgromadzenia, robiąc to, czego wymaga od nich papież, a co pewnie jest też zgodne z ich własną oceną. Problem w tym, że przez lata sami dawali nierzadko dowody chwiejnej postawy. W czasie COVID-19 wielu z nich zamykało kościoły; milczało, kiedy Franciszek ogłaszał „Amoris laetitia" albo „Fiducia supplicans"; niektórzy zabraniali też wiernym uczestnictwa we Mszy trydenckiej, choć ci szczerze o to prosili. Dlatego, choć katolicy są zobowiązani do posłuszeństwa swoim biskupom, konserwatystom nie zawsze łatwo o wzbudzenie w sobie zaufania do pasterzy, mimo formalnych powinności.

Można powiedzieć, że sytuacja jest patowa: z jednej strony oczywista niezgodność działań Bractwa z prawem obowiązującym w Kościele; z drugiej – niekwestionowany kryzys, na który nie ma odpowiedniej reakcji pasterzy. Patem w tak trudnej kwestii nie można się jednak zadowolić, bo konieczne są konkretne decyzje: trzeba wybrać, czy uczestniczy

eprasa.pl 5d267fd813



FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

się w posłudze Bractwa, nawet po ekskomunikowaniu jego biskupów, czy też się z tej posługi całkowicie rezygnuje, uznając jego członków za faktycznie wyłączonych z Kościoła. Każdy katolik przywiązany do Tradycji podejmie w tej sprawie własną decyzję. Byłoby jednak zupełnie niekatolickie postawić na czysty subiektywizm. Kościół katolicki jest wspólnotą, a w ramach wspólnoty nie może rządzić tylko samowolna opinia. Dlatego wydaje się konieczne, by przed wyrobieniem sobie zdania w sprawie FSSPX poszukać jakiegoś wskazania, które przekracza nasze indywidualne ograniczenia. Tego – jak sądzę – mogą dostarczyć kardynałowie Kościoła – przynajmniej ci, którzy w ostatnich latach odważnie stawali w obronie prawdy. To Walter Brandmüller, Raymond Burke, Gerhard Müller, Robert Sarah i Joseph Zen. Wszyscy są znani z publicznej i często bardzo ostrej krytyki działań Stolicy Apostolskiej za pontyfikatu papieża Franciszka, a nawet z krytyki Benedykta XVI. Choćby Brandmüller i Müller krytycznie oceniali decyzję Ratzingera o rezygnacji z urzędu papieskiego, a zwłaszcza jego dziwaczną formę późniejszego życia jako bezprecedensowej figury „emerytowanego papieża". Wszyscy z wymienionych za swoją pryncypialną postawę ponieśli konsekwencje. Brandmüller na jednym z konsystorzy Franciszka chciał zabrać głos, by podzielić się z kardynałami własnymi przemyśleniami; nie pozwolono mu na to. Müller został usunięty z Kurii Rzymskiej, w której sprawował kluczowy urząd prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Roberta Saraha papież Franciszek upokorzył, wzywając go na dywanik i rugając za to, że prosił księży o bardziej tradycyjną postawę w czasie odprawiania Mszy Świętej. Kiedy Sarah przeszedł na emeryturę w roli prefekta Kongregacji do spraw Kultu Bożego, papież natychmiast ją przeorganizował i uderzył w liturgię trydencką w „Traditionis custodes". Joseph Zen chciał rozmawiać z Franciszkiem o sprawie Kościoła w Chinach, ale nie został nawet dopuszczony przed papieskie oblicze. Raymond Burke stracił stanowisko w Kurii Rzymskiej i został odesłany na posadę czysto honorową, gdzie zresztą i tak związano mu ręce w sprawach decyzyjnych.

Ze wszystkich tych kardynałów żadnego stanowiska w sprawie Bractwa nie zajął tylko kard. Burke. To duża strata, bo amerykański purpurat jest nie tylko gorliwym zwolennikiem Mszy trydenckiej i obrońcą ortodoksyjnej wiary, lecz także znakomitym znawcą prawa kanonicznego. W przeszłości był nawet prefektem najważniejszego organu sądowniczego Kościoła, czyli Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej. Mało kto rozumie problematykę kryzysu Kościoła oraz istotę kościelnego prawa tak jak on. Decydując się na milczenie, zdaje się wspierać raczej oficjalną linię Watykanu, ale to zdecydowanie zbyt mało, by miało stanowić jakąś rzeczywistą wartość duszpasterską dla wiernych.

Jak zachowają się konserwatywni katolicy? Można założyć, że dojdzie do podziału

Inni znani konserwatywni kardynałowie wypowiedzieli się przeciwko decyzjom Bractwa. Joseph Zen przyłączył się do wielu poglądów Bractwa w sprawie kryzysu Kościoła. Wezwał jednak tę wspólnotę do jedności z papieżem, stanowczo przestrzegając ją przed schizmą, czyli świadomym podpadnięciem pod karę ekskomuniki.

Według tego purpurata, prześladowanego przez chińskich komunistów, Bractwo powinno po prostu zaufać Leonowi XIV i nie rezygnując ze swojego rozumienia Tradycji, podporządkować się decyzjom Ojca Świętego dotyczącym kwestii nominowania biskupów. Podobną pozycję zajął kard. Brandmüller. Niemiecki purpurat w krótkim oświadczeniu przyznał, że w Kościele katolickim po Soborze Watykańskim II panuje poważny kryzys, który obejmuje rozmaite dziedziny, w tym liturgię. Zaprzeczył jednak słuszności stanowiska Bractwa, które wiąże się z kategoryczną krytyką tamtego soboru. Według Brandmüllera trzeba rozdzielić autentyczną naukę Kościoła od różnych fałszywych interpretacji. Tak jak kard. Zen, Brandmüller przestrzegł przed podziałem i wezwał do pracy na rzecz jedności, ostrzegając, że tradycjonaliści z Bractwa mogą podzielić katolicyzm, tak jak czynią to – na inne sposoby – progresiści.

WSPÓLNA WALKA O PRAWDĘ

Najwięcej uwagi sprawie FSSPX poświęcił Gerhard Müller. To zrozumiałe, bo ten kardynał zajmował się wcześniej tematyką Bractwa z ramienia Watykanu. Jako były prefekt Kongregacji Nauki Wia-

eprasa.pl 5d267fd813



ry poczuwa się zresztą do szczególnej odpowiedzialności za dbałość o doktrynę, zwłaszcza dziś, kiedy jego dawny urząd zajmuje ktoś taki, jak kard. Victor Manuel Fernández.

Niemiec w wystąpieniach poświęconych Bractwu silnie podkreśla konieczność pracy na rzecz odnowy Kościoła prowadzonej z pozycji pełnej jedności z Ojcem Świętym. Zdaniem byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary Bractwu grozi powtórzenie losu tych grup katolików, które na przestrzeni dziejów gorliwie broniły wiary, ale na skutek nieposłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej zatraciły rozumienie prawdziwej ortodoksji, tworząc ostatecznie osobne struktury poza Kościołem; wymienia tu donatystów, jansenistów czy starokatolików.

Odwołując się do nauki ojców Kościoła oraz do Soboru Trydenckiego, stwierdza, że wśród fundamentalnych kryteriów autentycznej katolickości jest też zachowywanie komunii z biskupem Rzymu. Według kard. Müllera absolutną koniecznością jest wspólna walka o prawdę wszystkich ortodoksyjnych katolików; dlatego wszelkie ruchy, które prowadzą do utworzenia jakichś osobnych, oddzielonych grup, które powołują się na swoje własne subiektywne sumienie, jest błędna, bo wprowadza podziały. Purpurat oskarża Bractwo o to, że walcząc z herezjami w Kościele, w tym z ewidentną protestantyzacją katolicyzmu, samo popełnia błąd podobny do tego, który popełnili protestanci w XVI w. „Żaden prawowierny katolik nie może powoływać się na racje sumienia, by uchylać się od formalnego uznania autorytetu papieża w odniesieniu do widzialnej jedności sakramentalnego Kościoła i ustanawiać porządek kościelny niepozostający w pełnej komunii z nim – w formie »Kościoła nadzwyczajnego«" – napisał w jednym z oświadczeń w sprawie FSSPX. Jak wyjaśnił w tym samym tekście, tzw. stan wyższej konieczności, na który powołuje się Bractwo, odnosi się wyłącznie do indywidualnego zbawienia poszczególnych osób – to hasło nie może być używane po to, by tworzyć samorządne struktury, które przypisują sobie zdolność do zachowywania ortodoksji jakby „obok" biskupa Rzymu. Według kard. Müllera nie wystarczy, że FSSPX uznaje władzę Leona XIV w teorii; musi uznawać ją również w praktyce, a to oznacza zaniechanie święceń, jeżeli papież ich zabrania. Działanie przeciwne – ocenia były prefekt Kongregacji Nauki Wiary – jest sprzeczne z treścią dogmatycznego nauczania Soboru Watykańskiego I o władzy papieża.

Równie pryncypialne stanowisko zajął kard. Robert Sarah. Gwinejski purpurat zwrócił uwagę na problem właściwego zdefiniowania tego, co jest katolickie. Przewodniczący FSSPX, ks. Davide Pagliarani, tłumacząc decyzję o udzieleniu święceń biskupich wbrew zakazowi papieża, mówił, że dziś poza Bractwem nie ma gwarancji przekazywania autentycznej Tradycji katolickiej. Kardynał Sarah stwierdził, że zgodnie z nauką Kościoła katolickiego jedyną faktyczną gwarancją prawowierności jest Stolica Apostolska. „Kto da nam pewność rzeczywistego kontaktu ze źródłem zbawienia? Kto zagwarantuje, że nie traktujemy swojej własnej opinii jako prawdy? Kto obroni nas przed subiektywizmem? Kto zapewni nas, że wciąż kierujemy się jedną Tradycją, która pochodzi od Chrystusa?" – pytał. Według kardynała Bractwo powołuje się wprawdzie na Tradycję; problem polega jednak na tym, że z woli Jezusa Chrystusa strażnikiem tej Tradycji jest papież, dlatego w praktyce nie da się bronić prawdy w opozycji do następców św. Piotra. W ocenie kardynała dotyczy to zarówno tych, którzy ulegają ideologiom progresywnym, jak i tym, którzy – jak Bractwo – uważają się za obrońców katolickiej Tradycji.

Argumentacja kardynałów Müllera i Saraha nie przekonała samego FSSPX, które udzieliło im odpowiedzi, przekonując, że ma czyste intencje i chce zachować pełnię ortodoksji. Tego z kolei nie zaakceptowali obaj purpuraci, trwając przy swoim stanowisku i krytyce. Trudno byłoby spodziewać się czegoś innego. Sprawa tak angażująca emocjonalnie jak święcenia w Bractwie dotyczy przecież najpoważniejszych zagadnień. Ostatecznie rzecz biorąc, chodzi o rozumienie fundamentalnych prawd i samej istoty Tradycji – a wreszcie o zbawienie wieczne.

Jak zachowają się konserwatywni katolicy? Można założyć, że dojdzie do podziału. Ci wierzący, którzy już wcześniej zaakceptowali wyjątkowe metody działania Bractwa, będą utrzymywać, że pomimo formalnej ekskomuniki to właśnie w FSSPX znajduje się ostoja katolickości. Pozostali uznają pewnie, że pomimo wspólnoty poglądów z Bractwem idea tworzenia samorządnych struktur jest zbyt niebezpieczna, by po prostu ją zaakceptować. Takie same podziały wytworzyły się już po 1988 r., kiedy na święcenia wbrew zakazowi papieża zdecydował się abp Marcel Lefebvre.

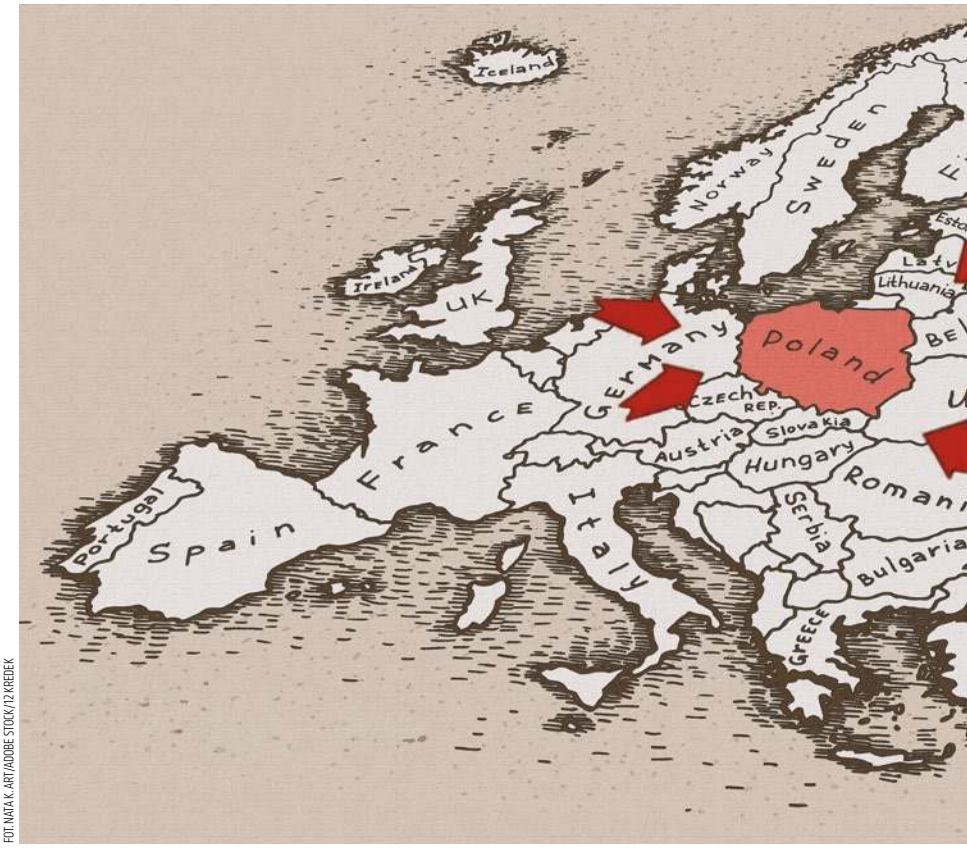
W Kościele katolickim rola sumienia jest kluczowa. Nikt nie podejmie decyzji za nas. Opinia grupy konserwatywnych kardynałów, którzy słowem i czynem wielokrotnie udowodnili, że bronią ortodoksji, nie powinna jednak zostać przez wiernych po prostu zlekceważona jako jeden ze zwykłych głosów w debacie – tym bardziej że dokładnie na tej samej pozycji stoi sam Ojciec Święty. Sprzeciw wobec papieża jest oczywistością, kiedy ten obnosi po ulicach Rzymu figurki Pachamamy. Sytuacja, w której chce decydować o nominacjach biskupich, to jednak zupełnie inna sprawa. Jeżeli kardynałowie ostrzegają, by nie przeciwstawiać ortodoksji doktrynalnej i liturgicznej zachowaniu w Kościele jedności – to należy to ostrzeżenie, sądzę, potraktować śmiertelnie poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Janusz Korwin-Mikke



FOT. NATA K. ART/ADOBE STOCK/12 KREDEK

Krótki kurs polskiej polityki wschodniej

Ponad 40 lat temu chciałem powstania niepodległej Ukrainy – z góry przewidując, że będzie wroga Polsce – ale ważne, by była wroga Rosji. I to właśnie mamy! Tylko jeden „drobiazg": musimy mieć sojusz z będącymi za plecami naszych wrogów: Francją i Rosją!

Wbrew powszechnej opinii Polska nigdy nie znajdowała się między Niemcami a Rosją. Rzeczpospolita Obojga Narodów – tak; Polska – nie. Od wschodu graniczyliśmy z Prusami, Litwą, Ukrainą – z Rosją nigdy.

Potem przyszedł ciężki czas: znaleźliśmy się między Niemcami a Związkiem Sowieckim, państwem potężniejszym – a znacznie gorszym niż Rosja. W tej trudnej sytuacji rządząca Polską sanacja popełniła w latach 1938–1939 zasadniczy błąd – zmieniła kurs na antyniemiecki – w wyniku czego zostaliśmy najpierw na pięć lat kolonią hitlerowską, potem na 10 lat kolonią sowiecką, a wreszcie protektoratem ZSRS.

Jednak obecnie sytuacja się zmieniła. Związek Sowiecki przestał istnieć i – proszę popatrzeć na mapę – nie znajdujemy się między Niemcami a Rosją, lecz między Niemcami a Ukrainą.

Stało się tak, bo rządząca Polską SOLIDARNOŚĆ znów popełniła zasadniczy – choć mniejszy niż sanacja – błąd: wyraziła zgodę na zjednoczenie Niemiec. Wbrew wszelkim zasadom geopolityki, wbrew interesowi Polski – z sympatii dla narodów Saksonii, Brandenburgii, Meklemburgii itd. „jęczącym, jak i my, pod sowiecką okupacją".

Koreańska RL-D jest państwem ZNACZNIE gorszym niż NRD – a istnieje. Wolałbym graniczyć z NRD niż z potężną RFN. Ja kieruję się interesem Polski – a nie walczę O Wolność Waszą Y Naszą... (A narody Saksonii, Brandenburgii i Meklemburgii jęczą obecnie pod okupacją Wessis – proszę patrzeć na wyniki wyborów w byłej NRD!).

Oczywiście: Polska nie mogła wtedy zapobiec zjednoczeniu Niemiec. Mogła natomiast – dzięki zrozumieniu przedstawicielki jednego z czterech okupantów, czyli śp. Małgorzaty Thatcherowej, która była nastawiona antyniemiecko – postawić jako warunek podpisanie z Niemcami traktatu pokojowego. Niemcy, podobnie jak w Locarno, nie chcieli się zgodzić na podpisanie tego traktatu (podobnie jak Japonia nie godzi się na podpisanie traktatu pokojowego z Rosją z uwagi na spór terytorialny o Kuryle). Niestety, śp. prof. Krzysztof Skubiszewski powiedział p. Thatcherowej, że Polska prosi o podpisanie zgody na zjednoczenie bez tego warunku!

(To zdarzenie było przyczyną, dla której zgłosiłem projekt Uchwały Lustracyjnej; prof. Skubiszewski był TW „Kosk" i najprawdopodobniej był szantażowany z tego powodu przez wiedzący o tym niemiecki wywiad). Owszem: rząd niemiecki uznał naszą granicę – jednak sądy w stosownej (Niemcy to poważne państwo!) chwili mogą uznać, że ta umowa była sprzeczna z ich konstytucją. Przypominam, że

eprasa.pl 5d267fd813



według niemieckiego prawa za obywatela RFN może zostać uznany każdy urodzony na terenie byłej Rzeszy w granicach z 1938 r.

I tak umowy są skuteczne dopóty, dopóki nie naruszają istotnych interesów państw. Starajmy się jednak nie robić kolejnych błędów.

NIEMIECKIE CENTRA UKRAIŃSKIEJ EMIGRACJI

Ukraińcy są narodem od prawie 200 lat wspieranym przez Niemcy – po to, by osłabić Rosję, a za plecami Polaków mieć naturalnych sojuszników. Po I Wojnie Światowej Niemcy wspierały hetmanat śp. Pawła Skoropadskiego – który padł pod ciosami Białych, Czerwonych, Machnowców i Petlurowców. Po czym nastąpił rozbiór Ukrainy między II RP i ZSRS.

Niemcy jednak o Ukrainie nie zapomnieli. Cały czas wspierali ukraińskie organizacje walczące zarówno z ZSRS, jak i z II RP. Siedziby OUN i UPA były w Niemczech. Trwało to również po wojnie: jak pamiętamy, Stefan Bandera został zamordowany w Monachium, w którym przebywało całe środowisko skłóconych ze sobą ukraińskich żmij.

Niemcy (szczególnie Berlin) były jednym z głównych centrów ukraińskiej emigracji politycznej po klęsce Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) i Hetmanatu. Były to:

– Ukrajińska Hromada w Berlinie (1919), centrum ruchu hetmańskiego (zwolenników Pawła Skoropadskiego);

– OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów). Działała tam zarówno frakcja Melnyka, jak i (później) Bandery;

– UNO – (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowe) – założone w czerwcu 1933 r. w Berlinie. Największa i najbardziej masowa organizacja ukraińska w Niemczech. Od 1937 r. była ściśle powiązana z OUN. W 1942 r. liczyła ok. 42 tys. członków i ponad 1200 ogniw. Wydawała pismo „Ukraiński Wisnyk".

Po wojnie, już w 1945 r., w Aschaffenburgu założono Centralne Przedstawicielstwo Emigracji Ukraińskiej w Niemczech.

Istniały różne frakcje OUN (głównie banderowska i melnykowska). OUN-B, kierowana bezpośrednio przez Banderę, była centrum dowodzenia całym ruchem banderowskim na emigracji.

Anti-Bolshevik Bloc of Nations (ABN), założony przez Jarosława Stećkę (bliskiego współpracownika Bandery), zrzeszał nacjonalistów z różnych narodów ZSRS i Europy Środkowej.

Melnykowcy (OUN-M) byli w tym okresie słabsi. Główne struktury to PUN (Prowid Ukraińskich Nacjonalistów – siedziba w Monachium/Luksemburgu).

Istniała wreszcie Ukraińska Rada Narodowa (UNRada) – melnykowcy mieli w niej duży wpływ (wraz z hetmańcami i innymi umiarkowanymi grupami). OUN-B wycofała się z niej w proteście.

(Jestem przekonany, że również w NRD hodowano „swoich" Ukraińców – nie informując o tym Sowietów. Jako przybudówki do Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Sowieckiej – na przykład. Kto twierdzi, że to niemożliwe – niech przyjmie do wiadomości, że o ile w RFN działała Narodowodemokratyczna Partia Niemiec nawiązująca do NSDAP, to w NRD istniała Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec grupująca wyłącznie byłych członków NSDAP i mająca ok. 50 mandatów w Volkskammer [parlamencie NRD]. Oczywiście: głosowali jak trzeba).

Proszę też pamiętać, że Ukraińcy są nastawieni narodowo. Nie mają awersji do polityków, którzy zapisywali się do NSDAP czy do KomPartii Ukrainy – jeśli załatwili dla Ukrainy u Göringa powstanie dywizji SS-Galizien czy u Stalina odebranie PRL i przekazanie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej Bełzu (w roku 1951).

NOWY GRACZ Z DUŻYMI PIENIĘDZMI

Tak czy owak, po rozpadzie ZSRS Niemcy natychmiast włączyły się w tworzenie nowego państwa ukraińskiego. To z Niemiec przyjechali do Kijowa, z walizkami pełnymi pieniędzy (jedna się przypadkiem otworzyła...): p. Julia Tymoszenko (dwukrotnie premier), p. Arseniusz Jaceniuk (później premier), p. Witalis Kłyczko (do dziś burmistrz Kijowa) – i inni.

Po tym na arenę wkroczył gracz z naprawdę dużymi pieniędzmi – USA. Jak zeznała w grudniu 2013 r. w Senacie p. Wiktoria Nuland, USA wydały ponad 5 mld dol. na wsparcie demokracji na Ukrainie od 1991 r. Na samo obalenie p. Wiktora Janukowycza (przekupienie sędziów, by orzekali o ważności wyborów, przekupienie generałów itp.) wydano 500 mln dol. (a techniczna organizacja „majdanu" to 50 mln dol.). Znana jest jej podsłuchana rozmowa z ambasadorem USA w Kijowie Godfrydem Pyattem (luty 2014 r.), w której omawiali skład przyszłego ukraińskiego rządu. Niemcy najwyraźniej stracili pozycję i źródła informacji (np. Amerykanie wiedzieli, że Rosja napadnie w lutym 2022 r. – podczas gdy Niemcy, podobnie jak ja, byli pewni, że nie napadnie).

Niemcy jednak cały czas wspomagali Ukrainę. Początkowo były ostrożne, bo wahały się między opcją rosyjską a ukraińską (słynne „Zeitenwende" Olafa Scholza w roku 2022), ale od lat 2024–2025 stały się jednym z najbardziej wiarygodnych dostawców. W 2026 r. przejęły rolę lidera w Europie, zwłaszcza po spadku pomocy USA. W sumie do 2026 r. Niemcy wydały (jak twierdzą) ok. 100 mld dol. na pomoc (w tym 55,5 mld dol. na bezpośrednią pomoc wojskową). Na rok 2026 przewidują 12 mld dol. Pomoc jest niemal bezgraniczna: odmawiają jedynie przekazania Ukrainie rakiet Taurus KEPD 350.

To trwało do czasu, gdy Amerykanie uświadomili sobie wielkość swego zadłużenia i JE Donald Trump zaczął wycofywać się ze spraw europejskich. Niemcy natychmiast dostrzegli swoją szansę. Zrezygnowali z naprawiania stosunków

eprasa.pl 5d267fd813

z Rosją i postawili na kartę ukraińską, zastępując w Kijowie Amerykanów.

14 kwietnia podpisali z Ukrainą Deklaracji o Partnerstwie Strategicznym. Zacytuję tu pp. Lidię Gibadło i Kacpra Sienickiego z Ośrodka Studiów Wschodnich:

Efektem spotkania [JE Włodzimierza Zełenskiego i kanclerza Fryderyka Merza w Berlinie] jest podpisanie deklaracji o partnerstwie strategicznym między RFN a Ukrainą opartym na trzech filarach: bezpieczeństwie, gospodarce i wymiarze kulturalnym [tu Autorzy błędnie przetłumaczyli „humanitarnyj" na humanitarny]. W trakcie wizyty zawarto również dziewięć umów międzyresortowych konkretyzujących działania w poszczególnych obszarach. Odrębnie przedstawiciele firm zbrojeniowych obu państw podpisali sześć memorandów o współpracy. Przewidują one m.in. założenie dwóch spółek joint venture w dziedzinie dronów przechwytujących, a także wspólną produkcję dronów średniego zasięgu oraz trzy projekty dotyczące rozwoju pocisków manewrujących i/lub balistycznych. Szczególną uwagę poświęcono współpracy w sferze analizy danych z pola walki – podpisany dokument w tym zakresie zakłada rozwój wspólnego systemu obejmującego analizę niemieckiego uzbrojenia użytkowanego przez Ukrainę oraz przekazywanie przez stronę ukraińską danych z systemu koordynacji działań bojowych DELTA i innych platform cyfrowych, które mają posłużyć do tworzenia modeli sztucznej inteligencji i narzędzi analitycznych.

Przy okazji konsultacji Niemcy ogłosiły pakiet wsparcia wojskowego dla Kijowa o wartości 4 mld euro, na który składają się głównie dostawy kilkuset pocisków PAC-2 do systemów obrony powietrznej Patriot o wartości 3,2 mld euro. Ponadto obejmuje on 36 wyrzutni do systemów obrony powietrznej IRIS-T za kwotę 182 mln euro oraz rozwój zdolności rażenia dalekiego zasięgu – w przypadku tego przedsięwzięcia przewidziano inwestycje w wysokości 300 mln euro.

Jak łatwo się domyślić, od podpisania tego paktu z RFN Ukraina mogła już nie zwracać na Polskę żadnej uwagi. JE Włodzimierz Zełenski mógł nadać Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imię „Bohaterów UPA" – a na uwagę, że urazi to Polaków, oświadczyć: „Jeb*ć Polskę i Polaków". Jestem przekonany, że po zakończeniu wojny – do spółki z Niemcami, gdzie wybory wygra AfD – Ukraińcy wyzwolą zajęte przez Polskę „ukraińskie i niemieckie ziemie".

POTRZEBNI SĄ POLITYCY POLSCY, A NIE MARIONETKI OBCYCH STOLIC

Od razu uprzedzam – ta Umowa o Partnerstwie Strategicznym to NIE jest nowy Pakt Ribbentrop-Mołotow. Taki układ zostanie podpisany dopiero przed samym rozbiorem Polski. Analogia historyczna jest inna.

Po I Wojnie Światowej wystąpiło znane zjawisko: jeśli ktoś atakuje dwóch naraz – to ci dwaj łączą się przeciwko niemu. Uważano wtedy za pewnik, że Niemcy i Związek Sowiecki (który chciał zniszczyć nie tylko Niemcy przecież...) to dwa nienawidzące się państwa i traktowano te państwa jak pariasów. Wielkim więc szokiem było podpisanie 16 kwietnia 1922 r. przez Niemcy i ZSRS w Rapallo Układu o ich wzajemnym uznaniu i współpracy. Odtąd „Duch Rapallo" wiał w plecy tym mocarstwom. Dzięki niemu Niemcy w roku 1925 zdołały wymóc (Rheinlandpakt, w ramach Układu z Locarno) gwarancje Włoch i Anglii dla granic z Francją i z Belgią – przy nieuznaniu granic z Polską i Czechosłowacją!

12 października 1925 r. podpisano niemiecko-sowiecki traktat handlowy i gospodarczy – bardzo ścisłe porozumienie, składające się z wielu części. W ślad za Rapallo 24 IV 1926 Gustaw Stresemann i Mikołaj Krestinski podpisali też Berliński Traktat o przyjaźni i neutralności (Berliner Vertrag). Już wtedy sytuacja II Rzeczypospolitej stała się mocno niepewna.

Data 14 kwietnia podpisania przez Niemcy i Ukrainę Układu o Partnerstwie Strategicznym być może nie jest przypadkowa. Właśnie 14 kwietnia1931 r. Niemcy zgodnie z „Duchem Rapallo" podpisały z ZSRS tzw. Pierwsze porozumienie Piatakowa (Pjatakow-Abkommen), uzgodnione między Radą Gospodarki Narodowej ZSRS i niemieckim przemysłem (Rußlandausschuß). Przewidywało ono kredyt 300 mln reichsmarek na dodatkowe zamówienia sowieckie w Niemczech (głównie maszyny i sprzęt przemysłowy). Gwarancje państwa niemieckiego i landów obejmowały minimum 70 proc. zamówień – w niektórych branżach 90 proc.

Rozdzielono to w 3,5 miesiąca. Niemcy w tym okresie były największym partnerem handlowym ZSRS – w 1931 r. dostarczały ok. 46–47 proc. całego sowieckiego importu.

A 15 czerwca 1932 r. podpisano II Porozumienie Jerzego Piatakowa...

Czyli znów, jak sto lat temu, znaleźliśmy się między Niemcami a Ukrainą, która w geopolityce zajęła miejsce ZSRS. Prawnie spadkobiercą ZSRS jest Rosja – ale geopolitycznie: Ukraina. To ona, w miejsce ZSRS, jest naszym wschodnim sąsiadem. Z Rosją graniczmy tylko w tym samym sensie, w jakim Brazylia graniczy z Francją... I znów nie mamy gwarancji granicy zachodniej. I znów nasi dwaj wrogowie są ze sobą w sojuszu.

Czym się skończyło dozbrajanie Sowietów w roku 1931 – wiemy. Czym się skończy dozbrajanie Ukrainy w 2026 r. – dopiero zobaczymy. Na X napisałem:

Kiedy dojdzie do wojny z Ukrainą? Nie wiem – za pół roku, za 10 lat? Śp. Konrad Mazowiecki sprowadził Krzyżaków, by walczyli z Rusami – pardon: Prusami – w 1226/8. Już w 1235 zaczęli rościć pretensje do Ziemi Lubawskiej […].

Proszę pamiętać, że ja ponad 40 lat temu chciałem powstania niepodległej Ukrainy – z góry przewidując, że będzie wroga Polsce – ale ważne, by była wroga Rosji. I to właśnie mamy! Tylko jeden „drobiazg": musimy mieć sojusz z będącymi za plecami naszych wrogów: Francją i Rosją!

Francja zawsze była prorosyjska i zawsze miała sympatie do Polski. Nasza „klasa polityczna" musi zrozumieć, że odrzucając histeryczny antyruthenizm, mamy okazję stworzyć trwały sojusz zapewniający równowagę polityczną przez trzymanie w szachu naszych potencjalnych wrogów. We Francji najprawdopodobniej zwycięży antyniemiecko nastawione Zjednoczenie Narodowe (dawniej Front Narodowy) – a dla Rosji, będącej w trudnej sytuacji, ściśle neutralna Polska jest znacznie cenniejsza niż niepewna, choć niby sojusznicza Białoruś.

Ja, oczywiście, zażądałbym za to reszty Prus Wschodnich, do których Rosja przecież tylko dopłaca.

Ale tu potrzebni są politycy polscy – a nie marionetki Brukseli, Berlina, Moskwy czy Waszyngtonu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813

POCZET POLSKICH WODZÓW

Sąd nad hetmanem



JACEK KOMUDA

Hieronim Augustyn Lubomirski był hetmanem, który wprowadził wojsko koronne w okres upadku Rzeczypospolitej. Historycy do dziś spierają się, jaki miał udział w osłabieniu państwa i jego systemu polityczno-wojskowego. Na pewno mniejszy niż Kazimierz Jan Sapieha na Litwie, który wykorzystywał wojsko litewskie w prywatnych rozgrywkach do terroryzowania obywateli i sprawił, że na początku XVIII w. nie nadawało się już do żadnych działań wojennych.

Lubomirski zachowywał się podobnie, chociaż początki jego kariery były chwalebne i awanturnicze. Urodzony w 1647 r. jako syn Jerzego Sebastiana, późniejszego hetmana, który rozpętał wojnę domową w Rzeczypospolitej, przeznaczony był do stanu duchownego. W roku 1663 został wysłany do Włoch, gdzie zapisał się na uniwersytet w Padwie. Jednak chęć przeżycia przygód skłoniła go do wstąpienia do zakonu joannitów; ślubował poświęcić życie walce z Turkami. Po powrocie do Rzeczypospolitej wystawił dwie chorągwie – pancerną oraz dragońską – i wziął udział w walkach z Kozakami i Tatarami. Z przerwami walczył aż do końca wojny z Turcją w 1676 r. Następnie jako działacz stronnictwa profrancuskiego formował oddziały mające wesprzeć węgierskich powstańców walczących przeciwko cesarzowi.

Już jednak w 1682 r. porzucił stronnictwo, zaczął teraz popierać utworzenie sojuszu polsko-austriackiego przeciwko Turcji. W kampanii 1683 r. dowodził zaciągniętym w Polsce korpusem jazdy. Już od czerwca rozpoczął działania wojenne, biorąc udział w zwycięskiej bitwie pod Preszburgiem. Kiedy nadciągnął Sobieski, walczył w bitwie pod Wiedniem



FOT. DOMENA PUBLICZNA

12 września. Uczestniczył później w kampaniach Jana III i wyprawach do Mołdawii, a także w walkach na Węgrzech, jednak w 1685 r. porzucił służbę u cesarza i wrócił do stronnictwa profrancuskiego. Przy okazji stał się bohaterem skandalu, ponieważ ożenił się potajemnie z Konstancją Bokumówną, będąc jednocześnie członkiem zakonu joannitów. Dopiero w 1690 r. uzyskał zwolnienie ze ślubów. Brał udział także w kolejnych wyprawach Jana III do Mołdawii; w 1691 r. dowodził strażą przednią. Jednak pokłócony z hetmanem Stanisławem Jabłonowskim długo nie mógł uzyskać żadnego urzędu wojskowego. W 1692 r. został podskarbim wielkim koronnym i trzeba przyznać, że urząd ten pełnił uczciwie, choć związał się później z antykrólewską kliką Sapiehów na Litwie.

Po śmierci Jana III Sobieskiego Lubomirski poparł na elekcji francuskiego księcia Contiego. Kiedy koronę zdobył jednak August II Mocny, był mu nieprzychylny. Sytuacja zmieniła się w 1702 r., kiedy król zagrożony przez najazd szwedzki, oddał Lubomirskiemu 1 maja buławę polną, a zaraz potem wielką, mianował go też kasztelanem krakowskim. Zdawać by się mogło, że osiągnięcie tych zaszczytów przez człowieka mającego duże doświadczenie wojskowe sprawi, że hetman pójdzie drogą wielkich poprzedników – Jana III czy Stanisława Koniecpolskiego. Niestety, był to człowiek innej epoki – czasów zepsutej Rzeczypospolitej i Europy. Jako hetman armii koronnej przyłączył się do Augusta, jednak nie zamierzał wspierać króla. 19 lipca 1702 r. wziął udział w bitwie pod Kliszowem, w której poprowadził szarżę jazdy polskiej na Szwedów. A po jej załamaniu wycofał się z armią koronną z pola bitwy, odsłaniając prawe skrzydło sprzymierzonych i przyczyniając się do klęski króla Augusta. Niektórzy historycy usiłują go usprawiedliwić, że zamierzał uchronić armię koronną od strat, w praktyce jednak wojsko pod jego komendą uległo kompletnemu rozkładowi. Armia zwycięzców spod Wiednia była teraz bita przez Szwedów, a działania wojenne ograniczały się do rabowania majątków przeciwników politycznych. Hetman paktował ze Szwedami, przeprowadził dwie próby wyparcia przeciwnika z Polski, które skończyły się klęską, wreszcie otwarcie przystąpił do obozu wyniesionego przez Szwedów antykróla Stanisława Leszczyńskiego. Później przeniósł się znowu do stronnictwa Augusta, co sprawiło, że utracił powagę i znaczenie u szlachty. Jego zmieniające się decyzje, brak przykładu dawanego wojsku, unikanie starć i wykorzystywanie oddziałów do uprawiania własnej polityki sprawiły, że armia koronna znalazła się na granicy moralnego upadku. Hetman zmarł 20 kwietnia 1706 r. w Rzeszowie, pozostawiając Rzeczpospolitą zajętą częściowo przez Szwedów, słabą i coraz bardziej uzależnioną od Moskwy. Nie był to taki koniec życia, jakiego mógł oczekiwać hetman korony polskiej. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

debata DO RZECZY
POLSKA WOBEC KULTU UPA


FOT. JAN

Kto zamknął oczy na rzeczywistość?



Adam Wielomski

Podstawowym punktem niezgody między mną a Piotrem Semką jest kwestia nazywana przez mojego Polemistę „ugodą", a przeze mnie „resetem" z Rosją. Odnoszę wrażenie, że Semka odrzuca taką ideę z przyczyn pryncypialnych. Można się dogadywać z Niemcami, Ukrainą, ze Szwecją, ale nie z Rosją. Pytam: Dlaczego? Rosji z mapy świata nie wymażemy. Nie mamy także możliwości zmienić jej charakteru cywilizacyjnego. Musimy zaakceptować, że jest taka, jaka jest

Bez najmniejszego zaskoczenia i zdziwienia przeczytałem polemiczny ze mną tekst Piotra Semki „I kto tu jest niewidomy?", dotyczący Ukrainy i relacji polsko-ukraińskich („Do Rzeczy" nr 26/2026). Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony, że polemika z moimi poglądami została napisana tak późno. W swoim tekście Piotr Semka zarzuca mi „powtarzanie tezy Kremla o tym, że samo wymyślenie Ukrainy to wymysł Zachodu", twierdzenie, iż Ukraina jest skazana na banderyzm, a także tworzenie teorii spiskowej, jakoby diabelscy Amerykanie współpracowali z banderowcami w celu rozbicia ZSRS.

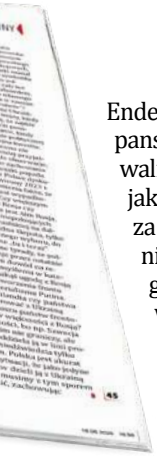
Oczywiście największy smaczek ma pogląd, że powtarzam narrację rosyjską. Teza ta sama w sobie jest „narracją", którą do 2023 r. monopolizowało środowisko PiS, zarzucając wszystkim prorosyjskość, a od czasu stworzenia rządu Donalda Tuska narrację tę próbuje zmonopolizować KO. Moim zdaniem argument ten jest już tak wytarty i zużyty, że posługiwać się nim wypada co najwyżej tak wybitnemu ascecie intelektualnemu, którym jest rzecznik rządu Adam Szłapka.

„ONUCYZM" DMOWSKIEGO

Nie będę tutaj wchodził we wszystkie szczegóły i – jakby rzekł Szłapka – „dezinformacje" zawarte w tekście Piotra Semki. Zanim przejdę do meritum sporu, wskażę tylko dwie. Po pierwsze, został mi przypisany pogląd, że twierdzę, iż Ukrainę wymyślił Zachód. Jest masa literatury o tym, że nacjonalizm ukraiński wykreowali Austriacy przed pierwszą wojną światową, niestety ze współudziałem galicyjskich konserwatystów, co tak celnie wypominał im Roman Dmowski w „Upadku myśli konserwatywnej w Polsce" (1914). Anglosasi go tylko wykorzystali i wzmacniali po 1945 r. Po drugie, Piotr Semka powtarza, przytaczaną nieskończoną ilość razy przez media, dezinformację, jakoby Putin „chwalił się", że zdobędzie Kijów w trzy dni. W rzeczywistości rosyjski prezydent nigdy takich słów nie powiedział. Wypowiedział je 19 dni przed wybuchem wojny amerykański gen. Mark Milley w telewizji Fox News, po czym… przypisano ich autorstwo Putinowi. Klasyczny fake news! Ale przejdźmy do istoty problemu, czyli do ugody z Rosją i inspiracji tej idei.

Jarosław Kaczyński kilkakrotnie stwierdzał, że celem jego i założonego przezeń Porozumienia Centrum było niedopuszczenie do odbudowy w Polsce endecji. Jakkolwiek sam poglądy miał lewicowe, a ukształtował je członek loży „Kopernik" Jan Józef Lipski, to wypchnięty ze środowiska późniejszego ROAD/UD/UW zdecydował się skręcić w prawo, zakładając najpierw PC, a potem PiS i przez całe dziesięciolecia zajmując część sceny politycznej, którą w normalnych warunkach zajęłaby partia neoendecka. Wskazując na źródła swojej wrogości do tradycji Narodowej Demokracji, Kaczyński zawsze podkreślał jej niechęć do Żydów i błędne koncepcje międzynarodowe. Zapewne nie pomylę się, twierdząc, że chodziło o charakterystyczną dla Romana Dmowskiego i jego bloku skłonność do traktowania Rosji jako normalnego państwa, z którym Polacy, a potem niepodległa Polska, mogą się dogadać. Linia ta nie zmieniła się nawet po zwycięstwie bolszewizmu, gdyż – mimo sprzecznych światopoglądów Polski i ZSRS – łączył obydwa państwa wspólny wróg, a mianowicie rewizjonizm niemiecki i germańska pogarda dla Słowiańszczyzny.

eprasa.pl 5d267fd813



Endecja nie wyznawała żadnych idei panslawistycznych (którym hołdowali Czesi) ani nie żywiła do Rosji jakiejkolwiek sympatii, uznając ją za obcą nam cywilizację wschodnią. Była to czysta kalkulacja geopolityczna. Stąd też endecy w latach 30. popierali lansowaną przez dyplomację francuską ideę Paktu Wschodniego, czyli sojuszu antyniemieckiego Francji, Polski, Czechosłowacji i ZSRS. Tradycja endecka była także wroga idei państwowości ukraińskiej. Nie tylko dlatego, że Lwów i Wołyń stawałyby się natychmiast problemem, lecz także dlatego, że nacjonalizm ten uznawano za dziki szowinizm, dodatkowo w sposób naturalny dążący do szukania oparcia w Niemczech przeciwko Polsce i Rosji/ZSRS.

Dziś geopolitykę Dmowskiego i Narodowej Demokracji z pewnością uznano by za „onucyzm" i „narrację Kremla". Stąd też określeniami tymi bywam także i ja obdarzany, gdyż spośród polskich tradycji politycznych tę endecką uznaję za najbliższą moim poglądom, a samego Dmowskiego uważam za najbardziej znaczącego polskiego myśliciela politycznego XX w. nie tylko jako ideologa, lecz także teoretyka stosunków międzynarodowych. Podzielam także pogląd Dmowskiego, że jakkolwiek cywilizacyjnie Rosjanie są dla nas Marsjanami, to konstelacje międzynarodowe kierują się logiką racji stanu, a nie bliskością kultury. Zresztą kultura ukraińska należy do tej samej cywilizacji co rosyjska. Jedyna wyrazista różnica tkwi w tym, że Rosja myśli w kategoriach wieloetnicznego imperium, gdy etnia ukraińska zaczęła myśleć o sobie w kategoriach separatystycznych wobec idei imperium. Dlatego właśnie jej kierownicy musieli wyciągnąć trumny Bandery i Melnyka, aby nadać temu separatyzmowi jakąś tradycję historyczną, konieczną do przeprowadzenia wielkiej mobilizacji narodowej wokół rządu Wołodymyra Zełenskiego. Takie są skutki aspiracji do posiadania własnego państwa przez tzw. narody niehistoryczne, mające ambicję posiadania własnej państwowości, lecz niemające własnej tradycji państwowej.

UGODA CZY RESET

Podstawowym punktem niezgody między mną a Piotrem Semką jest kwestia nazywana przez mojego Polemistę „ugodą", a przeze mnie „resetem" z Rosją. Odnoszę wrażenie, że podobnie jak cały obóz Kaczyńskiego, także Semka odrzuca taką ideę z przyczyn pryncypialnych. Można się dogadywać z Niemcami, Ukrainą, ze Szwecją, ale nie z Rosją. Pytam: Dlaczego? Rosji z mapy świata nie wymażemy. Nie mamy także możliwości zmienić jej charakteru cywilizacyjnego. Musimy zaakceptować, że jest taka, jaka jest. Nie leżymy też na zachodnim krańcu Europy, np. na Półwyspie Iberyjskim, i nie możemy zachowywać się tak, jakby jej nie było. Jesteśmy od Rosji słabsi, więc reset i polepszenie wzajemnych stosunków jest dla nas jak najkorzystniejsze. Uprzedzając wszystkie argumenty historyczne o rozbiorach, Rzezi Pragi i Katyniu, przypominam, że Węgrzy umieją przejść ponad trzema klęskami, które ponieśli z rąk Rosjan (stłumienie antyhabsburskiego powstania w 1849 r., klęska w drugiej wojnie światowej i w 1956 r.) i podejść do stosunków z Moskwą bardzo pragmatycznie, w kategoriach racji stanu.

Co więcej, wydarzenia dziejowe i mapa świata ukształtowana po 1989 r. nam sprzyjają. Nasz wielowiekowy spór z Moskwą, a potem Rosją dotyczył ziem Rusi, które należały do Litwy, a których południową część (dzisiejszą Ukrainę) przyłączono do Rzeczypospolitej w 1569 r. W ten sposób uzyskaliśmy granicę z Moskwą i weszliśmy z nią w wielowiekowy spór o panowanie nad Rusią. Dziś na tych terenach powstały państwa w postaci Ukrainy, Białorusi i Litwy. Nasza granica z Rosją w postaci obwodu kaliningradzkiego ma znaczenie marginalne. Rosja nie dąży do aneksji Białorusi, Litwy i Ukrainy. Owszem, domaga się, aby Ukraina była neutralna i pomniejszona o tzw. Noworosję na wschodzie, ale nic nie wskazuje na to, aby chciała to państwo anektować. Nie mamy z Rosją żadnego sporu terytorialnego, jak to miało miejsce przez stulecia. Myślę, że szczytem rosyjskich marzeń wobec Polski byłoby odejście na emeryturę Tuska i Kaczyńskiego i pojawienie się w to miejsce sił bardziej pragmatycznych, które przestaną mieszać się w spory państw sukcesyjnych ZSRS. Co więcej, Rosjanie nie mieliby nic przeciwko temu, aby Polska na tych terenach zadbała o pozostawionych na Kresach Polaków i nasze dziedzictwo kulturowe. Przykład współdziałania Polaków i Rosjan na Litwie przeciwko nacjonalistycznej polityce przymusowej lituanizacji mniejszości narodowych pokazuje, że w tych kwestiach interesy mogą być wspólne. W mojej ocenie problemem jest to, że my o Litwie, Białorusi i Ukrainie wciąż myślimy w kategoriach naszych ziem, ziem historycznej Rzeczypospolitej i ciągle toczymy przegraną w XVIII w. wojnę z Rosją o panowanie nad Rusią. Ignorujemy fakty. Nie dostrzegamy, że powstały tam narody budujące swoją tożsamość na wrogości wobec polskości (i rosyjskości w przypadku Ukrainy i Litwy). Gdy potępiamy niemiecki imperializm nakazujący patrzeć na Polskę jako na część Mitteleuropy i rosyjski widzący w nas kiedyś „Kraj Przywiślański", to sami tworzymy miraż imperialnego panowania nad dawnymi Kresami, o które musimy raz jeszcze zawalczyć z Rosją (i zapewne przegrać, porównując potencjały).

CZAS OTWORZYĆ OCZY

Powstanie państw tamponów oddzielających Polskę od Rosji oznaczało zmianę całej geopolityki regionu i było dla naszego kraju korzystne. Z tej racji, że państwa te powstały z ziem rosyjskiego imperium, Rosja mocno straciła na swojej potędze. Dlatego współczesna armia rosyjska nie może być porównywana z potęgą dawnej Armii Czerwonej. Komunizm jest martwy jako ideologia. Tymczasem w Polsce dominuje patrzenie na Rosję jako na zminiaturyzowany Związek Radziecki, na Putina jako Stalina 2.0 i dlatego rzekomo musimy wziąć udział w krucjacie antyrosyjskiej, będącej kontynuacją zimnej wojny. Niestety, elity polityczno-intelektualne tej nowej mapy jakby nie dostrzegały, gdyż stały się zakładnikami smutnej dla nas i bolesnej historii, która toczyła się w odmiennych warunkach geopolitycznych. Polska jest dziś bardziej zagrożona przez zaciskające się z dwóch stron kleszcze niemiecko-ukraińskie niż przez dość odległego Putina, którego wpływy w naszym kraju są zerowe. Wszystko to nie jest żadną „tezą Kremla", lecz lekcją z geopolityki Dmowskiego, którą uwiązany u amerykańskiej klamki obóz, zwący się „patriotycznym", ze wstrętem odrzucił na rzecz patriotycznych namiętności, stając się narzędziem globalistycznych interesów.

Czas otworzyć oczy na rzeczywistość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Piotr Semka z gór Harzu

Szczyt Brocken został rozsławiony przez Goethego. W miejscu tym znajduje się niezwykłe muzeum. Placówka przedstawia dzieje legendarnego wzgórza od średniowiecza do epoki zimnej wojny



Zdjęcie propagandowe straży granicznej NRD FOT. ZB, HANS WIEDL/PICTURE-ALLIANCE/ DPA/PAP

Na górze czarownic i szpiegów

Mała staroświecka lokomotywka dzielnie ciągnie sznur wagoników po torach kolejki wąskotorowej w kierunku szczytu Brocken. Bilety na parową ciuchcię zdobyć jest wyjątkowo trudno, ale też satysfakcja z kłębów białego dymu płynących nad dachami wagoników jest w cenie. Właśnie ten atut powoduje, że o kursy z użyciem parowozu turyści toczą najbardziej zażarte boje. Przejazd dieslowską lokomotywą to już nie to samo. Kolejka pokonuje swoją trasę zaskakująco szybko i po chwili zatrzymujemy się przed dworcowym budyneczkiem z kamieni z wielkim napisem Brocken.

Znajdujemy się na wysokości 1141 m n.p.m. To nie tylko najwyższy szczyt w landzie Saksonia-Anhalt, lecz także w całych północnych Niemczech. Każdego roku przybywają tu 2 mln turystów.

To jedno z najpopularniejszych miejsc turystycznych w Niemczech. Teoretycznie powinno to trochę dziwić, bo Harz to góry niezbyt wysokie. Z racji stosunkowo pochyłych zboczy zwane są złośliwie Rentnergebirge – górami dla emerytów. Ale właśnie Harz, a w szczególności najwyższy szczyt tych gór – Brocken zajmuje w świadomości zbiorowej Niemców rolę „Świętej Góry Teutonów". I rzeczywiście na wzgórzu kręcą się setki turystów, zadeptując niczym nasi rodacy na Kasprowym Wierchu ten wspaniały szczyt. W jego centrum stoją hotel Brocken, stacja meteorologiczna, stacja nadawcza telewizji oraz Brockenhaus (Dom Brockenu) – muzeum poświęcone niesamowicie ciekawym losom tego miejsca. Kiedyś w gmachu muzeum była baza nasłuchowa Stasi dzielona ze specjalną placówką sowieckiego wywiadu wojskowego GRU. To trzypiętrowy budynek z atrakcyjną platformą obserwacyjną na dachu. Z racji pokaźnej kopuły nasłuchowej na szczycie budynku miejscowi dowcipnisie w epoce NRD nazywali ten obiekt „meczetem Stasi". Stare anteny wciąż można zobaczyć w kopule.

Niemal każdy turysta korzysta z okazji i rusza w trasę muzealną o florze i faunie gór Harzu i wreszcie o historii regionu. Oszczędzę państwu niezwykle drobiazgowych informacji geologicznych i biologicznych dotyczących regionu. O wiele ciekawsza jest część poświęcona dziejom tej niesamowitej góry.

DEMONICZNY SZCZYT

Brocken zawsze przykuwał uwagę bardzo specyficznym klimatem, który wyraźnie odróżniał go od otaczających górę nizin. Przez ok. 300 dni w roku szczyt spowija gęsta mgła. Przybyszy z innych części Niemiec zawsze przerażały też częste zmiany pogody, które skutkowały gwałtownymi deszczami czy gradobiciem. Typowe dla Harzu są silne wahania temperatury i huragany dochodzące do szybkości 260 km/h, są one zmorą Brockenu przez ok. 100 dni w roku. To jedno z najbardziej wietrznych miejsc w Europie. W ciągu 365 dni w roku tylko ok. 60 to dni słoneczne. A już dni upalne i słoneczne w lecie policzyć można podobno na palcach jednej ręki. Nic dziwnego więc, że w tradycji ludowej Brocken kojarzył się z miejscem diabelskim, gdzie według podań swoje sabaty urządzały czarownice. Niesamowity klimat wzmacniały jeszcze przedziwne kształty formacji skalnych takich jak „Kazalnica Diabła" czy „Ołtarz Czarownic". Bardzo długo zabobonni miejscowi chłopi woleli trzymać się od szczytu jak najdalej. Ludzka ciekawość jak zwykle okazywała się silniejsza. Śmiałkowie wspinali się na Brocken już w średniowieczu, ale pierwsze opisane w kronikach wejście na górę zostało dokonane w 1572 r. przez lekarza z okolicznego miasteczka Stolberg, imć Johannesa Thala. Wraz z oświeceniem zaczęto Brocken w naukowy sposób

eprasa.pl 5d267fd813

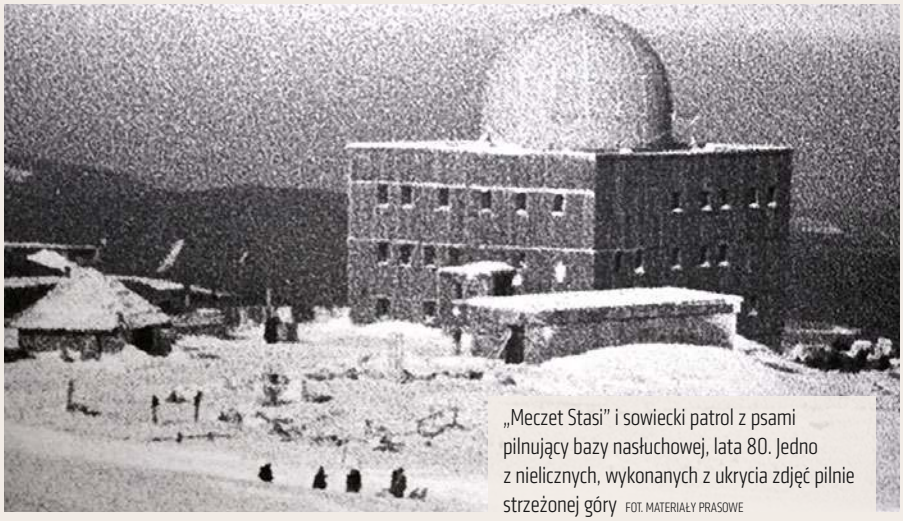
mierzyć i opisywać. W końcu przybyszy zrobiło się dostatecznie dużo – na tyle, by w 1736 r. właściciel góry, hrabia Christian Ernst zu Stolberg-Wernigerode, rozkazał zbudować na szczycie tzw. Dom w Chmurach – schronisko dla tych, których w tym miejscu zaskoczyła wichura lub ulewa. Z czasem zaczęli tam pojawiać się literaccy celebryci. Najbardziej rozsławił Brocken sam wielki Johann Wolfgang von Goethe. W towarzystwie leśnika z pobliskiej wioski Torfhaus wspiął się 10 grudnia 1777 r. na sam wierzchołek najwyższego szczytu Harzu. A potem rozsławił górę sceną sabatu czarownic pod wodzą demona Uriana w swoim arcydziele „Faust".

W 1824 r. wyniosły szczyt zdobył słynny romantyczny poeta Heinrich Heine, którego literacka relacja z tej wyprawy „Podróż po Harzu" („Harzreise") stała się w ówczesnych Niemczech bestsellerem. Już na skalę światową Brocken rozsławił bajkopisarz Hans Christian Andersen. Na dodatek sprawił on, że Duńczycy do dziś są najliczniejsi na szczycie wśród zagranicznych turystów.

Zalew przybyszy już na masową skalę zaczął się z chwilą otwarcia 27 marca 1899 r. wąskotorowej kolei Brocken (rozstaw szyn 1000 mm). Kolejna ważna data w dziejach szczytu to rok 1936, gdy na górze na potrzeby igrzysk olimpijskich w Berlinie zbudowano pierwszą wieżę telewizyjną w III Rzeszy. Ale Adolf Hitler na szczęście nie zauważył propagandowej siły telewizji i uznał ją za technologiczną nowinkę bez większego znaczenia społecznego.

Góry Harzu w 1945 r. były terenem bardzo zaciekłej obrony oddziałów Wehrmachtu i SS. Nic dziwnego, że Amerykanie postanowili najważniejsze punkty oporu zmiażdżyć z powietrza. Wielki nalot amerykańskich superfortec 17 kwietnia 1945 r. zrównał z ziemią wszystkie budynki na szczycie góry. Dopiero 27 kwietnia 1945 r., po tygodniu walk, ostatecznie zmuszono Niemców do kapitulacji. Pamięć o tamtej, dosyć upartej obronie świętych gór niemieckich kultywują do dziś już tylko RFN-owscy naziści.

Autorzy ekspozycji wyjaśniają: „Pod koniec drugiej wojny światowej góra Brocken pozostała przez pewien czas amerykańską enklawą w brytyjskim sektorze okupacyjnym. Kiedy alianci uzgodnili ostateczny podział Niemiec na strefy okupacyjne, Amerykanie opuścili Brocken, a już 2 lipca 1945 r. na wzgórze weszli Rosjanie".



„Meczet Stasi" i sowiecki patrol z psami pilnujący bazy nasłuchowej, lata 80. Jedno z nielicznych, wykonanych z ukrycia zdjęć pilnie strzeżonej góry FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Fragment ekspozycji dotyczący Brockenu w okresie NRD FOT. PIOTR SEMKA

Granica między Zachodem a Wschodem wytyczona została 2 km na zachód od szczytu. I tak rozpoczęła się nowa legenda Brockenu jako symbolu podziału Niemiec.

CZERWONE CZAROWNICE

Początkowo Rosjanie nie traktowali góry w Harzu jako jakiegoś ważnego szczytu. Od 1948 do 1950 r. część Brockenu poza posterunkiem Armii Czerwonej mogła być nawet odwiedzana przez NRD-owskich turystów bez wymagania specjalnych przepustek. Ponieważ góra nadal była często wykorzystywana do nielegalnych przekroczeń granicy, w 1951 r. utworzono tam posterunek Policji Ludowej.

Pierwszym sygnałem, że władze NRD zaczynają uważać to miejsce za wyjątkowo ważny punkt strategiczny, było zbudowanie wielkiego masztu radiowego (tzw. A-turm), przeznaczonego do komunikacji między Komitetem Centralnym Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) a regionalnymi szefostwami tego ugrupowania. Był to efekt powstania ludowego z czerwca 1953 r., kiedy okazało się, że lokalne komórki partii znalazły się bez kontaktu z centralą partyjną w Berlinie (Wschodnim). Ale wciąż jednak turyści mogli pętać się po szczycie. W 1955 r. odbudowano nawet hotel Brocken, który legł w gruzach pod amerykańskimi bombami dekadę wcześniej.

Wszystko zmieniło się wraz z decyzją o zbudowaniu muru berlińskiego i – szerzej rzecz ujmując – muru biegnącego

eprasa.pl 5d267fd813

przez całą granicę RFN i NRD w sierpniu 1961 r. Hotel przejęły służby NRD-owskie. Cały wierzchołek góry otoczono wysokim, trzymetrowym żelbetonowym ogrodzeniem. Powstały tu dwie wielkie bazy nasłuchowe zdolne do przechwytywania komunikacji radiowej na terenie całej zachodniej Europy. Baza sowieckiego GRU nosiła kryptonim Jenisej. Z kolei ich niemieccy koledzy z III Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD wybrali dla swej bazy kryptonim Urian i nie było to ostatnie słowo ze strony Stasi. Na pobliskim szczycie Königsberg liczącym 1033,5 m planowano na lata po 1989 r. budowę kolejnego ogromnego kompleksu nasłuchowego dla Narodowej Armii Ludowej NRD.

Ale zamienienie Brockenu w swoiste szpiegowskie królestwo GRU i Stasi nie uszło uwadze Zachodu. Na zasadzie „klin klinem" Amerykanie założyli stację nasłuchową w zachodniej części Harzu – z największą bazą nasłuchu na górze Bocksberg, niedaleko miasta Goslar. Do historii przeszła też zbudowana w 1975 r. przez Amerykanów stacja nasłuchowa na najwyższym szczycie zachodniej części gór – 971-metrowym szczycie Wurmberg. To właśnie ta placówka zasłużyła na najwyższe wyrazy uznania ze strony prezydenta Ronalda Reagana w 1986 r. Przechwycono wtedy depeszę z ambasady libijskiej w Berlinie (Wschodnim) do stolicy Libii Trypolisu, która upewniła Waszyngton, że to właśnie służby libijskiego dyktatora płk. Muammara Kaddafiego przeprowadziły atak bombowy na dyskotekę w Berlinie Zachodnim, w którym zginęło dwóch żołnierzy armii USA i jeden amerykański cywil.

Na granicy NRD i RFN w górach Harzu zginęło ponad 20 osób. W większości byli to ludzie, którzy chcieli wyrwać się na Zachód

Bundeswehra stworzyła własne centrum nasłuchu na pobliskim wzgórzu Stöberhai, które monitorowało łączność radiową na terenie NRD. To właśnie w wyniku nasłuchu z tej góry Amerykanie dowiedzieli się o planowanej inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r.



Transparent z napisem: „Brocken znowu wolny!", grudzień 1989 r. FOT. PIOTR SEMKA

Do końca lat 80. wszystkie główne szczyty górskie po zachodniej stronie wyposażono w wieże nasłuchowe. Swoją własną stację nasłuchową na górze Stöberhai miały nawet francuskie siły zbrojne, które ponadto korzystały z wieży nasłuchowej na górze Schalke, niedaleko miasta Claushall-Zellerfeld.

KONIEC SZPIEGOWSKIEGO IMPERIUM

Ale góry Harzu wiały grozą nie tylko z powodu licznych kopuł stacji nasłuchowych. Krwawiła granica, która dzieliła to pasmo górskie. Były to prawdziwe pola śmierci. Już cały teren ciągnący się 10 km w głąb NRD był to tzw. Zonenrandgebiet – strefa, po której można poruszać się było wyłącznie ze specjalną przepustką. Potem zaczynała się strefa ścisłej kontroli wojsk granicznych NRD, upstrzona wysokimi betonowymi wieżami obserwacyjnymi. Później następował pas pól minowych, które groziły śmiercią lub kalectwem poprzez urwanie nogi. Na niektórych odcinkach występowały też reagujące na fotokomórki automatyczne samopały, które powodowały zastrzelenie kandydata na uciekiniera. I dopiero po tych wszystkich strefach śmierci na samym końcu pojawiał się czarno-czerwono-żółty słup graniczny NRD z symbolem młota i cyrkla.

Udokumentowano ponad 20 zgonów z imienia i nazwiska osób, które zginęły na granicy w samych górach Harzu. Na wystawie można poznać parę takich ofiar. Pierwszy na tej tragicznej liście uciekinierów jest Gert-Peter Schmidt, który zginął w kwietniu 1961 r., podczas próby przedarcia się przez jeden z górskich szczytów. Inny to Klaus-Jürgen Vogler, NRD-owski 25-latek, który próbował uciec na Zachód w pobliżu miejscowości Hohegeiß. Na swoje nieszczęście nastąpił na ukrytą minę odłamkową SM-70 i wykrwawił się na śmierć, bo zanim żołnierze wojsk granicznych NRD ściągnęli karetkę, upływ krwi spowodował zgon. Dwa lata później na granicy w trakcie podejścia do ogrodzenia został zastrzelony 33-letni Walter Otte. Jego przypadek jest o tyle istotny, że lekarz, który przybył i stwierdził, że zgon nastąpił w wyniku zastrzelenia, został natychmiast odsunięty od sprawy. Aby zatuszować incydent, funkcjonariusze Stasi zabrali ciało Waltera Ottego z granicy i zawieźli do parku w Magdeburgu. Obok zamordowanego położono podrzucony pistolet i upozorowano samobójstwo. Sprawa wróciła w czerwcu 2000 r., gdy sąd w Magdeburgu skazał Erwina G., byłego strażnika wojsk granicznych NRD, który wykonał śmiercionośny strzał, na dożywocie pod zarzutem morderstwa z premedytacją. Wielu niemieckich dysydentów oburzyło wówczas to, że po kolejnych apelacjach Federalny Trybunał Sprawiedliwości zmniejszył karę więzienia do jedynie trzech lat, uznając za okoliczność łagodzącą ideologiczną indoktrynację żołnierza i szczególną presję rozkazów jego zwierzchników.

I wreszcie ostatni przypadek ze stycznia 1984 r. to Nikołaj Gal, 20-letni sowiecki dezerter, który próbował uciec na Zachód w okolicy miejscowości Benneckenstein. Został zastrzelony przez NRD-owską straż graniczną.

Mury wokół Brockenu nie runęły bynajmniej równo z otwarciem muru berlińskiego. Na prowincji protest rewolucyjny przebiegał trochę wolniej. Ale w końcu 3 grudnia 1989 r., czyli mniej więcej miesiąc po upadku muru berlińskiego, doszło do marszu 6 tys. demonstrantów na szczyt Brocken pod hasłem „Precz z murem". Przerażeni szefowie niemieckiej jednostki wojsk NRD wpuścili rozwścieczonych demonstrantów i tak zaczął się powolny koniec szpiegowskiego imperium na szczycie Brocken. Począwszy od 1990 r., stopniowo zaczęto rozbierać instalacje straży granicznej. Ale rosyjska baza istniała jeszcze długo. Ostatni sowiecko-rosyjski żołnierz opuścił wzgórze 30 marca 1994 r.

Turyści znów mogli dojechać kolejką na szczyt góry kojarzonej z sabatami czarownic. Czerwone Wiedźmy opuściły Brocken na dobre.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Brockenhaus – muzeum Parku Narodowego Harzu otwarte jest codziennie przez cały rok z wyjątkiem wyznaczonych dni świątecznych. Więcej szczegółów na: www.harzinfo.de.

eprasa.pl 5d267fd813



KOMUCHOŻERCA

Wolf, czyli Krzemień

LESZEK ŻEBROWSKI

Jak dobrze trzeba znać historię, aby rozumieć swój kraj i to, co się w nim działo? Pobieżna znajomość wydarzeń, dat, postaci – choć jest konieczna, nie jest wystarczająca. Tym bardziej że poza jej bezlitosnym fałszowaniem, co w ostatnich kilkudziesięciu latach się nasila, są jeszcze całe obszary, które badane nie są, źródła do ich studiowania są nader skromne, a i opisać tego wszystkiego nie ma gdzie.

Pewna aktoreczka orzekła przed laty, że 4 czerwca 1989 r. skończył się komunizm. To znaczy, że co się skończyło i co przyszło na jego miejsce? Mamy po 1989 r. całkowitą ciągłość prawną, ustrojową, polityczną, personalną itd. z epoką rzekomo minioną. Wprawdzie upływ czasu robi swoje (biologia jest nieubłagana), ale w miejsce tych, którzy nami rządzili, przyszły ich dzieci i wnuki. I oczywiście są „pomniki historii", jak np. obecny marszałek sejmu towarzysz Włodzimierz Czarzasty, który publicznie twierdził, że do 1989 r. nigdy nie wyjeżdżał za granicę. To nic, że w dekadzie lat 80. odbywał wielokrotnie szkolenia partyjne w Moskwie. Przecież mówił… prawdę, bo dla nich Moskwa, jako stolica nie tylko proletariatu, zagranicą nie była.

Partyjni towarzysze „od zawsze" słynęli z gmatwania rzeczywistości i zacierania za sobą śladów. Oto np. człowiek o dwóch tożsamościach w II RP i w Polsce Ludowej, Leszek Krzemień. Bogata, bujna kariera w służbie Sowietów, członek Komunistycznego Związku Młodzieży, następnie w Komunistycznej Partii Polski. Za przeproszeniem nie był tam byle kim – jako funk (funkcjonariusz) i kierownik Wydziału Wojskowego musiał być dogłębnie sprawdzony i zaaprobowany przez Sowietów. A jeśli nałożymy na to jego działalność w tzw. specgrupach likwidacyjnych, to nie ma wątpliwości, że nawet po latach powinien być za to wszystko uczciwie rozliczony. Znam tylko jeszcze jeden przypadek funka z takich zbrodniczych komórek likwidacyjnych. To Mendel Kossoj, czyli Wacław Komar, który opisał popełnione morderstwa dla partii.

Leszek Krzemień naprawdę nazywał się Maksymilian Wolf. Ale imię „Maksymilian" wywodzi się z innego kręgu cywilizacyjnego, łacińskiego, czyli zapewne nosił inne. Jego niezwykle bogaty życiorys to m.in: oficer polityczny u Berlinga, wiceminister obrony narodowej, szef Kancelarii Wojskowej Bieruta, zastępca szefa Głównego Zarządu Politycznego „ludowego" WP, zastępca redaktora naczelnego „Trybuny Ludu" i… pełnomocnik PRL do spraw pobytu wojsk sowieckich w Polsce. W ciągu ośmiu lat (1943–1951) został generałem, poczynając od szeregowca! Jest pochowany na Powązkach Wojskowych. Bohater? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powstanie Centrolewu

SŁAWOMIR KOPER

Głównym celem Józefa Piłsudskiego po zamachu majowym było uchwalenie nowej konstytucji, która zmieniłaby zasady sprawowania władzy nad Wisłą. Nowa ustawa zasadnicza miała wzmocnić władzę wykonawczą, zdecydowanie osłabiając rolę parlamentu, a pierwszym krokiem była tzw. nowela sierpniowa uchwalona kilka tygodni po przewrocie, zwiększająca uprawnienia prezydenta. Następnie marszałek zainicjował politykę dyskredytacji Sejmu w oczach społeczeństwa i praktycznie sparaliżował jego działanie. Piłsudski umiejętnie dozował napięcie. Nie stosował klasycznej metody „kija i marchewki" – marszałek nie zamierzał nagradzać opozycji, tylko się jej pozbyć. Na Wiejskiej pojawiały się grupy uzbrojonych oficerów, a protestujących posłów wyprowadzano z sali obrad.

Piłsudski zamierzał skompromitować Sejm i dlatego użycie siły uważał za bezcelowe. Jego celem były kolejne wybory, które stronnicy sanacji mieli wygrać, uzyskując bezwzględną większość, tak by można było uchwalić nową ustawę zasadniczą. Gdy to się nie powiodło, marszałek w wywiadzie prasowym zapowiedział „oktrojowanie nowych praw w Polsce", czyli wprowadzenie konstytucji bez zgody parlamentu. Wywiad odebrano jako zapowiedź zdecydowanych działań wobec przeciwników sanacji, a szczególnie zaś lewicy, posiadającej najwięcej mandatów. Opozycja nie zamierzała jednak czekać pokornie i pomiędzy ugrupowaniami rozpoczęły się rozmowy, które z czasem doprowadziły do powstania Centrolewu – antyrządowej koalicji obejmującej lewicę i centrum.

Stronnictwa wchodzące w skład Centrolewu (PSL „Wyzwolenie", PSL „Piast", PPS, ChD, NPR, SCh) wypracowały wspólną taktykę działania. Kampania prasowa, odczyty, wiece i zebrania mobilizowały opinię publiczną, co ułatwiała pogarszająca się sytuacja gospodarcza. Pojawiły się hasła (i to całkiem oficjalnie) określające konieczność „usunięcia dyktatury i przywrócenia panowania prawa". 29 czerwca 1930 r. w Krakowie rozpoczął się Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu (oficjalna nazwa Centrolewu), w którym wzięło udział 1,5 tys. delegatów. Atmosfera była bojowa, pojawiły się okrzyki: „Precz z lokajem Mościckim!", „Na szubienicę z Piłsudskim!" (niewykluczone, że wznosili je prowokatorzy). Demonstracja na zakończenie obrad zgromadziła 30 tys. osób, a na połowę września zapowiedziano masowe wiece w 21 miastach kraju. Sytuacja stała się groźna, a Piłsudski zawsze twierdził, że lepiej połamać kości kilku posłom, niż wyprowadzać karabiny maszynowe na ulice. Ostatecznie finałem sprawy były aresztowania posłów i proces brzeski, ale to już temat na inny felieton. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

Pucz na Downing Street 10



Teresa Stylińska

Brytyjski premier Keir Starmer ogłosił, że zamierza ustąpić ze stanowiska. Z jego wystąpienia komentatorzy jak jeden mąż odnotowali to, co mówił o swych planach na przyszłość. – Gdy już odejdę z najważniejszej pracy w kraju – powiedział – zajmę się tym, co w życiu najważniejsze. Będę najlepszym mężem dla mojej żony Victorii i najlepszym ojcem dla moich dzieci, mej dumy i radości



FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

Uwagi obserwatorów nie uszła nuta wzruszenia w głosie odchodzącego premiera. Nie zapisano mu jej jednak na plus. Zdaniem komentatorki tygodnika „Spectator" to właśnie po trosze pokazuje, dlaczego poniósł porażkę: najważniejsze powinny być dla niego sprawy kraju.

Gdyby w tym krótkim wystąpieniu Starmer miał zawrzeć rzeczowy bilans swych rządów, cóż mógłby powiedzieć? Że po prawie dwóch latach od chwili, gdy Partia Pracy wróciła do władzy, Brytyjczykom żyje się gorzej? Że koszty utrzymania bardzo wzrosły? Że przedwyborcze obietnice, w myśl których laburzystowski rząd nie będzie podnosić podatków, szybko poszły w niepamięć? Że nie zahamowano napływu imigrantów? Że przez ich masową obecność na ulicach jest coraz bardziej niebezpiecznie?

Starmerowi zaszkodziły również skandale, których bohaterami byli jego współpracownicy. W tych sprawach obciążał go tylko grzech zaniedbania, bo jemu samemu nikt nigdy nie zarzucił nieuczciwości ani złej woli. Ale wicepremier Angela Rayner musiała odejść z rządu, gdy na jaw wyszło, że kupując mieszkanie, zapłaciła niższą opłatę skarbową, niż powinna, a Peter Mandelson, przed laty wielkie nazwisko Partii Pracy, został ambasadorem w Waszyngtonie, choć nie była tajemnicą jego kompromitująca przyjaźń z Jeffreyem Epsteinem. Starmer nominacji nie dopilnował, całkowicie lekceważąc ostrzeżenia z Foreign Office.

Odnotujmy także cechujący Starmera pewien brak wyczucia, nie bez związku z lewicową wizją świata, której jest wierny. Gdy po śmierci Henry'ego Nowaka oburzeni ludzie protestowali przeciwko pobłażliwości dla przestępców imigrantów, potępiał demonstrantów, napominając, by nie ulegali rasistowskim nastrojom. Nowak, przypomnijmy: pchnięty nożem przez sikha, zmarł w obecności policjantów, którzy słuchali wynurzeń zabójcy, zamiast zająć się jego umierającą ofiarą.

PRETORIANIE I ICH CEZAR

W przemówieniu wygłoszonym, jak każe tradycja, z podium ustawionego na wprost ciemnych drzwi wejściowych na Downing Street 10 odchodzący premier poświęcił jednak uwagę swej partii. Partia Pracy, którą przejął, była – jak podkreślił – w rozsypce. Pod jego przywództwem wygrała wybory i wróciła do władzy. Jest jednak świadom, że – zdaniem partyjnych kolegów – z nim samym w roli lidera nie zdoła tego powtórzyć. Dlatego postanowił odejść.

Wszystko wskazuje na to, że tak istotnie jest. Bezprzykładny sukces sprzed dwóch lat, gdy Partia Pracy zdobyła w Izbie Gmin 411 na 650 mandatów, jest w tej chwili nie do powtórzenia. Za oględnymi słowami premiera kryje się jednak gorzka prawda o wewnątrzpartyjnych stosunkach i układach.

Wszystkie błędy Starmera, choć obciążające jego konto i wiarygodność jako polityka i przywódcy, to za mało, by można go było ot tak, po prostu przekonać do ustąpienia. Czynnik decydujący stanowi bunt kolegów partyjnych, przestraszonych, że rządy niepopularnego premiera skończą się wyborczą porażką. Gdy tak się stanie, wielu z nich straci mandaty, a wraz z nimi perspektywy. W brytyjskim syste-

eprasa.pl 5d267fd813

mie bowiem kluczem do kariery politycznej jest obecność w parlamencie. Premier i członkowie rządu – zarówno faktycznego, jak gabinetu cieni tworzonego przez opozycję – muszą zasiadać w Izbie Gmin.

Do ustąpienia zmusili Starmera nie wyborcy, lecz partyjni koledzy. Nie jego pierwszego. Taki mechanizm, doskonale wypróbowany, działa we wszystkich partiach i nie oszczędza nikogo, nawet najbardziej zasłużonych. Jego ofiarą padła Margaret Thatcher. Gdy okazało się, że pewne jej decyzje, takie jak wprowadzenie poll taxu, czyli pogłównego, napotykają w społeczeństwie silny opór, została zmuszona do odejścia przez najbliższych współpracowników.

Było to w 1990 r. Kolejni premierzy odchodzili po przegranych wyborach czy też, jak David Cameron, po porażce w referendum brexitowym. W ciągu ostatnich 10 lat praktyka wymuszania rezygnacji zadomowiła się jednak w brytyjskim życiu politycznym na dobre. Theresa May, Boris Johnson i Liz Truss z Partii Konserwatywnej, teraz Keir Starmer... Koledzy partyjni – jak błyskotliwie zauważył komentator dziennika „Daily Telegraph" – są jak rzymscy pretorianie, usuwający cezarów i wynoszący innych na tron.

WALCZYĆ CZY USTĄPIĆ?

Laburzystowscy pretorianie też mają swe cele i swego cezara. Tę rolę ma objąć Andy Burnham, do niedawna burmistrz Manchesteru, a obecnie deputowany z pobliskiego okręgu Makerfield. Jego drogę na tron starannie zaplanowano. Burnham jako burmistrz nie zasiadał w Izbie Gmin. Usłużny kolega partyjny zrezygnował więc z mandatu, odbyły się wybory uzupełniające, Burnham je wygrał i teraz, jako deputowany, ma otwartą drogę na stanowisko lidera i szefa rządu. Konserwatyści i Reform UK, partia Nigela Farage'a, która w sondażach zbiera najwięcej głosów, domagają się przyspieszenia wyborów, ale Burnham nie zamierza tego robić. Bo nie musi.

W tej sytuacji Keir Starmer, choć jakiś czas temu próbował zablokować Burnhamowi drogę, uniemożliwiając mu start w wyborach, nie miał właściwie wyjścia. Wymuszanie zmiany lidera jest jak lawina, która nabiera rozpędu i w pewnym momencie jest już nie do zatrzymania. Najpierw z rządu zaczynają odchodzić ministrowie (teraz pierwszym był minister zdrowia Wes Streeting, niekryjący zresztą własnych ambicji), co odbierane jest jako wotum nieufności wobec premiera. Na tym etapie deputowani zastanawiają się, jak rozwinie się sytuacja i czy należy jeszcze wspierać obecnego lidera czy już postawić na nowego. Jakie perspektywy – mandaty, stanowiska – nowy może zaoferować.

Trudno jest uchwycić moment, gdy szala zaczyna przechylać się na korzyść zmian, ale gdy to nastąpi, nic już nie da się zrobić. Lider i zarazem premier staje wówczas wobec pytania: Walczyć czy ustąpić? Poddaje się z reguły w chwili, gdy zaczynają opuszczać go najbliżsi sojusznicy. Tak też było w wypadku Keira Starmera, choć pierwotnie kategorycznie deklarował, że się nie podda.

W poniedziałek 22 czerwca rano Starmer ogłosił rezygnację, a parę godzin później Andy Burnham został zaprzysiężony w Izbie Gmin. Aż nadto wymowne jest selfie, które zaraz potem zrobił sobie w parlamencie na tle tłumu swych rozradowanych partyjnych zwolenników. Ilu z nich – pytają komentatorzy – myśli o profitach u boku lidera, którego gorliwie poparli?

METAMORFOZA W DRODZE DO LONDYNU

Czy jednak Burnham na pewno zostanie liderem? To bardzo prawdopodobne, ale jednak nie stuprocentowo pewne, bo kilku partyjnych kolegów rozważa ubieganie się o przywództwo w partii. Czy na serio czy też po to tylko, by podnieść stawkę w staraniach o stanowisko? Jeśli na serio, to oznaczałoby to konieczność przeprowadzenia żmudnej procedury wyłaniania lidera, która mogłaby trwać całe lato. Jeśli tak się nie stanie, to sprawa powinna rozstrzygnąć się do połowy lipca. Keir Starmer chciałby jeszcze wziąć udział w lipcowym szczycie NATO w Ankarze, a potem jest gotów, nie zwlekając, ustąpić.

Być może jest tu pewien podtekst. Burnham, skoro sprawy i tak idą po jego myśli, wolałby podobno mieć więcej czasu na skompletowanie rządu i dopracowanie jego programu. Możliwe, że Starmer nie zamierza mu tego ułatwiać.

Trudną sprawą jest np. obsadzenie stanowiska kanclerza skarbu, najważniejszego w rządzie po premierze. Na czele dość długiej listy nazwisk są dwa: Wesa Streetinga, który jako pierwszy opuścił Starmera, ma więc pewne zasługi, i Eda Milibanda, ministra do spraw klimatu. Miliband to radykał nad radykałami i choć Burnham też wyznaje religię klimatyczną, to nie jest pewne, czy chciałby tak ważne stanowisko powierzyć komuś, kto ostatnio zapowiadał podjęcie walki z ogrzewaniem podłogowym, bo zostawia ono zbyt duży ślad węglowy.

Dopracowanie programu czy jego opracowanie? Nie bardzo wiadomo. Burnham mówi o tym ogólnikowo, podkreślając jedynie, że trzymać się będzie manifestu wyborczego Partii Pracy. Z takiej zapowiedzi niewiele jednak wynika, tym bardziej że Burnhamowi nieobce są wolty, choćby w sprawie więzów z Unią Europejską. Choć nie akceptuje brexitu, to ostatnio zapewniał, że o powrocie do Unii nie może być mowy. Może boi się opinii publicznej? Tak czy inaczej, wraz z nim do głosu w Partii Pracy dochodzi lewica.

Co nie zmienia faktu, że część komentatorów uważa Burnhama za karierowicza, trzymającego się kolejnych liderów, i że trudno dociec, dlaczego właśnie on stał się teraz, dość nieoczekiwanie, sam kandydatem na lidera. Może to efekt układów partyjnych, a może znudzenia tymi samymi twarzami? Od 2017 r., gdy objął rządy w Manchesterze, był poza Izbą Gmin, a więc poza kręgiem polityków stale widocznych. Nie można przy tym odmówić mu doświadczenia. Z Partią Pracy związany jest od młodości, od funkcji asystenta partyjnych prominentów przechodził do coraz ważniejszych stanowisk, był ministrem kultury w rządzie Gordona Browna i spraw wewnętrznych w gabinecie cieni. Jest ambitny. Dwukrotnie, bez powodzenia, starał się o przywództwo w partii.

A może dlatego, że ustawia się w roli trybuna ludowego? Ubiera się na luzie, nosi koszulki polo, bluzy i sportowe buty i tylko złośliwcy lubią mu wypominać, że dawniej, gdy był w parlamencie, gustował w garniturach od Armaniego.

Czy swobodny styl to tylko poza? Dziennikarze opisali podróż Burnhama do Londynu na zaprzysiężenie. W Manchesterze do pociągu wsiadł zwykły człowiek w codziennym ubraniu. Na dworcu w Londynie wysiadł dżentelmen: ciemny garnitur, biała koszula, jasnoszary krawat. Gdy trzeba, Burnham potrafi zmienić image.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813

Żal po brexicie





Jacek Przybylski

Wbrew obietnicom brexit nie okazał się receptą na ożywienie gospodarcze, lecz najdroższym rozwodem w historii świata. I chociaż bilans porzucenia UE nie jest jednak aż tak katastrofalny, jak zapowiadali jego przeciwnicy, to gdyby Brytyjczycy dekadę temu zagłosowali inaczej, byliby bogatsi. Znacznie więcej mieszkańców Wielkiej Brytanii miałoby też pracę

Czy Zjednoczone Królestwo powinno pozostać członkiem Unii Europejskiej czy powinno ją opuścić? Na to pytanie 23 czerwca 2016 r. odpowiedziało ponad 72 proc. uprawnionych do głosowania Brytyjczyków. Zwolennicy opuszczenia Unii wygrali wówczas stosunkiem głosów 51,89 proc. do 48,11 proc. Bez wątpienia była to jedna z najważniejszych decyzji w nowożytnej historii Wielkiej Brytanii. Przewróciła do góry nogami nie tylko brytyjską politykę, lecz także gospodarkę.

JEST BREGRET, BĘDZIE BRETURN?

Jak oceniają ją dziś mieszkańcy Wielkiej Brytanii? Dziesięć lat po referendum Brytyjczycy nadal są w tej kwestii mocno podzieleni. Obecnie przeważają jednak przeciwnicy brexitu. Według sondażu YouGov/The Times za porażkę uważa go sześć ankietowanych osób na dziesięć (jeszcze w 2022 r. zwolennicy tej oceny stanowili 53 proc. pytanych). O tym, że brexit jest błędem, przekonanych jest obecnie 23 proc. tych, którzy dekadę temu głosowali za rozwodem. Wyjście z Unii Europejskiej za sukces uważa zaś zaledwie co 10. Brytyjczyk.

Zwolennicy brexitu twierdzą, że dzięki niemu Wielka Brytania odzyskała możliwość tworzenia własnych praw, zarządzania własnym budżetem i prowadzenia suwerennej polityki zagranicznej, wewnętrznej czy gospodarczej. Krytycy wskazują na jeszcze słabszy wzrost ekonomiczny, wyższe bariery handlowe, problemy celne, opóźnienia w dostawach etc. Wielu Brytyjczyków wskazuje również na fakt, że po opuszczeniu Unii Europejskiej znacząco trudniej jest im

eprasa.pl 5d267fd813



Dziesięć lat po brexitowym referendum coraz więcej Brytyjczyków chciałoby ponownie dołączyć do UE. Na zdjęciu: demonstracja w Londynie, 10 czerwca 2026 r. FOT. VUK VALCIC/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

podjąć pracę na terenie Unii Europejskiej czy kupić dom lub mieszkanie w którymś z krajów UE. A wiele unijnych przepisów i tak w zasadzie skopiowano do brytyjskiego ustawodawstwa, aby ułatwić proces rozwodu z Brukselą.

Skoro tak wyraźnie widać żal z powodu brexitu (czyli bregret od słów „brexit" i „regret"), to zaczęto pytać Brytyjczyków, czy nie chcieliby powrotu do Unii Europejskiej (stąd hasło „breturn").

Według badania zleconego przez Europejską Radę Spraw Zagranicznych (ECFR) wielu Brytyjczyków stało się otwartych na reintegrację z UE. Największymi zwolennikami takiego scenariusza są najmłodsi mieszkańcy Wielkiej Brytanii, którzy w 2016 r. byli z powodu młodego wieku wykluczeni z możliwości oddania głosu. Według sondażu opisanego przez „Guardiana" trzech Brytyjczyków na pięciu z pokolenia Z chciałoby, aby ogłoszono referendum w sprawie ponownego przystąpienia do UE. 60 proc. ankietowanych w wieku od 18 do 28 lat głosowałoby zaś wówczas za ponownym przystąpieniem Wielkiej Brytanii do Unii Europejskiej.

Według ECFR obecne nastroje wśród brytyjskiej opinii publicznej sprawiają, że podział na dwie grupy (zwolenników pozostania w UE lub jej opuszczenia) jest już nieaktualny. Obecnie ankietowani dzielić się mają na „Optymistów" (czyli zwolenników zdecydowanej reintegracji z UE), „Realistów" (chcących starannie wynegocjowanych bliższych relacji z Unią) oraz „Samotników" (którzy nadal uważają, że Wielka Brytania lepiej poradzi sobie poza Unią Europejską).

CENA NIEPRZYGOTOWANIA

Fatalne efekty brexitu mogłyby być inne, gdyby nie koszmarne błędy brytyjskich polityków. Wprawdzie poza Londynem, Oxfordem czy Cambridge wielu zwykłych Brytyjczyków od lat narzekało na nadmierną imigrację, słabnącą gospodarkę czy beznadziejną służbę zdrowia, ale mało kto wierzył w zwycięstwo obozu wzywającego do opuszczenia Unii Europejskiej. Nikt zaś – zarówno w Londynie, jak i w Brukseli – nie był przygotowany do skutecznych działań po ogłoszeniu wyniku referendum.

Procedura formalnego rozwodu ciągnęła się więc jak flaki z olejem. W 2019 r. Boris Johnson dostrzegł niezadowolenie obozu zwolenników wyjścia z UE z przeciągających się negocjacji rozwodowych. A skoro już przybył i zobaczył, to niczym Juliusz Cezar zwyciężył, prowadząc konserwatystów do miażdżącego wyborczego zwycięstwa pod hasłem: „Zakończmy brexit". Szybko okazało się, że porównywanie Johnsona do Juliusza Cezara jest mocno niesprawiedliwe dla tego drugiego. Poza chwytliwym hasłem ten chaotyczny Brytyjczyk, nieudacznik, narcyz i człowiek sprawiający wrażenie, jakby był pozbawiony jakichkolwiek wartości moralnych, był wyjątkowo źle przygotowany do ambitnego zadania, którego z takim medialnym zapałem się podjął.

Powziął więc decyzję o tzw. twardym brexicie. „Co za palant z niego był… Schrzanił sprawę. Zawalił sprawę. Mógł być bohaterem. Teraz okazało się, że miał rację"– pisał tenże Johnson w swej pierwszej powieści o mocno przypominającym samego autora pośle Partii Konserwatywnej „Siedemdziesiąt dwie dziewice". O tym, że Johnson racji jednak nie miał, wiedziało wielu ekspertów, ekonomistów, a nawet kruki w okolicach Tower of London, które w 2020 r. niechętnie przebywały w okolicy Białej Wieży (a każdy, kto interesuje się starymi legendami, wie, że monarchia i sama Tower of London zawalą się wówczas, gdy ptaki te na stałe opuszczą fortecę).

Produkcja samochodów osobowych w Wielkiej Brytanii spadła z 1,7 mln sztuk w 2016 r. do 717 tys. w 2025 r.

Kruki co prawda wróciły, ale nieudolna polityka Johnsona i jego następców sprawiła, że brytyjski biznes otrzymał bardzo mocny cios. Twardy brexit zamiast rozwiązać gospodarcze problemy Brytyjczyków, jedynie je pogłębił. Odcięcie od europejskich rynków doprowadziło do tego, że produkcja samochodów osobowych w Wielkiej Brytanii spadła z 1,7 mln sztuk w 2016 r. do 775 tys. sztuk w 2022 r. Według najnowszych danych Stowarzyszenia Producentów i Sprzedawców Samochodów (SMMT) produkcja samochodów osobowych, dostawczych, ciężarówek i autobusów w Wielkiej Brytanii spadła zaś w 2025 r. do najniższego poziomu od roku 1956 i wyniosła 764,7 tys. pojazdów, z czego samochody osobowe stanowiły 717,3 tys. Podobne przykłady można mnożyć na przykładzie innych branż.

I chociaż nie doszło do katastrofy, którą straszyli przeciwnicy rozwodu z UE, a brytyjskim przedsiębiorcom udało się znaleźć nabywców na nowych rynkach zbytu (m.in. w Australii i Nowej Zelandii), to ekonomiści szacują, że gdyby nie brexit, wartość produktu krajowego brutto Wielkiej Brytanii byłaby od 6 do 8 proc. wyższa, niż jest obecnie. Przeliczając to na konkretne pieniądze, można oszacować, że większa niezależność od Unii Europejskiej kosztowała

eprasa.pl 5d267fd813

przeciętnego Brytyjczyka kilka tysięcy funtów (według różnych szacunków od 2,7 tys. do 3,7 tys. funtów).

Z najnowszej analizy Banku Anglii wynika, że mniej więcej połowa szacowanych strat wynikała z zaskoczenia inwestorów i przedsiębiorców oraz z okresu niepewności po referendum. Pozostałe koszty brexitu wynikają głównie ze wzrostu barier handlowych po opuszczeniu przez Wielką Brytanię unii celnej i jednolitego rynku w 2021 r. A skoro gospodarka jest słabsza, to i rynek pracy jest w fazie spowolnienia – stopa bezrobocia wynosi 5 proc. i jest obecnie najwyższa od niemal pięciu lat.

Politykom nie udało się też spełnić obietnicy dotyczącej zmniejszenia biurokracji i ograniczenia jej kosztów. Stało się dokładnie odwrotnie: z powodu barier celnych papierologii w biznesie przybyło, a koszty obsługi wzrosły, zamiast spaść. Czy udało się chociaż zaoszczędzić te setki milionów tygodniowo wpłacane do Brukseli – na które tak chętnie wskazywali w kampanii zwolennicy referendum – i przeznaczyć je na dofinansowanie służby zdrowia (NHS)? Nie. Wielka Brytania przestała co prawda opłacać regularną składkę członkowską, ale nadal płaci tzw. rachunek rozwodowy (z ang. divorce bill). Szacowany ostateczny koszt tego rozliczenia wynosi od 35 mld do ponad 40 mld funtów, a kolejne raty Londyn ma wpłacać do Brukseli aż do lat 60. XXI w. Poza tym choć deficyt budżetowy jest bardzo rozdęty, to na ochronę zdrowia rządowi i tak brakuje pieniędzy.

FUNT NA ROLLERCOASTERZE

Błędy Johnsona doprowadziły jednak do tego, że już 24 czerwca 2020 r., w czwartą rocznicę brexitu, Kamal Sharma z Bank of America porównał brytyjską walutę do waluty rynku wschodzącego. Brytyjscy finansiści z typowym dla Wyspiarzy poczuciem humoru ironicznie rozwijali zaś skrót GBP jako „Great British Peso". Po decyzjach Johnsona ogromne turbulencje na wykresie funta szterlinga przypominały bowiem raczej zachowanie meksykańskiego peso niż stabilnego wówczas amerykańskiego dolara.

Oczywiście była to gruba przesada. Z tak ogromnym PKB per capita podani Jej Królewskiej Mości (wówczas panowała jeszcze Elżbieta II) musieliby zagłosować na kogoś dużo głupszego niż Johnson, aby w ciągu zaledwie kilku lat zdegradować kraj z poziomu grupy G10 (zrzeszającej 11 najbardziej rozwiniętych gospodarczo państw) do poziomu krajów wschodzących.

Jedną z niespełnionych obietnic jest ograniczenie migracji. Po brexicie, w latach 2021–2024, do Wielkiej Brytanii przybyło o 2,6 mln osób więcej, niż ją opuściło

Twarde dane pokazują jednak, że kolejni premierzy zrobili wiele, aby funt wszedł w jeden z trudniejszych okresów w swej 1000-letniej historii.

Jednocześnie nie sprawdziły się złowieszcze prognozy mówiące o masowej ucieczce firm do Amsterdamu, Frankfurtu, Paryża czy innych miast kontynentalnej Europy. City zatrudnia rekordowo wielu finansistów. Przez ostatnią dekadę City straciło jednak na znaczeniu. Poza brexitem jest jeszcze jeden powód: Stary Kontynent jako taki traci na znaczeniu, a inwestorzy przenoszą się do Azji, bo to właśnie tam znajduje się motor globalnego rozwoju.

Krytycznie oceniając sposób przeprowadzenia brexitu, należy pamiętać, że na trudny okres rozwodu nałożyła się pandemia COVID-19, która doprowadziła do kryzysu gospodarczego również w kluczowych krajach Unii Europejskiej.

MIGRANTÓW WIĘCEJ, NIE MNIEJ

Dziesięć lat po referendum zwolennicy brexitu wciąż argumentują, że jeśli już mieliby zgodzić się na powrót do Unii Europejskiej, to wyłącznie po zmianie przepisów migracyjnych. „Brytyjscy politycy co roku mówią społeczeństwu, że mogą ograniczyć imigrację do dziesiątek tysięcy, a potem okazuje się, że nie osiągają swoich celów o setki tysięcy, przez co każdego roku przybywa nam populacji wielkości Newcastle" – grzmiał w maju 2016 r. Boris Johnson. Nie on pierwszy. Rosnąca migracja to bowiem nośny temat, na którym poparcie budowali m.in. David Cameron, Theresa May czy Rishi Sunak. Brytyjczycy tradycyjnie boją się bowiem o to, że ich wyspa jest za mała na dużą imigrację. I boją się zarówno przybyszy legalnych, jak i tych nielegalnych.

Kłopot w tym, że chociaż kolejne władze w Londynie miały możliwość użycia legalnych narzędzi, aby ograniczyć napływ ludzi do swego kraju, to tego nie zrobiły. Tym samym świadomie lekceważyły jedną z głównych obietnic złożonych rodakom przez polityków nawołujących do rozwodu z Unią Europejską. Dlaczego tak się stało? Bo Wielka Brytania – podobnie jak Włochy czy Niemcy – do rozwoju gospodarczego potrzebuje taniej siły roboczej. Jak informował „The Times", już po brexicie, czyli w latach 2021–2024, do Wielkiej Brytanii przybyło o 2,6 mln osób więcej, niż ją opuściło. Różnica polega jedynie na kierunkach, skąd pochodzą przybysze – po brexicie rzeczywiście zmniejszyła się liczba imigrantów z krajów Unii, ale zwiększyła się liczba pracowników przybywających na Wyspy spoza UE. Wzrosła również liczba starających się o azyl. W efekcie w latach 2024 i 2025 pierwsze miejsce na liście najpopularniejszych imion męskich nadawanych chłopcom zajmował więc Muhammad (wraz z różnymi odmianami jak Mohammed czy Mohammad). Tradycyjny lider tego typu rankingów, czyli Noah, przez najbliższe lata będzie się raczej musiał zadowolić drugim miejscem.

Niekontrolowany napływ migrantów wywołuje ogromne emocje społeczne i napędza kolejnych wyborców partii Reform UK na czele z Nigelem Farage'em – jednym z głównych inicjatorów brexitu, a jednocześnie wywołuje oskarżenia o rasizm. Nie bez powodu Keir Starmer jest już szóstym brytyjskim premierem, który przed zakończeniem kadencji opuszcza Downing Street 10.

Według najnowszych sondaży choć coraz więcej Brytyjczyków nieśmiało marzy o powrocie do Unii Europejskiej, to jednocześnie największym poparciem na Wyspach cieszy się właśnie Reform UK. Zaostrza się również retoryka. Mieszkańcy dawnego imperium wciąż szukają bowiem swojego bohatera. Polityka, który tym razem niczego nie schrzani i niczego nie zawali.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



FOT. BILD.DE

NARZĘDZIE INTERWENCJI

Po wygranej Niemców z reprezentacją Wybrzeża Kości Słoniowej 2:1 na mundialu doszło do zamieszek. W centrum Bielefeld – ponad 6 tys. km na wschód od Toronto, gdzie mecz się odbył – młodzi kibice wszczęli burdy, m.in. rzucali w policję butelkami i rowerami. Gdy jeden z chuliganów biegał prowokacyjnie z flagą przed stróżami prawa i ich psem, zwierzę ugryzło go w pośladek i ciągnęło kilka metrów. Rannego kibica odwieziono do szpitala. Policja zakomunikowała, że pies jest narzędziem interwencji i gryzie tylko w uzasadnionych przypadkach.

NA POKAZ?

Japońscy kibice są chwaleni w świecie za utrzymywanie porządku na stadionach. Zawsze po meczach dokładnie sprzątają po sobie trybuny. Tak jest i podczas tegorocznego mundialu. Tymczasem na platformie X rozgorzała na ten temat dyskusja przynosząca uszczerbek na wizerunku japońskich fanów futbolu. Zarzucono im bowiem, że zachowują się na pokaz, bo o ile publicznie dbają o czystość i porządek, o tyle prywatnie nie kwapią się do pomocy swoim żonom w obowiązkach domowych.

NADZÓR POLICJI

W Indiach miliony młodych osób przystąpiły do egzaminów na studia medyczne. Pierwszy termin (początek maja) został odwołany z powodu wycieku pytań. Aby poprzednia sytuacja się nie powtórzyła, teraz wdrożono specjalne procedury: biometryczną identyfikację, kontrolę wykrywaczami metali, kamery monitoringu, zakaz używania aplikacji Telegram. Przebieg egzaminów nadzorują policjanci i funkcjonariusze sił paramilitarnych z pomocą dronów i psów.

PO NIEMIECKU

Zarządca kąpieliska w Halle podjął decyzję o tym, że osoby wchodzące na teren obiektu muszą rozumieć język niemiecki. Jak poinformował, decyzja podyktowana została wyłącznie względami bezpieczeństwa: po prostu chodzi o to, żeby w sytuacji wymagającej ratowniczej interwencji było możliwe porozumienie z ludźmi, którzy jej wymagają. Pod adresem zarządcy już się posypały oskarżenia o rasizm.

EFEKT ODWROTNY

Właściciel Dettol – brytyjskiej marki artykułów higienicznych – przeprosił za reklamę produktu, którą wypuścił na chiński rynek. Pięciominutowy spot przedstawia mężczyznę szukającego „czystej" partnerki „nieskażonej przez innych mężczyzn". W końcówce klipu kobieta demaskuje jego mizoginię i odchodzi, a Dettol jest reklamowany jako środek na „toksycznych mężczyzn niczym bakterie". Choć w zamyśle spot miał nieść przesłanie antyseksistowskie, to został odebrany odwrotnie. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ostry gulasz po węgiersku

Nad Dunajem w politycznym kociołku coraz mocniej wrze. Nowy premier Węgier Péter Magyar – oczywiście w trosce o praworządność, bo dlaczego by inaczej? – postanowił usunąć ze stanowisk wszystkie „marionetki Orbána".

Kto jak kto, ale akurat Magyar wie, kogo usunąć należy, bo przez lata sam należał do obozu byłego węgierskiego premiera. A skoro przez lata nie doczekał się specjalnych bonusów od ekipy Orbána, to jako nowy premier nie zamierza długo czekać i przejmować się jakimiś terminami czy konstytucją. Władzę absolutną objąć chce jak najszybciej, najlepiej w ciągu najbliższych miesięcy. Konstytucję Węgier chce więc napisać od nowa.

Na razie prezydent Tamás Sulyok odrzucił propozycję dobrowolnej dymisji z funkcji, którą zgodnie z prawem sprawować powinien do marca 2029 r. Magyar nie daje jednak za wygraną. W ubiegłym tygodniu zapowiedział, że do 20 sierpnia (gdy nad Dunajem obchodzony jest Dzień św. Stefana – pierwszego króla Węgier) Węgrzy będą już mieli nowego prezydenta.

Jak na tak radykalne polityczne ambicje zareaguje Komisja Wenecka? Czy skrytykuje plany przejęcia pełni władzy przez 45-letniego polityka? A może to urzędnicy w Brukseli zdecydują się poskromić autorytaryzm Magyara? Możliwy jest również inny scenariusz: zalecenie zastosowania węgierskiej recepty przez rząd w Polsce.

Tymczasem Magyar, który słusznie mówi, że „serce Europy bije dziś w Europie Środkowej", powinien rozważyć, dlaczego w tym regionie żyć chce coraz więcej migrantów z krajów Europy Zachodniej. Brytyjczycy, Niemcy i inni szukają u nas normalności. Oby nie musieli znowu gdzieś wyjeżdżać...

eprasa.pl 5d267fd813



Jakub Wozinski

Larry Fink przestawia wajchę

Liderzy świata wielkich finansów nieoczekiwanie zmienili w ostatnich miesiącach narrację i zamiast polityki otwartych granic zaczęli promować dbałość o zachowanie homogenicznej, choć ograniczonej populacji

W tym właśnie duchu wypowiadał się już w styczniu na spotkaniu Światowego Forum Ekonomicznego w Davos prezes największej firmy inwestycyjnej na świecie, Larry Fink. W jednym z paneli stwierdził nieoczekiwanie: „Zwykło się uważać, że kurcząca się populacja przyczynia się do spadku wzrostu gospodarczego. Jednakże z moich rozmów z przywódcami dużych, rozwiniętych państw, które posiadają ksenofobiczne zasady imigracyjne, wynika, że [...] zamierzają doprowadzić do błyskawicznego rozwoju robotyki i sztucznej inteligencji [...]. Istnieje prawdopodobieństwo, że jeśli uda się w ten sposób dokonać transformacji produktywności [...], to uda nam się również podnieść poziom życia nawet przy kurczącej się liczbie ludności".

Opinia Larry'ego Finka jest godna uwagi choćby dlatego, że podległa mu firma zarządza obecnie aktywami o wartości ponad 14 bln dol. Poszczególni premierzy czy prezydenci mogą podejmować różnorakie decyzje administracyjne, ale to osoby pokroju prezesa BlackRock wyznaczają makrotrendy w gospodarce, które mają później ogromne przełożenie na całe życie społeczne, kulturę oraz... poczynania premierów czy prezydentów.

Gdy w corocznym liście do inwestorów z 2018 r. amerykańsko-żydowski szef BlackRock ogłosił wszem wobec, że odtąd inwestorzy mają stawiać na firmy wspierające różnorodność w miejscach pracy oraz brać pod uwagę raportowanie ESG, w całym korporacyjnym i finansowym świecie rozpętała się symbolicznie prawdziwa orgia lewackiej poprawności politycznej. Firmy zaczęły zatrudniać specjalnych „oficerów" czuwających nad przestrzeganiem standardów inkluzywności, na rynku zaroiło się od nowych agencji ratingowych przyznających oceny według standardów ESG, a powszechnie największą ambicją stało się bycie najbardziej tęczową spośród wszystkich firm.

W 2020 r. Larry Fink dał sygnał do kolejnego ideologicznego wzmożenia. Tym razem, w kontekście pandemicznej paniki, obwieścił światu, że na pierwszy plan wysuwają się kwestie związane z polityką klimatyczną. Nawołując do „fundamentalnej przebudowy świata finansów" ostrzegł wszystkich tych, którzy ośmieliliby się nie zaangażować w ratowanie płonącej planety przed poważnymi konsekwencjami.

Długotrwałe zamykanie ludzi w domach w imię walki z tajemniczym wirusem miało jednak dewastujący wpływ na kondycję psychiczną społeczeństw zachodnich. Dodatkowo wiele zniszczeń wyrządził wzmacniany przez finansistów lęk przed katastrofą klimatyczną oraz zachęcanie do eksperymentów ze swoją jaźnią dokonywanych w imię ideologii transgenderowej. W efekcie okazało się, że uruchomione jednocześnie liberalne rewolucje różnorodności, klimatyzmu, sanitaryzmu i transseksualizmu doprowadziły do wytworzenia się nowej, piorunującej mieszanki ideologicznej w postaci antyżydowskiego wokeizmu.

Dla Larry'ego Finka oraz innych technofeudałów taki obrót wydarzeń był wręcz szokujący. Do tej pory każdy kolejny etap wspieranej przez sektor finansowo-korporacyjny rewolucji uderzał najmocniej w tradycyjne bastiony cywilizacji: rodzinę, małżeństwo czy też naród. Wyróżnikiem wokeizmu stał się zaś zajadły antysemityzm, odmawiający wręcz Państwu Izrael prawa do jakiegokolwiek terytorium na Bliskim Wschodzie. Z tego właśnie powodu już w latach 2024–2025 prezes BlackRock zaczął stopniowo łagodzić wcześniejszy przekaz. Nie zrezygnował wprawdzie całkowicie z promocji polityki różnorodności czy raportowania ESG, lecz zaczął otwarcie sprzeciwiać się wokeizmowi jako nieliberalnemu sposobowi patrzenia na świat.

NOWA IMIGRACYJNA POLITYKA

Jednym z filarów myślenia w kategoriach woke pozostaje tradycyjnie wsparcie dla nieograniczonej imigracji. W ten właśnie sposób polityka otwartych szeroko granic wzbogaciła w ostatnich latach Stany Zjednoczone o nawet 400–500 tys. muzułmańskich przybyszów, którzy w połączeniu z rosnącymi szeregami zwokeizowanych umysłów zaczęli tworzyć niebezpiecznie szerokie grono zawziętych przeciwników państwa położonego na Bliskim Wschodzie.

Zmiana polityki imigracyjnej w Stanach Zjednoczonych była zatem całkowicie do przewidzenia. Na poziomie politycznym nowy paradygmat w tym obszarze zaczął wprowadzać od stycznia ubiegłego roku Donald Trump. Larry Fink okazał się za to pierwszym liderem biznesu, który dał do zrozumienia, że podobny zwrot konieczny jest również w obszarze finansowo-korporacyjnym.

Pod koniec marca prezes BlackRock opublikował kolejny coroczny list do inwestorów. Jego charakter można uznać za przejściowy, ponieważ w przeciwieństwie do wielu poprzednich autor nie skupił się na żadnym dużym temacie, lecz podjął kilka wątków związanych m.in. z koniecznością zainteresowania inwestowaniem szerszych mas społecznych, samowystarczalnością narodowych gospodarek czy też wyzwaniami związanymi z narastającymi nierównościami majątkowymi. W wywodzie Finka stale powracały jednak odwołania do sztucznej inteligencji, której

eprasa.pl 5d267fd813

rozwój w ostatnich miesiącach pozwolił na zupełnie inne podejście do tematu imigracji.

Jak już wspomniano, Larry Fink spodziewa się, że automatyzacja i AI pozwolą zrekompensować wszelkie straty związane z globalną katastrofą demograficzną. Jeszcze do niedawna korporacyjno-finansowy świat wspierał szeroko otwarte granice, zakładając, że napływające w dużych ilościach imigranckie masy zrewolucjonizują rynek pracy, wywrą nacisk na dotychczasowe hierarchie płacowe i napędzą wzrost gospodarczy. W praktyce współczesna nieselektywna i masowa imigracja okazała się totalnym fiaskiem, gdyż zamiast głodnych sukcesu i zdolnych do wyrzeczeń pracowników bogate kraje dokonały absorpcji całych mas wrogo usposobionych i nastawionych na pasożytowanie na swej nowej ojczyźnie jednostek.

W obliczu tak dramatycznych wydarzeń Larry Fink i inni globalistyczni liderzy proponują, aby imigrantów zastąpić robotami i sztuczną inteligencją. W tym właśnie duchu wypowiadał się również w Davos prezes firmy Palantir, Alex Karp. Jego zdaniem masowa imigracja będzie niedługo całkowicie zbędna, a sama imigracja zostanie zawężona jedynie do osób z rzadkimi kwalifikacjami. Znany z gorącego wsparcia dla Państwa Izrael Karp przekonuje, że sztuczna inteligencja zagrozi najmocniej pracom wykonywanym przez osoby z wykształceniem humanistycznym, lecz jednocześnie stworzy wiele miejsc pracy dla osób zajmujących się różnego rodzaju rzemiosłem oraz posiadających wykształcenie manualno-techniczne.

W Davos po stronie Finka i Karpa opowiedział się także prezes Nvidii, Jensen Huang. Jego zdaniem sztuczna inteligencja to największy projekt infrastrukturalny w historii ludzkości, który całkowicie zmieni podejście do imigracji. Huang nie pozwolił sobie na tak daleko idące stwierdzenia jak Fink, lecz w ostatnim czasie zaczął określać humanoidalne roboty „imigrantami sztucznej inteligencji".

Elity finansowo-korporacyjne mają w większości świadomość, że wbrew wielu głosom wyrażającym obawy o zabieranie przez sztuczną inteligencję pracy ludziom przyszłość będzie najprawdopodobniej wyglądała zupełnie inaczej. Sztuczna inteligencja, tak jak każde narzędzie, które stworzyła ludzkość w swojej historii, otworzy przed nami zupełnie nowe perspektywy twórcze oraz możliwości wykonywania nowych zajęć. Na świecie będzie więc potrzebnych jeszcze więcej osób do pracy, a nie mniej. Automatyzacja i sztuczna inteligencja pozwalają jednak znaleźć dogodny pretekst do odwrotu od dotychczasowej polityki premiowania różnorodności, tęczowości i klimatyzmu. I – co najważniejsze – pomagają walczyć z antyżydowskim wokeizmem.

Gdyby Larry'emu Finkowi i innym globalistycznym wodzirejom autentycznie zależało na pomyślności współczesnych społeczeństw, ogłosiliby wielki pronatalistyczny, prorodzinny i proreligijny zwrot w finansach i gospodarce. Ich rzeczywiste intencje są oczywiście całkowicie odmienne, dlatego w wypowiedziach Finka z Davos odnaleźć można fundamenty nowego paradygmatu polityki gospodarczej i społecznej. Technofeudałowie z Doliny Krzemowej i finansiści z Wall Street postulują odrzucenie polityki klimatycznej, ponieważ jej dalsza kontynuacja zagrażałaby skutecznemu wdrożeniu rewolucji AI. Tylko pracujące na pełnych obrotach elektrownie spalające ogromną ilość paliw kopalnych będą w stanie dostarczać wystarczająco dużo energii na potrzeby przyrastających wciąż centrów danych.

Sanitaryzm wypadł już zupełnie z mody, za to dużo więcej kłopotów przysparza tęczowa rewolucja. Po tylu latach promowania jej za wszelką cenę liderzy korporacyjno-biznesowi zdecydowali się ograniczyć swoje zaangażowanie i od ubiegłego roku zaczęli masowo rezygnować z agresywnej promocji polityki DEI (różnorodność, równość, inkluzywność). Stosunkowo najłatwiej światowi wielkiego biznesu zmienić o 180 stopni kurs w zakresie imigracji, ponieważ w przeciwieństwie do wielu innych składników liberalnej rewolucji za kwestię tę odpowiada w całości państwo.

GLOBALIŚCI BUDZĄ SIĘ Z AMOKU

Larry Fink nie zdobył się jeszcze na żadną istotną zmianę w zakresie polityki inwestycyjnej podległej mu firmy, która znamionowałaby realizację nowego paradygmatu zamkniętych granic i sztucznej inteligencji. Być może trzeba będzie na to jeszcze poczekać. Na uwagę zasługuje jednak sam fakt, że wyrażając w Davos opinię na ten temat, wyraźnie dowartościował podejście do imigracji, które jeszcze do niedawna on sam i jemu podobni byliby skłonni określić mianem przejawu ksenofobii. Po trwającym już niemal dekadzie amoku promowania absurdalnych polityk warstwa najbardziej decyzyjnych osób powoli odzyskuje przynajmniej kontakt z rzeczywistością.

Symboliczne „przestawienie wajchy" w świecie korporacyjno-finansowym może jednak okazać się nie tak łatwe do przeprowadzenia, jak mogłoby się wydawać. Połknięty bakcyl wokeizmu zadomowił się w społeczeństwie i w biznesie na dobre i nie będzie go łatwo usunąć nawet przy zastosowaniu rozbudowanych zachęt finansowych. Przekonuje się o tym najlepiej Donald Trump, który od kilkunastu miesięcy stara się usilnie rozpalić na nowo w amerykańskim społeczeństwie ogień chrześcijańskiego syjonizmu. Ku jego rozpaczy antyizraelski duch wokeizmu zdążył się już jednak rozprzestrzenić na uniwersyteckich kampusach, w świecie kultury czy też samorządach tak bardzo, że trudno sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób będzie się go kiedyś można w ogóle pozbyć.

Zaanonsowana przez Larry'ego Finka zmiana paradygmatu świadczy zaś nie tylko o jego skrajnej obłudzie, lecz także o niewyobrażalnym wręcz tupecie. Promowanie przez wiele lat rewolucji różnorodności, klimatyzmu czy też transgenderyzmu nie było przecież zaledwie rzucaniem słów na wiatr. Wytyczne do inwestowania, za które odpowiedzialny był potężny finansista, przekładały się przecież na ogromne zyski czerpane przez niego osobiście oraz podległą mu firmę. Tworzenie różnorakich indeksów i portfeli „zrównoważonego", „odpowiedzialnego" i „zielonego" inwestowania stwarzało okazję do większych zarobków, wymuszało na tysiącach firm dokonywanie niezwykle kosztownych decyzji, a osoby odmawiające brania udziału w zbiorowym szaleństwie kosztowało zniszczenie kariery lub utratę pracy. Po trwającym wiele lat prawdziwym armagedonie, który doprowadził do ogromu nieszczęść i zmarnowania bilionów dolarów, Larry Fink nie zdobył się nawet na żadne słowa przeprosin, tylko bezceremonialnie oświadczył, że czasy się zmieniły i zamierza jednak promować zupełnie inne rozwiązania. Czy szczyt bezczelności został właśnie osiągnięty?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



PROSTO ZYGZAKIEM

„Łaskawcy". Z KO i z PiS

PIOTR GABRYEL

Kandydat PiS na premiera, prof. Przemysław Czarnek, uroczyście zadeklarował, że pierwszą decyzją jego rządu po przejęciu władzy – czyli, jak rozumiem, w przypadku, jeśli wyborcy powierzą PiS misję samodzielnego sformowania rządu lub PiS uda się do tego swego pomysłu przekonać ewentualnych koalicjantów – będzie podniesienie drugiego progu podatkowego.

Usłyszeliśmy: „To my podniesiemy ten II próg podatkowy ze 120 tys. do 180 tys. zł. To oznacza, że ok. 2,5 mln podatników, bo tylko od zeszłego roku ta liczba podatników, która weszła w II próg podatkowy, wzrosła z 1,9 do ok. 2,5 mln, będzie mogło skorzystać z wyższego progu podatkowego. To oznacza również, że małżeństwa, które rozliczają się wspólnie, mąż i żona, w zależności od tego, jak zarabiają, będą mogli również zdecydowanie więcej pieniędzy zaoszczędzić w swoich budżetach".

Niestety, składając tę obietnicę, prof. Czarnek nawet słowem się nie zająknął, ile realizacja tej jakże potrzebnej i od dawna oczekiwanej przez wielu Polaków decyzji będzie kosztowała budżet polskiego państwa, a więc polskich podatników. Nie wspomniał też ani słowem, skąd jego ewentualny przyszły rząd – rząd premiera Czarnka – zamierza te pieniądze wytrzasnąć. Czyli wysokość jakich wydatków państwa zamierza obniżyć lub w ogóle je skasować albo/i wysokość jakich podatków zamierza podnieść lub jakie wprowadzić nowe – by nie powiększać i tak już gigantycznego długu publicznego Polski i przeogromnego deficytu finansów publicznych. No, chyba że jednak zamierza finansować to poprzez dalsze powiększanie przeogromnego deficytu finansów publicznych i gigantycznego długu publicznego, przekraczającego już konstytucyjny limit w wysokości 60 proc. PKB i w ten sposób jedynie odłożyć spłatę tych zobowiązań przez podatników na kolejne lata. Bo raczej trudno sobie wyobrazić, żeby dało się to sfinansować z opowieści o „domknięciu luki VAT i CIT".

A jak szybko podsumowali za prof. Czarnka „plan Czarnka" eksperci, na których teraz powołuje się AI, chodzi o coroczny ubytek w budżecie Polski – z powodu owego podniesienia II progu podatkowego ze 120 tys. do 180 tys. zł – w wysokości, bagatela, ok. 30 mld zł! I nie trzeba być żadnym ekspertem, by zauważyć, że uczciwie byłoby dopiero wtedy, gdyby ci pracujący za nasze pieniądze politycy – ci „łaskawcy" od siedmiu boleści, z rządu i z opozycji, z KO i z PiS – przestali wreszcie przy okazji każdej waloryzacji progu podatkowego udawać naszych dobrodziejów i po prostu wprowadzili coroczną jej indeksację o wskaźnik inflacji.

Bo to nam – obywatelom i podatnikom – należy się jak psu zupa. I buda. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Kandydaci na RPO to ponury żart

ŁUKASZ WARZECHA

Trudno o bardziej przekonujący przykład traktowania wyborców jak idiotów przez największe obozy polityczne niż kandydatury na rzecznika praw obywatelskich, czyli jedyny tego typu urząd zapisany w konstytucji. Tu naprawdę pasuje przysłowie: wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Koalicja Obywatelska swoją kandydatką ogłosiła Sylwię Gregorczyk-Abram, będącą skrzyżowaniem Romana Giertycha z Jarosławem Kurskim i Dorotą Wysocką-Schnepf. Pani mecenas uczestniczyła w grupie „Wejście", gdzie omawiano siłowe „zdobycie" TVP, zakładała „Wolne sądy" i była szefową komisji do spraw wyjaśnienia mechanizmów represji wobec organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015–2023, czyli propagandowego tworu, mającego dostarczyć podstaw do uderzania w poprzednią władzę. Byłby to taki Adam Bodnar 2.0 w spódnicy, całkowicie ślepy na jedno oko.

I KO, i PiS traktują wyborców jak idiotów. Grają na swój najtwardszy elektorat

PiS postanowił odpowiedzieć symetrycznie. Prezes Kaczyński ogłosił, że kandydatem jego partii będzie Adam Borowski, opozycjonista czasów PRL, dzisiaj schorowany i po siedemdziesiątce, niemający żadnego doświadczenia instytucjonalnego i zerową wiedzę prawniczą (wbrew warunkowi wymienionemu w ustawie o RPO) – ukończył technikum i zaocznie historię. Pan Borowski jest za to wiernym żołnierzem PiS, popiera tę partię gorąco w każdej sprawie oraz kieruje jednym z Klubów „Gazety Polskiej". Ma także na koncie przypomnianą ostatnio wypowiedź, że wspierałby Ukrainę, nawet gdyby zażądała Przemyśla. W kontekście obecnej sytuacji we wzajemnych stosunkach Warszawy z Kijowem to naprawdę znakomita rekomendacja. Prezes Kaczyński w swojej grze wykorzystuje starszego, schorowanego człowieka.

Jedni i drudzy grają wyłącznie na swój najtwardszy elektorat. Jeśli za złoty standard sprawowania urzędu RPO przyjąć urzędowanie śp. Janusza Kochanowskiego, który wychodził nieustannie poza, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, swoją bańkę, to prof. Marcin Wiącek radził sobie nieźle. Teraz obie główne partie chcą z RPO zrobić ponury żart. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

MG HS PHEV



FOT. JAP

Model HS jest w Polsce wyjątkowo popularny. Po dynamicznym wzroście w ciągu ostatnich kilku miesięcy SUV klasy C od MG awansował na 10. miejsce w klasyfikacji generalnej wszystkich aut i trzecią pozycję wśród samochodów wybieranych przez klientów indywidualnych.

Przyczyną sukcesu tego modelu nie jest tylko cena (chociaż trudno nie zauważyć, że należąca do chińskiego koncernu brytyjska marka za cenę nowego Golfa oferuje auto przestronniejsze i wygodniejsze od dużo droższego Tiguana).

Drugą ważną zaletą testowanego SUV-a jest napęd hybrydowy. Inżynierowie z MG nie kopiowali przy tym europejskich rozwiązań, lecz rozwijają własną koncepcję, która zakłada wykorzystanie mocnego silnika elektrycznego z potężnym momentem obrotowym, który współpracuje ze słabszą 1,5-litrową jednostką spalinową. Łączna moc takiego układu wynosi 272 KM. Efekt? Dynamiczne przyspieszenie zarówno w trybie elektrycznym, jak i w trybie hybrydowym. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 6,9 s. Średnie spalanie: 6,8 l/100 km.

Zaletą zastosowanego układu hybrydowego jest również to, że przez większą część jazdy dominuje silnik elektryczny. Dzięki temu wewnątrz jest przyjemnie cicho (w trybie hybrydowym też nie ma co narzekać, bo kabina jest fantastycznie wyciszona). Na pochwałę zasługuje też dobrze zestrojone zawieszenie.

Wyłącznie na prądzie ładowaną z gniazdka wersją MG HS w cyklu mieszanym według producenta przejechać można do 100 km. W praktyce ten wynik jest raczej zbliżony do 75 km, ale to i tak wielu osobom wystarczy, aby tylko na energii elektrycznej pokonać codziennie dystans do biura i z powrotem. Ile trwa ładowanie? Według producenta w przypadku ładowania przez Wallbox w garażu prądem przemiennym energię potrzebną do „zatankowania" akumulatorów do pełna uzyskuje się po trzech godzinach.

MG HS jest nieco większy niż standardowy SUV (ma 467 cm długości i 189 cm szerokości). Kabina jest nie tylko świetnie wykończona (stosunek ceny do jakości jest naprawdę godny pochwały), lecz także przestronna. Na desce rozdzielczej dominuje 12,3-calowy ekran systemu multimedialnego.

Bagażnik ma 441 l pojemności (po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1291 l). Nieźle, choć niektórym zapewne przydałby się nieco większy kufer. Niestety, coś za coś – gdzieś trzeba było schować akumulatory. Na pocieszenie dostajemy też w kabinie 19 schowków.

MS HS PHEV występuje w dwóch wersjach wyposażenia. Excite (na pokładzie są wówczas m.in. reflektory Full LED, 19-calowe felgi, kamera i tylne czujniki parkowania, systemy wspomagania kierowcy czy przyciemniane tylne szyby) kosztuje 164,5 tys. zł. Cena wersji Exclusive (m.in. z systemem kamer 360 stopni, podgrzewanymi fotelami z ekoskóry oraz dwustrefową klimatyzacją) wynosi 173,5 tys. zł.

ZTE MC889A PRO



Świetne prędkości transferu, stabilność pracy, odporność na trudne warunki atmosferyczne, zasilanie PoE, banalnie proste montaż i obsługa – to największe zalety zewnętrznego routera marki ZTE.

Wprawdzie od premiery tego urządzenia trochę wody w Wiśle już upłynęło, ale wciąż jest to jeden z najlepszych i bardziej popularnych zewnętrznych routerów dostępnych na polskim rynku. Dla osób, które mieszkają poza dużymi miastami, z dala od światłowodów i w dużej odległości od nadajników, to może być jedyna szansa na znaczące zwiększenie transferu przy przesyłaniu dużych służbowych plików, oglądanie w Internecie finałowych rozgrywek piłkarzy w wysokiej rozdzielczości czy też na granie w jakości możliwej dotąd niemal wyłącznie przy światłowodowym Internecie.

Urządzenie, którego sercem jest wydajna platforma Qualcomm Snapdragon X65 5G, przeznaczone jest dla osób chcących maksymalnie wykorzystać dobrodziejstwa sieci 5G (SA oraz NSA). Prędkość transferu danych zazwyczaj rośnie bowiem spektakularnie w porównaniu z tradycyjnymi routerami. Testowany model ma bardzo dobre anteny kierunkowe o dużym zysku, co przekłada się na lepsze rezultaty w trudniejszym terenie oraz większy zasięg. Maksymalna prędkość pobierania wynosi 4,29 Gb/s, a wysyłania 280 Mb/s. W przypadku LTE kat. 20 maksymalne transfery dochodzą odpowiednio do 2 Gb/s oraz 200 Mb/S.

Zarówno montaż (np. na elewacji budynku, dachu lub maszcie), jak i późniejsze użytkowanie są bardzo proste, choć samo znalezienie najlepszej pozycji urządzenia względem masztu nadajnika może zająć nieco czasu. Na szczęście znacząco pomaga w tym dedykowana aplikacja. Urządzenie jest też wyposażone w funkcje bezpieczeństwa (DHCP, NAT, zapora ogniowa), zabezpieczenie przed przepięciami, a także przed wodą i pyłem (IP 65). Producent podaje, że testowany model może pracować w temperaturach od minus 40 st. C do plus 60 st. C.

Minusy? ZTE MC889A Pro to urządzenie przeznaczone specjalnie do odbierania sygnału z nadajnika, a nie do nadawania sygnału sieci wi-fi (w tym celu trzeba dokupić dodatkowe urządzenie, pozwalające cieszyć się bezprzewodową siecią). Poza tym aplikacja mogłaby być nieco lepsza i nieco mniej kapryśna. Po trzecie, sporadycznie podczas testu prędkości na krótką chwilę nagle spadały. Mimo tych minusów jest to świetny model dla osób, które z powodu braku dostępu do światłowodu czuły się dotąd jak cyfrowo wykluczone. Cena: 1399 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 5d267fd813

Futbol nie liczy lat



Robert Lewandowski ma czas na przemyślenie oferty, ponieważ sezon transferowy ruszy na dobre dopiero po zakończeniu mundialu

FOT. GRZEGORZ WAJDA/ZUMA PRESS/FORUM

Tomasz Zbigniew Zapert

Czy Robert Lewandowski zostanie piłkarzem Chicago Fire? Byłby to kolejny etap w jego przygodzie ze sportem, trwającej już przeszło ćwierć wieku. Być może ostatni

Klub z Wietrznego Miasta proponuje Polakowi dwu- albo trzyletni kontrakt z pensją w granicach 15–20 mln euro rocznie. Chicago zamieszkuje multum Polaków, co niewątpliwie ułatwiłoby rodzinie Lewandowskich aklimatyzację. Dla Polonusów obecność „Lewego" byłaby zaś nobilitacją. Włodarze „chicagowskich strażaków" przedstawili mu wizję przyszłości nie tylko piłkarskiej. Pokazali lokalizację potencjalnych apartamentów, gmach na ewentualne studio fitness dla małżonki, Anny Lewandowskiej, oraz szkoły dla ich dzieci. Snajper numer jeden Biało-Czerwonych powrócił już z zaoceanicznego rekonesansu do Europy. Ma czas na przemyślenie oferty, ponieważ sezon transferowy ruszy na dobre dopiero po zakończeniu finałów piłkarskich mistrzostw świata. Mundialowa gorączka spowodowała bowiem niemal całkowity zastój na rynku futbolowych zakupów. Wprawdzie 21 sierpnia napastnik będzie celebrował 38. urodziny, lecz ostatnio obserwujemy narastającą długowieczność boiskową futbolistów.

Najjaskrawszy tego przykład stanowi casus Cristiano Ronaldo. Portugalczyk, starszy od Polaka o trzy lata, od 2023 r. reprezentuje saudyjski klub Al-Nassr. Pobiera tam najwyższą gażę futbolową w dziejach. Na 200 mln euro rocznie składa się 12-miesięczna pensja rzędu 90 mln euro, wzbogacona o pieniądze pochodzące z umów handlowych i sponsorskich. A że kondycja dopisuje, toteż dwuletni, początkowo, kontrakt z arabskim zespołem został przez Portugalczyka prolongowany na kolejne dwa sezony. Osiągając wiek inżyniera Stefana Karwowskiego, bynajmniej nie zrezygnował z występów w drużynie narodowej. Czy zakończy je po bieżącym mundialu? Zapewne tak. Zwłaszcza jeżeli reprezentacja, której szkielet tworzą już godni następcy CR7, zdobędzie na turnieju medal. Odejść z tarczą to przecież marzenie większości renomowanych gwiazd sportu.

RONALDO, MESSI, MODRIĆ

Przed podobnym dylematem stoi chyba Lionel Messi, najwybitniejszy piłkarz bieżącego stulecia. 24 czerwca rozpocznie 39. rok życia po brzegi wypełnionego trofeami. Onegdaj deklarował już rozstanie z kadrą „Albicelestes", lecz zmieniał zdanie – ku radości argentyńskich kibiców. Tak czy inaczej, z Interem Miami wiąże go jeszcze umowa obowiązująca do grudnia 2028 r.

Mecz na obecnym mundialu może się okazać ostatni w karierze Luki Modricia. Czterdziestolatek po 13 sezonach spędzonych w Realu Madryt trafił przed rokiem do AC Milan. W końcówce sezonu Serie A doznał kontuzji i musiał się poddać operacji twarzy – toteż występuje w masce ochronnej – a „Rossoneri" nieoczekiwanie nie zdołali zapewnić sobie kwalifikacji do Champions League. Ponieważ porozumienie Chorwata z włoskim zespołem wygasa 30 czerwca, a szefostwo klubu nie przewiduje prolongaty, otrzymał wiele propozycji od potencjalnych pracodawców. I to zarówno z Europy, Stanów Zjednoczonych, jak i krajów z Półwyspu Arabskiego. Jednak według dobrze poinformowanych nie zamierza ich rozważać, gdyż latem powróci do grona „Królewskich". Tyle że już nie w roli piłkarza.

MATUZALEM

Najsławniejszym weteranem w historii piłki nożnej był bez wątpienia Stanley Matthews (1915–2000). Angielski skrzydłowy, pionierski zdobywca Złotej Piłki tygodnika „France Football". Określany mianem

eprasa.pl 5d267fd813

„Czarodziej dryblingu", chrakteryzujący się elegancką i skuteczną grą. Pierwszy zawodowy kontrakt (ze Stoke City) podpisał w 1932 r., mając lat 17 (wymagana była zgoda rodziców). Definitywnie zszedł z boiska 33 lata później, niebawem po 50. urodzinach! Poza Stoke, którego barw bronił przez 19 sezonów (!), grał też w Blackpool, zdobywając z tym teamem Puchar Anglii. W roku 1948 został uznany za angielskiego piłkarza roku – w premierowym plebiscycie zorganizowanym przez dziennikarzy sportowych. Po raz wtóry uhonorowali go 15 lat później. Zagrał w 54 meczach reprezentacji Anglii, strzelając 11 bramek. Uczestniczył w dwóch czempionatach globu (1950, 1954), ale bez powodzenia. Za całokształt futbolowych przewag uhonorowano go tytułem szlacheckim.

DWIE OJCZYZNY

Niewątpliwie gracz od niego wybitniejszy – Ferenc Puskás – ustąpił mu pod względem boiskowej żywotności o ponad dekadę. Węgier po raz ostatni kopnął piłkę w meczu oficjalnym, mając lat 39. Przez wiele lat był kapitanem „Złotej jedenastki" Węgier – być może najwybitniejszego teamu w dziejach futbolu. Zdobył z nią złoty medal na igrzyskach olimpijskich w Helsinkach (1952), dwa lata później zameldował się w finale szwajcarskiego mundialu, gdzie nasi bratankowie sensacyjnie ulegli RFN 2:3. W zespole Madziarów wystąpił 85 razy, strzelając 84 gole! Podczas rewolucji węgierskiej przebywał na tournée macierzystego klubu, Honvédu Budapest, po Półwyspie Pirenejskim. Wiadomość o brutalnej pacyfikacji zrywu niepodległościowego przez Sowietów spowodowała, że razem z kilkoma kolegami poprosili w Hiszpanii o azyl polityczny. I go uzyskali. W rewanżu węgierska federacja nałożyła na niego półtoraroczny zakaz gry w piłkę, zatwierdzony przez FIFA. Ze względu na ucieczkę i pozostanie na Zachodzie reżim Jánosa Kádára uznał Puskása – przedstawiciela klubu pionu wojskowego – za dezertera. W razie powrotu do ojczyzny groziła mu kara śmierci (sic!).

Dyskwalifikacja wykluczyła go z profesjonalnej piłki, sporadycznie pojawiał się w spotkaniach nieoficjalnych, trenował nieregularnie i indywidualnie, toteż gdy okres zawieszenia minął, zyskał 18-kilogramową nadwagę. Działaczy Realu Madryt tusza nie zraziła. Zaangażowali



Najsławniejszym weteranem w historii piłki nożnej był Stanley Matthews (1915–2000)
FOT. POPPERFOTO/GETTY IMAGES

napastnika, który po kilkumiesięcznej kuracji odchudzającej odzyskał dyspozycję i wkrótce stał się asem atutowym „Królewskich", z którymi trzykrotnie zdobywał Puchar Europy. Do dziś nikt nawet nie wyrównał jego rekordu snajperskiego z finału tych prestiżowych rozgrywek, kiedy strzelił cztery gole Eintrachtowi Frankfurt. Wyczyn zaprocentował przyznaniem hiszpańskiego obywatelstwa, zapewniającym grę w reprezentacji nowej ojczyzny na mistrzostwach świata w Chile (1962). Bezskuteczną.

TELEFON OD PREZYDENTA

Popis skuteczności dał za to podczas drugiego mundialu we Włoszech (1990) 38-letni Roger Milla. Żywiołowa euforia prezentowana po zdobyciu bramki przez Kameruńczyka zagwarantowała mu miano gwiazdy imprezy. A przecież do Italii przybył dopiero po rozmowie na najwyższym szczeblu. Otóż prezydent kraju – Paul Biyia – nakłonił telefonicznie Millę, rentiera wypoczywającego na wyspie Reunion we francuskim departamencie położonym na Oceanie Indyjskim, do powrotu do „Nieposkromionych Lwów", jak określa się kadrę piłkarską Kamerunu.

Pozostaje jedną z wizytówek afrykańskiego futbolu. Trzykrotnie brał udział w finałach mistrzostw świata. Za pierwszym razem – rok 1982, Hiszpania – konkurował z Biało-Czerwonymi pod trenerską egidą Antoniego Piechniczka. Starcie zakończyło się polubownie 0:0. Pożegnalny występ – rok 1994, USA – zapisał się w annałach. Wciąż pozostaje najstarszym zdobywcą bramki na mundialach. Honorowego gola wbił Rosji (1:5), licząc 42 lata i trzy dni.

Natomiast jeżeli chodzi o wiek, to mundialowy rekord wszech czasów ciągle dzierży 45-letni Egipcjanin, Essam El Hadari (Rosja, 2018). Nie zaskakuje, że pośród nestorów przeważają bramkarze. W piętnastce najstarszych graczy MŚ jest ich aż ośmiu.

KOSMICZNI OLDBOYE

Za klub weteranów uchodził przed półwieczem Cosmos Nowy Jork. Uznawany wówczas – i słusznie – za najzamożniejszy zespół piłkarski na ziemskim globie. Utworzony w 1971 r. przez Amerykanina tureckiego pochodzenia Ahmeta Erteguna, współzałożyciela wytwórni płytowej Atlantic Records, przy wydatnym zastrzyku finansowym Steve'a Rossa, właściciela Warner Brothers. Za sprawą tak silnego kapitałowo tandemu klub stać było na ściągnięcie futbolowych wirtuozów zbliżających się do emerytury – Brazylijczyków: Pelégo i Carlosa Alberta Torresa oraz Niemca, Franza Beckenbauera. Natomiast dla Holendra Johana Neeskensa i Włocha Giorgia Chinaglii, liczących wtedy po 29 lat, magnes stanowiły pensje. Przewyższające te otrzymywane – odpowiednio – w Barcelonie i Lazio. Wyprawa za Atlantyk zamknęła im drogę do reprezentacji, ponieważ połączenia lotnicze nie były jeszcze tak mocno rozwinięte jak obecnie. Skądinąd epizod „kosmiczny" ma w swoim życiorysie również Stanisław Terlecki. Ale grał tam w okresie, kiedy team chylił się już ku spektakularnemu upadkowi (bankructwo).

Gwoli ścisłości. Najstarszy zawodowy piłkarz świata – i jednocześnie zdobywca bramki w profesjonalnej lidze – to Japończyk, Kazuyoshi Miura. Ten 59-latek gra dziś – przyznajmy, głównie będąc rezerwowym – w ataku trzecioligowca Fukushima United. To jego 41. (czterdziesta pierwsza) ekipa w karierze. W drużynie narodowej Kraju Wschodzącego Słońca zaliczył 89 występów, 55 razy kierując futbolówkę do siatki. W roku 1993 ogłoszono go Azjatyckim Piłkarzem Roku. Na koncie ma także sporo innych laurów. I – rzecz jasna – jenów. Na zadawane coraz częściej pytanie, kiedy wreszcie zamierza zrezygnować z uprawiania futbolu, odpowiada niezmiennie: „Gdy mi się piłka nożna znudzi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5d267fd813



Jacek Pałkiewicz



Badain Jaran. Dla mieszkających tu od wieków nomadów, hodowców kóz i wielbłądów te miejsca są czymś znacznie ważniejszym niż atrakcją krajobrazową FOT. SHUTTERSTOCK

Pustynia tajemniczych jezior

Badain Jaran zaskakuje osobnością. Nie ma sławy Sahary, rozmiaru Gobi ani mrocznej legendy Taklamakanu. Leży w północnych Chinach, w Mongolii Wewnętrznej. Jest trochę większa niż województwo mazowieckie. Ale w geografii, podobnie jak w życiu, wielkość nie zawsze decyduje o znaczeniu

Od zawsze pobudzały moją wyobraźnię pustynie. Nie tylko przez swoją urodę, bo ta bywa surowa, nieoczywista, czasem wręcz okrutna. Pustynia fascynuje mnie dlatego, że jest krajobrazem bez taryfy ulgowej. Nie udaje przyjaciela. Nie zabiega o człowieka. Nie osłania go przed własną słabością. Tam, gdzie słońce wypala z ciała wodę i pewność siebie, gdzie horyzont drży od mirażu, a cisza zaczyna brzmieć jak oskarżenie, podróżnik szybko rozumie, że jego największym przeciwnikiem nie jest teren, ale on sam.

Poznałem najstarszą pustynię świata, Namib, gdzie wydmy zdają się pamiętać jeszcze dzieciństwo kontynentu. Byłem na Atakamie, niemal udomowionej przez naukę, teleskopy i nowoczesność, a przecież nadal potrafiącej przywołać pierwotne poczucie osamotnienia i jeszcze innych. A jednak Badain Jaran zaskoczyła mnie osobnością. Nie ma sławy Sahary, rozmiaru Gobi ani mrocznej legendy Taklamakanu. Leży w północnych Chinach, w Mongolii Wewnętrznej, jako część pustyni Ałaszan. Jest przy tym niewielka, trochę większa niż województwo mazowieckie. Ale w geografii, podobnie jak w życiu, wielkość nie zawsze decyduje o znaczeniu.

PROWOKACYJNA NAZWA

Badain Jaran oznacza w języku mongolskim „Tajemnicze Jeziora”. Nazwa wydaje się niemal prowokacyjna. Jeziora na pustyni? W miejscu, gdzie roczne opady są znikome, a znaczna część deszczu wyparowuje, zanim zdąży naprawdę dotknąć ziemi? A jednak pośród ogromnych, złotych i różowawych wydm leży ponad setka mniejszych i większych akwenów. Niektóre są słodkowodne, inne zasolone. Jedne otoczone skromną obwódką zieleni, inne niemal nagie jak oczy otwarte w piasku. To one sprawiają, że Badain Jaran nie jest tylko pustynią. Jest zagadką.

Źródłem tej wody nie są lokalne deszcze. One nie wystarczyłyby do utrzymania stałego poziomu jezior. Pod piaskami jednych z najwyższych wydm świata, sięgających 400 m, działa system podziemnego zasilania, związany z wodami pochodzącymi z odległych gór Qilian, gdzie śnieg i lodowce karmią ukryte cieki. Woda przebywa setki kilometrów pod powierzchnią, by wynurzyć się w obniżeniach pustyni. To jeden z tych fenomenów, które pokazują, że krajobraz widzialny jest tylko powierzchnią większej, niewidzialnej logiki.

W moim moleskinie, notatniku wiernie towarzyszącym peregrynacjom, pozostał zapis: „Jedno z mniej znanych miejsc świata, gdzie piasek i woda współistnieją, tworząc zadziwiający spektakl natury. Kobaltowy błękit, szmaragdowa zieleń, różowa ochra, szkarłatna czerwień. Wszystko zdaje się tu zbyt intensywne, jakby pustynia chciała zaprzeczyć własnej opinii miejsca bez życia”.

Kolory jezior nie są kaprysem światła. Wynikają z obecności minerałów, mikroorganizmów, glonów, czasem krewetek solankowych, a także ze stopnia zasolenia. Pustynia, którą z daleka można by uznać za martwą, po zbliżeniu odsłania

eprasa.pl 5d267fd813

skomplikowany, delikatny ekosystem. To częsty błąd człowieka: uznaje za puste to, czego nie umie odczytać.

Na obrzeżach słodkowodnych akwenów pojawia się skromna roślinność. Karłowate zarośla, bezlistne krzewy saksaułu, odporne na długotrwałe susze, tworzą wokół jezior cienki pierścień życia. Dla mieszkających tu od wieków nomadów, hodowców kóz i wielbłądów, te miejsca są czymś znacznie ważniejszym niż atrakcją krajobrazową. Są warunkiem istnienia. W pustyni woda nie jest elementem pejzażu. Jest prawem do życia.

Spotkania z ostatnimi nomadami zawsze budzą we mnie mieszaninę szacunku i niepokoju. Szacunku, bo ludzie ci potrafią żyć tam, gdzie człowiek współczesny, rozpieszczony technologią i nadmiarem, szybko stałby się bezradny. Niepokoju, bo ich świat kurczy się szybciej niż jeziora, przy których trwają. Opowiadali, że część akwenów zmniejszyła się albo wyschła. Powodem są coraz większe wykorzystywanie podziemnych źródeł, rosnące potrzeby i presja osadnictwa. Pustynia nie wybacza braku umiaru. To, co gdzie indziej można przez lata maskować, tam objawia się bezlitośnie.

Ostatni raz jechałem na grzbiecie baktriana, wielbłąda dwugarbnego, na Gobi. Nie odmówiłem sobie powtórzenia tego doświadczenia na Badain Jaran. Baktrian różni się od swoich afrykańskich kuzynów: jest niższy, masywniejszy, bardziej włochaty, przystosowany do zimnych pustyń Azji, gdzie upał i mróz potrafią występować w tej samej biografii krajobrazu. Nie jest zwierzęciem sympatycznym w ludzkim rozumieniu tego słowa. Nie zabiega o kontakt. Nie udaje przywiązania. Z niechęcią słucha poleceń, bulgocze z irytacji, ryczy, pluje śliną jak kobra jadem i patrzy na człowieka z pogardą istoty, która wie, że bez niej daleko nie zajdziemy.

Karawana sunęła rytmicznie między wydmami. Ten ruch ma w sobie coś hipnotycznego. Wielbłąd nie idzie pięknie, ale idzie skutecznie. Kołysze ciałem jeźdźca, odbiera mu początkowo cierpliwość, potem narzuca własny rytm. Na pustyni rytm jest ważniejszy od ambicji. Kto idzie za szybko, traci siły. Kto idzie zbyt wolno, traci czas. Kto nie umie dostosować się do zwierzęcia, terenu i słońca, szybko odkrywa, że jego plany były tylko papierową iluzją.

Na stromych podejściach baktriany potrafiły odmawiać posłuszeństwa. Wtedy poganiacz obejmował prowadzenie, ciągnąc powiązane ze sobą zwierzęta. Nie było w tym romantyzmu, jaki lubią foldery turystyczne: karawana na tle zachodu słońca, egzotyka, miękkie światło. Były pot, zniecierpliwienie zwierząt, szorstkie komendy, piasek wsypujący się wszędzie i świadomość, że nawet półdniowa wycieczka na pustyni jest tylko łagodną imitacją dawnych przepraw, podczas których błąd mógł kosztować życie.

Badain Jaran ma także głębszą, historyczną warstwę. Archeolodzy znajdują tu ślady dawnego osadnictwa, artefakty kulturowe i malowidła naskalne z epoki neolitu i brązu. Wiele z nich przedstawia zwierzęta oraz sceny codziennego życia. To znaczy, że krajobraz, który dziś wydaje się skrajnie surowy, był niegdyś bardziej przyjazny. Ludzie żyli tu w warunkach, które musiały oferować więcej wody, roślinności i możliwości przetrwania.

Ta myśl zawsze mnie porusza. Pustynia rzadko jest tylko dziełem natury. Owszem, klimat się zmienia, deszcze odchodzą, rzeki słabną, jeziora wysychają. Ale człowiek często przyspiesza proces, a później udaje, że go nie rozumie. Nadmierna eksploatacja gleby, rabunkowe korzystanie z wody, brak wyobraźni wobec granic środowiska – wszystko to może zamienić żywy krajobraz w pustkowie. Sahara także nie zawsze była morzem piasku. U zarania cywilizacji tętniła zielenią, zwierzętami i ludzkim życiem. Potem deszcze ustąpiły, jeziora znikły, została pamięć zapisana w skałach i piasku.

Na Badain Jaran ta pamięć jest szczególnie przejmująca, bo woda nadal tam jest. Nie znikła całkowicie. Trwa w jeziorach, w podziemnych ciekach, w zielonych obwódkach oaz, w życiu nomadów. Ale właśnie dlatego widać, jak krucha jest równowaga. Pustynia nie potrzebuje wielkiej katastrofy, by zmienić oblicze. Czasem wystarczy kilka decyzji, kilka studni, kilka lat braku umiaru.

SYSTEM ZALEŻNOŚCI

Dla mnie Badain Jaran jest więc czymś więcej niż niezwykłą destynacją. Jest przypomnieniem, że piękno natury nie zawsze uspokaja. Czasem oskarża. Kiedy patrzyłem na jeziora leżące między wydmami, widziałem nie tylko cudowny kontrast kobaltu i ochry. Widziałem pytanie: Jak długo jeszcze? Jak długo woda będzie wypływać spod piasku? Jak długo nomadzi utrzymają swoje stada? Jak długo pustynia będzie równocześnie martwa i żywa?

W podróży często szukamy zachwytu, ale dojrzały zachwyt powinien mieć w sobie cień odpowiedzialności. Inaczej staje się konsumpcją. Człowiek przyjeżdża, robi zdjęcie, wyjeżdża, a krajobraz zostaje z konsekwencjami ludzkich potrzeb. Nie lubię podróżowania, które traktuje świat jak dekorację dla własnych przeżyć. Po pół wieku drogi wiem, że każde miejsce jest czyimś domem, czyjąś pamięcią, czyimś cmentarzem, czyjąś przyszłością.

Badain Jaran należy do tych miejsc, gdzie ta prawda staje się oczywista. Pustynia, jeziora, wielbłądy, nomadzi, naskalne malowidła, podziemne wody z dalekich gór – wszystko jest tu połączone. Krajobraz nie jest scenografią, lecz systemem zależności. Dotkniesz jednego elementu, poruszysz całość.

Gdybym miał wskazać, czego Badain Jaran uczy podróżnika, powiedziałbym: nie ufaj pierwszemu spojrzeniu. Pustynia, która wydaje się pusta, może ukrywać wodę. Krajobraz, który wygląda na martwy, może być pełen życia. Miejsce, które na mapie jest tylko plamą piasku, może przechowywać pamięć dawnych ludzi, zwierząt i zieleni. A człowiek, który uważa, że zrozumiał świat, powinien jak najszybciej wyruszyć w drogę, by pozbyć się tej szkodliwej pewności.

Siedząc wtedy na piasku, miałem poczucie, że Badain Jaran należy do nielicznych miejsc, gdzie świat pokazuje jednocześnie swoją wyobraźnię i swoją kruchość. Kto zobaczy tam tylko piękno, zobaczy za mało. Kto zobaczy tylko zagrożenie, odbierze sobie prawo do zachwytu. Trzeba przyjąć jedno i drugie.

Bo właśnie takie miejsca przypominają, że ziemia jeszcze nie została do końca opowiedziana. I że podróż, jeśli ma mieć sens, nie jest ucieczką od odpowiedzialności, ale drogą do jej głębszego zrozumienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 5d267fd813



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Owoce w cieście

Klasyk na wakacyjnym stole, bez którego nie wyobrażamy sobie lata. Jagodzianki – drożdżowe bułeczki po brzegi wypełnione jagodami, pyszne, delikatne i rozpływające się w ustach. W tradycyjnym cieście drożdżowym nie obowiązuje zasada „im więcej, tym lepiej" – drożdżówki nie lubią zbyt dużej ilości owoców, bo może przez to zrobić się zakalec albo ciasto nie wyrośnie. Natomiast jagodzianki mają tę niezwykłą właściwość, że są pełne owoców, a zarazem ciasto jest cieniutkie. Posypane są chrupiącą kruszonką na bazie palonego masła – podajemy je z zimnym mlekiem i po prostu okazują się doskonałe. Najlepszych jagodzianek nie zjemy elegancko, zawsze nas wybrudzą, bo jagodowe nadzienie spływa na ubranie – warto to wziąć pod uwagę, zanim zrobimy pierwszy kęs. Dzieci



FOT. ADOBE STOCK

lubią pokazywać nam fioletowe języki i jest to znak, że jagodzianki są porządnie zrobione.

Aby takie właśnie wyszły, musimy je dobrze nadziać i na tym polega sekret. Kawałek ciasta trzeba cienko rozwałkować i ułożyć w miseczce, tak aby ciasto wychodziło poza brzegi – będzie nam wtedy łatwiej je nadziać. Nadzienia powinno być dużo – minimum trzy łyżki. Sklejamy i układamy szwem na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia. Jeśli wolimy zrobić tradycyjną kruszonkę, wówczas możemy posmarować jagodzianki palonym masłem przed upieczeniem.

A oto przepis na ciasto, którego nie powstydziłaby się nasza babcia.

Jagodzianka

• 350 g mąki pszennej • 1 jajko + 1 żółtko • 140 ml mleka ciepłego • 85 g cukru • ekstrakt waniliowy • 70 g masła lub masła klarowanego • 25 g świeżych drożdży • szczypta soli • 10 g skrobi ziemniaczanej

Kruszonka

• 60 g mąki pszennej • 30 g masła, które podgrzewamy tak długo, aż poczujemy orzechowy zapach • 30 g cukru • jagody 500 lub 600 g • rozczyn

Drożdże rozkruszamy w rondelku, dodajemy łyżkę cukru, łyżkę mąki i mieszamy.

Zalewamy ciepłym mlekiem (ok. 100 ml), odstawiamy na ok. 10–15 min. Resztę mąki przesiewamy do większej misy, jajko i żółtko, sól i cukier ucieramy na jasną, puszystą masę, łączymy wszystko z mąką, resztką mleka i rozczynem. Wyrabiamy ciasto przez ok. 15 min. Pod sam koniec dodajemy masło, wyrabiamy dalej. Odstawiamy do wyrośnięcia na jedną godzinę. Po tym czasie ciasto dzielimy na 10 kawałków, każdy z nich cienko rozwałkujemy i układamy w miseczce. Nakładamy jagód tyle, ile się da włożyć. Zamykamy i układamy złączeniem pod spód na papier do pieczenia. Odstawiamy na kolejne 15 min. W tym czasie robimy kruszonkę, wszystkie składniki mieszamy palcami, aż powstanie kruszonka. Posypujemy wyrośnięte bułeczki. Piekarnik nagrzewamy do 180–190 st. C i pieczemy 20–25 min, aż będą dobrze rumiane. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Służby zdrowia ciąg dalszy

Klinika zwana rządową w Warszawie przy Hożej działała przez cały okres PRL. Poza członkami partii i rządu mieli do niej dostęp profesorowie wyższych uczelni, dyrektorzy przedsiębiorstw, literaci. Oraz ich rodziny. Leczył się tam Jarosław Iwaszkiewicz. Maria Dąbrowska wracała wiele razy z powracającymi kłopotami kardiologicznymi i w końcu na Hożej umarła. Ostatnie chwile przeżył tam czcigodny prof. Władysław Tatarkiewicz. Rządowymi czajkami wożono sprowadzanych z zagranicy lekarzy.

Historyczny obiekt Warszawie zmiotła ze sceny Solidarność, w ramach likwidowania przywilejów władzy. Teraz głównym ośrodkiem leczniczym dla służb mundurowych i administracji państwowej jest szpital przy Wołoskiej, oficjalnie Państwowy Instytut Medyczny MSWiA.

W klinice rządowej nikt nie sprawdzał ubezpieczenia, zakładano, że wszyscy je mają. Kto nie był w rządzie, w partii, nie był Iwaszkiewiczem ani inną bardzo ważną osobą, szukał gdzie indziej. Najlepszego lekarza, ale już za pieniądze można było znaleźć w przychodni ordynatorów i profesorów na Ordynackiej w Warszawie. Nazwa – Lekarska Spółdzielnia Profesorsko-Ordynatorska – nie pozostawia wątpliwości, że ordynator jest bogiem systemu. Każdy wie, że wysoka funkcja może też dawać bilet wstępu do państwowego szpitala. Jeśli oczywiście utytułowany doktor zdecyduje o konieczności leczenia szpitalnego. Bezcenny ten dokument otwiera drogę do leczenia bezpłatnego. Bezpłatnego nominalnie – przecież składkę płacą wszyscy, ale mało kto wiąże to z możliwością uzyskania np. dostępu do skomplikowanej operacji w państwowym szpitalu.

Czasy się zmieniły, ale system publiczno-prywatny ma się dobrze. Kogo stać, kto musi – płaci, zdrowie jest bezcenne. Miesiące czy lata czekania na wizytę do NFZ-owskiego kardiologa, okulisty, na badania przerażają. Systemu żadna władza nie śmie dotknąć. To puszka Pandory, która grozi katastrofą. System zmienia nazwy, stawki oraz adresy, a władza i tak się wyleczy, jako rzecze porzekadło z czasów Gierka.

W pewnej eleganckiej przychodni na Mokotowie, gdzie przyjmują profesorowie i ordynatorzy, można nie tylko zasięgnąć porady (od 300 do 500 zł), lecz także zdobyć skierowanie do szpitala. W uzasadnionych przypadkach oczywiście, ale bez konieczności oczekiwania w kolejce NFZ. Wszystko działa oficjalnie, nie trzeba być nawet członkiem Koalicji Obywatelskiej. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O swawolnym Donaldzie

Wywołana przez Donalda Trumpa awantura z Meloni pociągnęła za sobą w Italii wylew programów telewizyjnych i tekstów analitycznych, w których w sukurs politykom i komentatorom przychodzą psychologowie i psychiatrzy. Mimo to postać amerykańskiego prezydenta nadal pozostaje enigmą.

Lewicowa opozycja od wielu miesięcy zarzuca premier Meloni, że stała się „poddaną" Trumpa. Padły nawet słowa „kurtyzana", „sukkub" [mityczny demon w postaci pięknej kobiety, który nawiedza mężczyzn we śnie i kusi ich współżyciem seksualnym – dop. P.K.], co o tyle dziwne, że w narracji opozycji do niedawna była faszystowską karlicą. Z (bez) sensu komentarzy postępowców wynikało, że praktycznie rząd włoski powinien wypowiedzieć Trumpowi wojnę.

Z wyznań swawolnego Donalda w wywiadach i komentarzach na platformie Truth Social wynika, że Meloni, podobnie jak inni przywódcy państw NATO, zdradziła go, nie wspierając ataku na Iran. Problem w tym, że tego posunięcia Trump z sojusznikami z NATO nie konsultował. Dlatego ani Włochy, ani pozostali sojusznicy nie zezwolili amerykańskiemu lotnictwu na korzystanie z baz wojskowych na swoim terenie. Niedawno w wywiadzie Trump roił, że Meloni na szczycie G7 we Francji błagała go o selfie, żeby poprawić swój wizerunek w kraju przed wyborami. Wrzucił też Meloni, przywódców europejskich, a nawet Leona XIV do jednego worka z tymi, którzy chcą, by Iran posiadał broń atomową. Dodajmy do tego, że – jak twierdzi – gdyby nie on – Trump – kard. Prevost nigdy nie zostałby papieżem. Nie zapominajmy też o czerwonym dywanie dla Putina i umizgach na Alasce.

Fakty przeczą klechdom włoskiej opozycji o tym, że Meloni jest (była) poddaną Trumpa. Skrytykowała plan aneksji Grenlandii i atak na Iran. Potępiła żenujące przedstawienie w Białym Domu, gdy Trump poniżał prezydenta Zełenskiego. Stanęła po stronie papieża, gdy stał się obiektem ataków Trumpa. Wyrzuciła mu, że kuma się z Putinem i Xi Jinpingiem, traktując per noga sojuszników z NATO. W sieci pojawiła się pantomima ze szczytu G7 (filmik bez głosu), w której Meloni wytacza awanturę Trumpowi i kończy gestem „Basta!". I wreszcie, komentując kwestię rzekomej supliki o selfie, napisała otwartym tekstem, że Trump jest łgarzem. A wspierający Meloni prawicowy dziennik „Libero", dostosowując się do poziomu sporu, wyszedł z ogromnym tytułem na pierwszej stronie: „Trump jest dupkiem", a następnego dnia – „Trump wyp....".

Co na to włoscy postępowcy? Nie zgadniecie. Teraz mówią, że Meloni wciąga Włochy w konflikt z USA. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Orzeł wylądował

Kwestia Orderu Orła Białego i jego odebrania prezydentowi Ukrainy zawłaszczyła media. Ta wojna na symbole dała jednak publiczności asumpt do głębszych refleksji, wychodzących poza pola historycznej pamięci i fundamentów u podstaw budowania tożsamości obu od niedawna skłóconych narodów. Pojawiają się tu i wątki gospodarczych skutków działań Ukrainy, architektury bezpieczeństwa w naszym regionie, aż po kwestie rozważań, czy lepiej dla Polski, by Ukraina należała do NATO i Unii czy nie. To dobry znak, bo wreszcie wychodzimy z okopów polityki romantycznej polegającej na nadziei na odwzajemnione przysługi, oddane w ciemno.

Jedną z rzeczy, którą ujawniła ta afera z orderem, jest on sam. Nagle okazało się, że po pierwsze dawaliśmy największe polskie odznaczenie – jak widać – na prawo i lewo, po drugie okazało się, że nagromadziło się nad tym odznaczeniem tyle kontrowersji, że pora się zastanowić, czy przypadkiem cała idea tego odznaczenia nie uległa nienaprawialnej inflacji.

Gdy się spojrzy na historię, to mamy spore kłopoty z uznaniem orderu za jakiś szczególny honor – raz, że dla narodu obdarowującego, dwa, że dla samego obdarowanego. Mamy bowiem kilka nieformalnych kategorii obdarowanych: pierwsza – rzeczywiście zasłużonych dla Polski Polaków (z jednym wyjątkiem – Wincentego Witosa, któremu po odebraniu… i tak order zwrócono). Druga to taka, kiedy nad rozdawnictwem zawisły nasze czasy przedrozbiorowe, gdzie dawano order naszym ówczesnym i przyszłym ciemiężcom, po rozbiorach zaś odznaczenie zostało rozdawane w obiegu wewnętrznym, kiedy zaborcy obdarowywali się nim nawzajem. Trzecia grupa to głównie pomyłki PRL, a czwarta – ujawniona głównie w III RP, to nagrodzeni taktycznie politycy z ugrupowań aktualnie sprzyjających prezydentowi. Piąta grupa to obdarowani politycy z innych krajów.

W wyniku takich zaszłości prezydent Zełenski odsyłając pocztą odebrany mu order, spostponował go, że w końcu to order, który otrzymali i Mussolini, i caryca Katarzyna. A więc po co mu on? Szkoda, że nie wspomniał on o tym, kiedy prezydent Duda zawieszał mu go na szyi.

Myślę, że temat Orderu Orła Białego jest już tak spalony prestiżowo taktycznym podejściem obdarowujących do obdarowanych, że utracił on swój znaczący i unikatowy charakter. Proponuję więc likwidację instytucji Orderu Orła Białego, nienadawanie następnych tego rodzaju odznaczeń i stworzenie nowego, czystego formatu nagradzania – uwaga! wyłącznie Polaków – innym odznaczeniem. I niech pierwszym obdarowanym będzie pośmiertnie ks. Isakowicz-Zaleski. Tak na dobry początek. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813



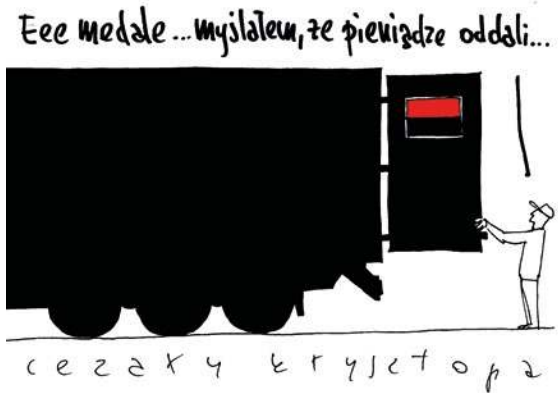
SPODE ŁBA

Zgłosił się polski Orwell?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawą opinię wygłosił w rozmowie z Kanałem Zero aktualny wiceprezes PiS Mateusz Morawiecki. Oświadczył on, że ukraińskich odznaczeń, przyznanych przez Wołodymyra Zełenskiego, zwracać nie będzie. Na pytanie o możliwości prowadzenia z Ukraińcami tzw. polityki transakcyjnej były premier odpowiedział: „Polityka transakcyjna pod tytułem: my wam czołgi, a wy nam naszą krew.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



To jest polityka transakcyjna? Tak, to jest polityka transakcyjna. Od samego początku prowadziłem, jeśli pan tak mi zadał pytanie, politykę transakcyjną. Polacy otwarli swoje drzwi, otwarli swoje serca, ale polski rząd pod moim kierownictwem prowadził politykę transakcyjną. Wy płacicie waszą krwią. Jaką jeszcze większą cenę można zapłacić niż własnej krwi, panie redaktorze? Chyba to jest najwyższa cena, prawda? Tak mi się wydaje. A my płacimy starym sprzętem po to, żebyście wy się obronili i żeby było to marzenie Piłsudskiego spełnione".

Górnolotne frazesy są w polskiej polityce najskuteczniejszą bronią. Przeciwstawianie ich sobie w użytych przez Morawieckiego retorycznych hiperbolach nie ma z „polityką transakcyjną" wiele wspólnego. Kiedy kalkulacje rządzących obracają się w gruzy, nic tak nie mydli oczu jak wypowiadane podniosłym tonem zaklęcia o „cenie krwi", „otwartych sercach", „marzeniach Piłsudskiego". Podobna retoryka sprowadza na erystyczne manowce każdą próbę kalkulacji politycznych zysków i strat. Jeśli ogłosimy z patosem, że „wojna na Ukrainie jest naszą wojną", „Ukraińcy płacą za nas własną krwią", a celem ich ofiary jest „spełnienie marzeń Piłsudskiego", to „polityka transakcyjna" ulega delegitymizacji. Ten fechtunek frazesem ma jednak słaby punkt. Wykrwawiający się Ukraińcy potrzebują na froncie każdego noszowego, sanitariusza i żołnierza.

Im bardziej bombastyczna i „romantyczna" staje się retoryka naszych elit, tym bardziej dziwić może, że na podniosłych zaklęciach zaczyna się i kończy. Wśród polskich kombatantów, czynnie uczestniczących w ukraińskim konflikcie zbrojnym, próżno szukać nazwisk znanych z polityki, telewizji i mediów, akademickich ekspertów, publicystów i ich dzieci.

Ludzie, którzy przez ostatnie lata deklamowali górnolotnie o „naszej wojnie" i naszym „długu krwi", mieli możliwość i prawo spłacać ten dług na polach Doniecka i Ługańska. Do podobnego kroku namawiać mogli, do woli, rodziny i domowników. Na ochotników z wytęsknieniem czekały cudzoziemskie formacje tworzone na Ukrainie. Zrobili tak, przed 100 laty, intelektualiści anglosascy, w czasie wojny domowej w Hiszpanii, z którą nie łączyły ich ani „polityka jagiellońska", ani mitologizowane „dziedzictwo Lecha Kaczyńskiego". Pojechały tam, „walczyć o wolność", dziesiątki absolwentów Oxfordu, Harvardu i Cambridge, politycy, pisarze, publicyści, „celebryci" tamtych czasów. Zamiast obdarzać rodaków jałowymi pouczeniami moralnymi, broń do ręki wzięli Ernest Hemingway, George Orwell, W.H. Auden. Życiem za taki wybór zapłacił wnuk Charlesa Darwina – student Cambridge John Crowford, mistrz olimpijski z Oxfordu Lewis Clive i wielu synów brytyjskiej elity. Polskiego Hemingwaya ani Orwella na horyzoncie jednak nie widać. Promujący się w hełmach i kamizelkach kuloodpornych entuzjastycznie proukraińscy korespondenci TV kręcą wprawdzie filmy pokazywane na konferencjach w USA, lecz o ich bezpośrednim udziale w zmaganiach nic nie słychać.

Ckliwe kazania o przelewaniu za Polskę „własnej krwi" i wynikających z tego konsekwencjach powinien Mateusz Morawiecki wygłaszać na własnych spotkaniach rodzinnych, zjazdach młodzieżówki PiS i spotkaniach partyjnych samorządowców i działaczy, zwłaszcza delegowanych do spółek Skarbu Państwa. Zapewne, powodowani wdzięcznością, ruszą do szturmu na biura werbunkowe nad Dnieprem. Używanie tak górnolotnej retoryki dla przykrycia nieskuteczności, a następnie bankructwa swoich rządów jest zabiegiem wysoce niestosownym. Jest też kpiną z pokoleń Polaków, dla których „nasza wojna" znaczyło też „nasza krew". ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Imponowanie cierpliwością



KRYSTIAN KRATIUK

Bazylika Sagrada Família została oficjalnie otwarta po ponad 140 latach od rozpoczęcia jej budowy. Sama ceremonia otwarcia, uświetniona obecnością papieża Leona XIV, stanowiła spektakl wręcz imponujący. I właśnie słowo „imponujący" najlepiej oddaje to, z czym kojarzy się ów hiszpański kościół.

Nie kojarzy się bowiem z pięknem – przynajmniej nie fanom gotyku i klasycznego piękna, do których się zaliczam. Nie rozumiem tych wszystkich udziwnień, uważam wręcz, że są po prostu brzydkie i mają za zadanie obrzydzić to, co do tej pory pojmowaliśmy jako gotyckie piękno. Budowla ta kojarzy mi się z dość turpistyczną animacją Tomasza Bagińskiego, gdyż tak jak jego film pewne partie Sagrady Famílii przypominają raczej organizm, kość, narośl czy jakąś fantastyczną skamielinę.

Ale nie zamierzam poświęcać tego felietonu architekturze, nie chcę też marudzić. Chcę jednak zwrócić uwagę na imponujący spektakl, który Hiszpanie przygotowali wokół tego kościoła. I nie chodzi mi o ponad dwugodzinne widowisko z czerwca 2026 r., ale o, bagatela, 144 lata budowy kościoła. Oto pośrodku miasta przez niemal półtora stulecia rósł pomnik chrześcijaństwa, świątynia Chrystusa i Jego Świętej Rodziny. Zgodnie z wielką, również imponującą, tradycją naszej cywilizacji – wszak obecną Bazylikę św. Piotra w Watykanie budowano 120 lat, Notre-Dame de Paris 180 lat, Katedrę Santa Maria del Fiore we Florencji 140 lat – można by długo wyliczać. Każdy z tych budynków miał być imponujący i miał być stawiany długo, bez pośpiechu. Nikt nie oczekiwał natychmiastowych efektów, gdyż nikt nie stawiał tych kościołów dla siebie.

Cierpliwość charakteryzowała cywilizację chrześcijańską od zawsze: mnich całymi miesiącami przepisywał księgę, której może nikt poza kilkoma braćmi miał nie przeczytać za jego życia. Kamieniarz rzeźbił detal wysoko na fasadzie kościoła, a z dołu niemal nikt nie mógł zobaczyć jego dzieła. Budowniczy pracował nad prezbiterium katedry, wiedząc, że nie doczeka ukończenia naw. Fundator dawał pieniądze na dzieło, o którym wiedział, że go nie zobaczy, ale że jego blask przypadnie w udziale dopiero następnym stuleciom.

W długim budowaniu jest coś pięknego, bo wymaga ono pokory. Kto buduje długo, ten uznaje, że świat nie zaczyna się od niego i nie kończy się na nim (herezja dla współczesności!)

Długie budowanie jest niejako również sensem samym w sobie. Gdyby barcelońską świątynię ukończono szybko, i tak byłaby zapewne imponującym dziełem – ale ponieważ budowano ją przez pokolenia, stała się niejako przypowieścią o świecie, który przemija, w kontraście z Bogiem, który trwa. Takie przypowieści były normą setki lat temu – historia Sagrada Família powtarza ją ludziom wieków XIX, XX i XXI.

W długim budowaniu jest coś pięknego, bo wymaga ono pokory. Kto buduje długo, ten uznaje, że świat nie zaczyna się od niego i nie kończy się na nim (herezja dla współczesności!). Kto buduje długo, ten musi przyjąć, że inni poprawią jego błędy, dokończą jego zamysły, wejdą w jego trud, czasem go nie zrozumieją, a czasem przekroczą. Kto buduje długo, ten wie, że tradycja nie jest martwym ciężarem, ale stałym przekazywaniem ognia.

Żyjące dziś pokolenia (nazywane pokoleniami mikrofalówki, gdyż wszystko muszą dostać od razu) nienawidzą cierpliwości. Nasze tiktokowe mózgi nie są już w stanie na nic poczekać. A cierpliwość każe przyjąć pokorę siewcy wrzucającego ziarno w ziemię i nieobrażającego się na czas, gdy ten nie chce natychmiast stać się żniwem. Czekając cierpliwie, odkrywamy, że tworzenie nie jest tylko aktem naszej woli, lecz szkołą wierności założeniu, codziennym dokładaniem małego kamienia do dzieła, którego pełny sens świat zewnętrzny dopiero pozna. To oczyszcza ambicję z pychy.

Sagrada Família po 144 latach zdaje się pytać współczesny świat: Co wy właściwie budujecie? Domy czy tylko nieruchomości? Budujecie szkoły czy tylko instytucje zarządzania edukacją? Budujecie państwo czy tylko administrację? Budujecie kulturę czy tylko przemysł rozrywki? Budujecie rodziny czy tylko tymczasowe układy emocjonalne? Budujecie Kościół czy tylko struktury duszpasterskie dostosowane do sezonu socjologicznego? ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

FIFA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

FIFA" kojarzy mi się z wyrazem „chucpa". Korzenie tego słowa tkwią w języku aramejskim (którym mówił Jezus). Z tamtego źródła słowo to przeniknęło do języka hebrajskiego (przez Talmud), później do jidysz (język żydowski), a z jidysz trafiło do polszczyzny. Chucpa oznacza bezczelne, aroganckie i bezwstydne naruszenia norm społecznych.

Sposób, w jaki FIFA traktuje państwa, gdzie organizowane są mecze, to chucpa. Suwerenne kraje dają sobie wchodzić na głowę, bo… mundial. Godzą się na różne zakazy, na wydatki i inwestycje, a potem nic z tego nie mają, bo forsę zgarnia FIFA, a wszyscy inni mają się najeść prestiżem imprezy.

***

W mieście Meksyk jest Stadion Azteca. Od 60 lat największy w Ameryce Łacińskiej. Stadion nazywa się teraz Estadio Banorte – od firmy bankierskiej, która wydała kolosalną forsę na remonty, przebudowy, TOALETY. (Kto był w Meksyku, ten wie, czemu napisałem „toalety" wielkimi literami. Przejazdy z turystami planuje się zawsze od jednej PORZĄDNEJ toalety do drugiej PORZĄDNEJ. Po drodze jest cała masa toalet zwyczajnych i tam staramy się nie zatrzymywać). Stadion Azteca robi wrażenie jak potęga piramid. Zamówienie było takie, że ma wytrzymać trzęsienia ziemi oraz pomieścić co najmniej 100 tys. widzów. I tyle mieścił oraz nigdy się nie zawalił. W roku 1968 na mecz Meksyku z Brazylią weszło 120 tys. ludzi.

Estadio Azteca to duma narodowa Meksykanów, a teraz FIFA zakazuje stosowania jego prawdziwej nazwy – ma być po prostu „stadion miasta Meksyk".

***

W USA wymusili podobnie: AT&T Stadium ma być nazywany „Dallas Stadium". Hard Rock ma być nazywany „Miami Stadium"…

„Celem tych regulacji jest unikanie konfliktów z oficjalnymi sponsorami mundialu oraz zapewnienie, że nazwy obiektów sportowych nie będą promować konkretnych marek komercyjnych niezwiązanych z wydarzeniem".

Bezczelność! „[…] nie będą promować konkretnych marek komercyjnych niezwiązanych z wydarzeniem". Niezwiązanych? Stadion w Meksyku utrzymuje firma Banorte! Bez jej pieniędzy nie byłoby gdzie zagrać mundialu, więc marka komercyjna Banorte jest jak najbardziej związana z wydarzeniem (i z poprawnym działaniem toalet, w których załatwiają się działacze FIFA).

***

W USA chucpa FIFY została ograniczona przynajmniej częściowo, bo Stany Zjednoczone mają dwie mocne karty przetargowe. Pierwszą jest Trump – FIFA zwyczajnie boi się „wariata", który może jednym ruchem narobić potężnych kłopotów. Jakiego rodzaju kłopotów? Trump wie, co ich zaboli – w rozmowach z FIFĄ liczy się wyłącznie przemoc pieniądza. Wystarczy, że Trump ruszy długopisem i FIFA nie wywiąże się ze swoich zobowiązań wobec sponsorów, bo jakiś mecz się nie odbędzie, np. z powodów wizowych. Bingo.

W normalnym trybie FIFA po prostu zawiadamia, jak ma być i kto przyjedzie na imprezę; wizy mają być wystawione i tyle. Z Trumpem tak się nie da – Stany Zjednoczone mają teraz bardzo porządną politykę deportacyjną, granice są szczelne, a do tego istnieje czarna lista krajów, z których nie wpuszcza się nikogo, lista firm objętych sankcjami i osób z zakazem wjazdu.

Przykład: do samolotu, którym z Meksyku leciała na mecz drużyna Iranu, pchał się działacz związany z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej, czyli irańską ubecją, która tłumi krwawo protesty społeczne, masowo morduje własnych obywateli, torturuje, wiesza, obcina głowy. FIFA wpisała bandytę na listę działaczy, Ameryka go nie wpuściła.

Wtedy FIFA oświadczyła, że „polityka wizowa należy wyłącznie do państwa, na terenie którego organizowane są mecze". Ha, ha! Tego typu uległość wykazują tylko wobec USA i Chin. Wszędzie indziej działa chucpa.

***

Drugim potężnym atutem USA jest to, że nikt inny nie ma tak nowoczesnych stadionów, nie ma tak wielkich stadionów i nigdzie nie ma ich aż tyle. FIFA to wie. Nigdzie indziej na świecie nie ma takiego sprzętu telewizyjnego, jaki jest na stadionach w USA. I FIFA to wie. W USA nie muszą niczego szukać ani zamawiać, bo tam już wszystko jest od dawna zainstalowane i sprawne.

W Europie stadiony są państwowe lub dotowane. Stawia się je z okazji jednej imprezy, a potem stoją martwe. W Ameryce nie ma stadionów państwowych, a prywaciarz dba o to, aby jego obiekt zarabiał. Gdy akurat nie ma meczu, jest koncert, a kolejnego dnia rodeo itd.

I w USA mecz to nie tylko mecz, lecz także cały show-biznes dookoła meczu. Gdy ludzie wchodzą na stadion, musi być rozrywka. Gdy czekają na pierwszy gwizdek, musi być rozrywka. Gdy jest przerwa w meczu, musi być rozrywka. A po meczu też musi być rozrywka, aby wszyscy naraz nie ruszyli do wyjść, bo się wtedy zrobi zator.

***

W USA na stadion chodzi się regularnie, całymi rodzinami, a takie wyjście to nie tylko mecz, lecz także piknik. Futbol amerykański, koszykówka, bejsbol, wyścigi NASCAR, golf, a niedawno na trawniku za Białym Domem postawili stadion tymczasowy i była naparzanka na pięści i kopniaki.

Piłka nożna jest w USA mało popularna. To kwestia ducha. Amerykanie lubią sporty mocne, ofensywne. Lubią zwarcie, bitwę. Piłka nożna ma w sobie zbyt wiele finezji. I w dodatku nie wolno używać rąk. Bleee.

Futbol amerykański polega na przebijaniu się przez przeciwnika, na jego powaleniu, na zwarciu, na kontuzjach i krwi z nosa. Futbol amerykański wymaga zakładania zbroi na głowę i ramiona, ochraniaczy na zęby, a dodatkowo dobrze jest mieć mały męski hełm w gaciach.

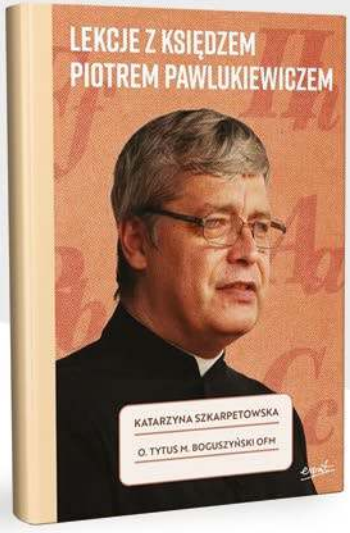
Piłka nożna w odbiorze Amerykanów to zabawa zbyt delikatna. Coś w tym jest, bo gdybym miał wejść w ciemną ulicę, wolę mieć za plecami drużynę futbolu niż piłkarską. Gdybym miał jechać na wojnę, tak samo. ©℗

eprasa.pl 5d267fd813

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA, O. TYTUS M. BOGUSZYŃSKI OFM: „LEKCJE Z KSIĘDZEM PIOTREM PAWLUKIEWICZEM”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~586~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 293 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

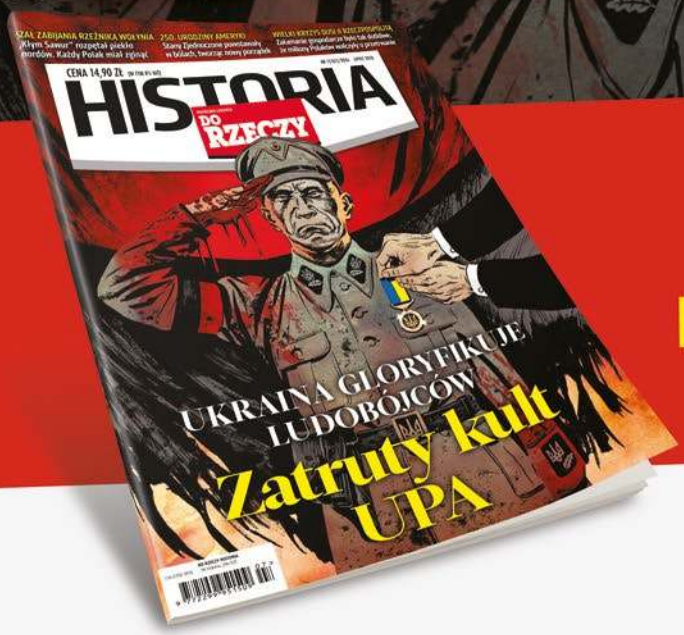
ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5d267fd813

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KULT UPA NA KOŚCIACH POLSKICH KOBIET I DZIECI

Banderowskie kłamstwa i mity – „Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później upowcy walczyli z Sowietami – mówi prof. Damian Karol Markowski

Polsko-ukraiński żmut – Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców? – zastanawia się w swoim tekście Piotr Semka

II RP przy pustym stole – „Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano na wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie »pożyczali« ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi dr Kamil Piskała, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu"

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem – Zarówno Rosja biała, jak i czerwona odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa – Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poetę nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Na politycznym spalonym – Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5d267fd813